




Z. Zeydler Zborowski



Pasta  
do zębów

*Ali-Baba*

**Zygmunt Zeydler Zborowski**

**Pasta do zębów**



**ISKRY • WARSZAWA • 1979**

## Rozdział I

Szła coraz wolniej, udając sama przed sobą, że ma jeszcze dużo czasu. Minęła bramę, do której powinna była wejść, i zatrzymała się przed jakąś wystawą. Nie mogła się zdecydować. Nigdy jeszcze nie doznała uczucia takiego wstydu, takiego upokorzenia. Jak to? Ona? Zagorzała zwolenniczka filozofii materialistycznej, zwalczająca gusła, zabobony, czarną magię i wszelkiego rodzaju praktyki czarodziejów, cudotwórców...

To nie było łatwe. Ale jeżeli...

Przecież ja w to nie wierzę, ja w to nie wierzę - powtarzała sobie setki razy. A jednak nie mogła się zdecydować, żeby nie skorzystać z tej szansy. W tajemnicy przed wszystkimi dała nawet na mszę świętą. Więc właściwie dlaczego...

Patrzyła na wystawę, nie widząc, co się na niej znajduje.

Nie pójdę! - myślała. - Nie pójdę! Nie będę robiła z siebie kretynki. Oszust. Szarlatan.

I nagle zobaczyła bladą, wychudłą twarz Małgosi, duże, pełne lęku oczy. Poszła.

Drzwi otworzyły się nieomal natychmiast po naciśnięciu dzwonka. Stara, siwa kobieta była bardzo wysoka. Wrażenie to potęgowała długa, obcisła suknia z czarnego aksamitu. Siwe włosy gładko zaczesane do tyłu i związane w mocny węzeł. Ciemne oczy patrzyły badawczo spoza okularów w cienkiej, złotej oprawie.

- Pani sobie życzy?

- Jestem umówiona z panem profesorem Mortinberem.

- Nazwisko pani?

- Krystyna Sowińska.

Pełna godności staruszka nie obdarzyła przybyłej nawet cie-

niem uśmiechu. Odsunęła się tylko, jak gdyby niechętnie.

- Proszę. Niech pani wejdzie do poczekalni. Pan profesor jest teraz zajęty. Za chwilę panią przyjmie.

Pokój był duży. Na ścianach pokrytych ciemnowiśniową tapetą wisiały fotografie wysokich, ośnieżonych gór. Na jednym zdjęciu widać też było zarysy jakiegoś starego zamczyska czy klasztoru. Okna zasłaniały ciężkie story, również w ciemnoczerwonym kolorze. Stojąca lampa z dużym abażurem słabo rozpraszała ciemności.

Krystyna usiadła na stylowym, wyściełanym krzeselku i wyjęła papierosy.

- Tutaj nie wolno palić - powiedziała surowo kobieta w aksamitnej sukni.

Uciekać...Uciekać.. Jeszcze czas. To nonsens. To zupełny idiotyzm. Co ja tu robię? Dlaczego wygłupiam się jak ostatnia kretynka?

Wstała i już chciała wyjść, kiedy boczne drzwi się otworzyły i stanął w nich szczupły, bardzo starannie ubrany mężczyzna.

- Proszę. Pani będzie łaskawa wejść - powiedział niskim, miękkim głosem.

Ten pokój także był dosyć duży i także wytapetowany. Tapety ciemnobrązowe, prawie czarne. Na ścianach nic nie wisiało. Robiło to dosyć ponure wrażenie, spotęgowane jeszcze ciężką mosiężną lampą z czarnym abażurem, stojącą na ogromnym, rzeźbionym biurku. Oprócz biurka w pokoju znajdowały się tylko dwa zabytkowe krzesła z wysokimi poręczami i szafa z książkami. Na biurku ani przyborów do pisania, ani przycisków, ani żadnych papierów. Tylko lampa.

- Proszę, niech pani siada - powiedział, nie patrząc na swojego gościa, i ulokował się za biurkiem.

- Czy wolno zapalić? - spytała.

Potrząsnął głową.

- Bardzo żałuję, ale dym mi szkodzi. Więc jeżeli pani może się powstrzymać...

Bez słowa schowała do torby papirosy.

- Pani do mnie telefonowała.

- Tak. Właśnie chciałam...

- Od kogo otrzymała pani mój telefon?

- Od pani Stachurskiej.

Przechylił w tył głowę i utkwil wzrok w suficie.

- Stachurska...Stachurska... Tak. Przypominam sobie. Ma syna. Jedynek. To był bardzo ciężki przypadek.

- Ja mam córkę - powiedziała cicho Krystyna.

- Serce?

- Tak. Otwór międzykomorowy. Lekarze podejrzewają nawet, że są dwa otwory. Nie mogą tego jednak stwierdzić z całą pewnością. Cewnikowanie nic nie daje. Obraz bardzo niewyraźny. Powiedzieli, że dopiero w czasie operacji... - Nagle zabrakło jej tchu. Zachłysnęła się powietrzem. - To moje jedyne dziecko - szepnęła po chwili.

Wyjął z szuflady trzy metalowe kulki, położył je na biurku i zaczął się nimi bawić. Zajęcie to tak go zaabsorbowało, że mogło się zdawać, iż zapomniał o obecności swego gościa. Wreszcie zostawił kulki w spokoju, podniósł głowę i po raz pierwszy spojrział wprost w twarz młodej kobiety.

Pod wpływem tego spojrzenia poczuła, że całkowicie traci pewność siebie. Czarne, lekko skośne oczy miały w sobie hipnotyczną siłę. Zdała sobie sprawę, że ten człowiek jest w stanie całkowicie nad nią zapanować, narzucić jej swą wolę. Przestraszyła się. Nigdy jeszcze nie przeżywała czegoś podobnego.

Wrócił do metalowych kulek. Dopiero po dłuższej chwili się odezwał:

- Więc pani boi się o swoje dziecko, o swoją córkę...

Skinęła głową w milczeniu. Nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- To bardzo ciężki przypadek i nie wiem, czy zdołam pani pomóc.

Z wysiłkiem poruszyła wargami.

- Ja wiem, że to bardzo ciężka operacja.

- Nie rozumiemy się. Nie miałem na myśli operacji. Ja nie jestem chirurgiem, a w każdym razie nie mam uprawnień, aby operować. Pani zresztą nie przysłała do mnie jako do kardi chirurga.

- Nie.

- No więc właśnie. Przykro mi, ale nie sądzę, żebym mógł pani pomóc.

- Dlaczego?

Znowu podniósł na nią wzrok. Tym razem jednak jego spojrzenie było łagodniejsze, mniej natarczywe.

- Mógłbym wymyślić jakąkolwiek banalną wymówkę - powiedział wolno, jakby zastanawiając się nad każdym słowem. - Będę jednak z panią zupełnie szczerzy. Nie jestem w stanie pani pomóc, ponieważ pani, mówiąc oględnie, nie ma do mnie zaufania.

- Ależ...

Z pewnym zniecierpliwieniem podniósł rękę do góry.

- Proszę mi nie przerywać. Ja nigdy nie szafuję lekkomyślnie słowami. Biorę całkowitą odpowiedzialność za to, co mówię i mówię tylko to, co jest absolutną prawdą. Jeżeli mam jakiegokolwiek wątpliwości, wstrzymuję się od wygłaszania sądów.

Z wolna odzyskiwała swą zwykłą pewność siebie.

- Dlaczego pan przypuszcza, że ja... Skoro tutaj przysłałam...

Coś jakby ledwie dostrzegalny uśmiech pojawił się na jego wąskich, bezkrwistych wargach.

- Ja, proszę pani, nie przypuszczam, ja wiem. A to, że pani do mnie przysłała, absolutnie niczego nie dowodzi. Przysłała pani tutaj trochę przez zwykłą ciekawość, ale głównie dlatego, żeby nie zaniedbać żadnej, nawet najbardziej irracjonalnej szansy w ratowaniu swego dziecka. Z dużym wysiłkiem zdecydowała się pani na te odwiedziny. Spacerowała pani przed bramą, zatrzymywała się pani przed wystawami. To dla

pani nie było takie proste. A dlaczego? Dlatego, że w gruncie rzeczy uważa mnie pani za szarlatana, za zwykłego oszusta, który...

- Ależ...! - zaproponowała energicznie.

- Już raz prosiłem, żeby mi pani nie przeszkadzała, kiedy mówię. Tak, nie ma najmniejszej wątpliwości, że pani uważa mnie za oszusta, szarlatana, wydrwigrosza. W tej sytuacji nie mogę pani pomóc. Chyba to pani rozumie.

Ogarnęło ją przerażenie. A jeżeli ten człowiek...? A jeżeli ten człowiek jednak może uratować Małgosię?

- Ja pana bardzo przepraszam. Proszę... Błagam... Niech mi pan nie odmawia.

- To bardzo trudne. Niezwykle trudne. - Mówił teraz cichym, łagodnym, pełnym życzliwości głosem. - Widzi pani, bywają sprawy ogromnie skomplikowane. Proszę mi wierzyć, że chciałbym pani pomóc, ale... Nie wiem, czy przy pani obecnym nastawieniu byłoby to możliwe.

- Ja już tak nie myślę.

- To bardzo dużo, ale to nie wszystko. Musiałaby pani obdarzyć mnie całkowitym, bezgranicznym zaufaniem. Musiałaby pani uwierzyć w sposób absolutny w to, że ja mogę pani pomóc, że mogę uratować pani dziecko. Jakikolwiek zwątpienie, jakiegokolwiek wahanie w jednej chwili niweczy cały mój olbrzymi wysiłek. I dlatego nie wiem, czy jest sens, żebym zajmował się pani przypadkiem. Musiałaby pani przestać uważać mnie za szarlatana, za człowieka udającego „Mędrca Wschodu”, słowem za zwykłego oszusta.

- Ja tak nie myślę. Już tak nie myślę. Ja panu wierzę.

Profesor Mortinber zapatrzył się przed siebie i zaczął mówić równym, spokojnym głosem:

- Człowiek, w pogoni za ciągle nowymi zdobyczami techniki, zapomniał o tym, że ma duszę. Telewizory, samochody, samoloty odrzutowe, wreszcie rakiety międzyplanetarne, wszystko to zabiło w ludziach życie ducha. Zresztą w Europie

praca nad doskonaleniem sił duchowych nigdy nie była zbyt daleko posunięta i tylko nieliczne jednostki interesowały się poważnie tymi trudnymi, bardzo skomplikowanymi zagadnieniami. Szeroki ogół nie zdaje sobie nawet sprawy, czym może być siła myśli ludzkiej, jaka potęga tkwi w psychice każdego niemal człowieka. Ale to sprawy wymagające długich, wieloletnich, pełnych poświęceń i wyrzeczeń ćwiczeń. Tylko żmudną i cierpliwą pracą można dojść do jakichś rezultatów. To bardzo trudne. Oczywiście, że istnieją osobnicy posiadający specjalne predyspozycje w rym kierunku. Ale w zasadzie każdy człowiek nosi w sobie pewien potencjał sił duchowych, jak to w potocznej mowie nazywamy, i może pracować nad osiągnięciem wiedzy i władzy. Tak jak sportowcy przez odpowiedni trening, przez gimnastykę mięśni osiągają olimpijską formę fizyczną, tak samo poprzez odpowiednie ćwiczenia ducha można dojść do niezwykłych, niepojętych dla zwykłego śmiertelnika rezultatów. W tej dziedzinie jesteśmy kompletnymi analfabetami w porównaniu z ludźmi Wschodu. Indie... Tybet...

- Słyszałam, że pan był w Tybecie - powiedziała Krystyna.

- Byłem. Przez dwadzieścia lat przebywałem w tybetańskim klasztorze, w którym zgłębiałem ich wiedzę. Potem pięć lat podróżowałem po Indiach. Miałem za nauczycieli wielkich mędrców.

- Czy j est pan lekarzem?

- Tak. Ukończyłem medycynę w Wiedniu, ale nigdy nie praktykowałem. Interesowałem mnie zawsze inny rodzaj wiedzy. Dużo czasu poświęciłem psychoanalizie, ale teorią Freuda nigdy się zbytnio nie zachwycałem.

- Tytułują pana profesorem...

Potrząsnął głową.

- Bezpodstawnie. Nie jestem żadnym profesorem i nigdy nie ubiegałem się o tytuły naukowe. Nie jest mi to potrzebne. Zresztą w dzisiejszych czasach zbyt wielu jest kompletnych



ignorantów, którzy noszą tytuły profesorów. Nie odpowiada mi to towarzystwo.

- I z nikim nie dzieli się pan swoją wiedzą? Nie ma pan uczniów?

- Nie. W Polsce jeszcze na to za wcześnie. Tutaj ludzie zbyt są ciągle pochłonięci sprawami materialnymi. Mieszkanie, telewizor, pralka, lodówka, samochód... Kto i kiedy ma się zastanawiać nad sprawami ducha? Owszem, posiadam szczupłe grono przyjaciół, zaledwie kilka osób. Prowadzę z nimi ćwiczenia specjalne, ale to jest moja zupełnie prywatna sprawa. Nie powinienem nawet o tym mówić. Proszę o dyskrecję.

- Mogę pana zapewnić, że nasza rozmowa pozostanie między nami.

- Dziękuję. Zrobiła pani na mnie bardzo miłe wrażenie. Cieszę się, że panią poznałem. - Powiedziane to zostało suchym, obojętnym tonem, jak banalna, grzecznościowa formułka. Wstał.

- Ależ... panie profesorze!

- Mówiłem już, że nie jestem profesorem.

- Przecież przyszedłem do pana po pomoc, po ratunek! - wybuchnęła Krystyna. - Błagam! Niech mi pan nie odmawia.

- Więc pani doprawdy wierzy, że ja mogę pani pomóc?

- Wierzę! Wierzę! Rzeczywiście początkowo myślałam, że pan...

- Że jestem szarlatanem i oszustem.

- Ale już tak nie myślę. Przysięgam!

Usiadł i znowu zaczął się bawić kulkami.

- Czy ma pani fotografię swojej córki? - spytał. Pośpiesznie wyjęła z torby powiększone zdjęcie.

- Proszę.

Przyjrzał się i powiedział obojętnie:

- Ładna dziewczynka. Kiedy ma być operowana?

- W przyszłym tygodniu. We środę albo w czwartek. Lekarze zwlekają. Podejrzewam, że po prostu boją się, nie mają odwagi.

Niech pan mi pomoże.

Po blacie biurka potoczył ku niej jedną z metalowych kulek.

- Niech pani dotknie.

Usłuchała. Kulka była twarda, chłodna, miała gładką powierzchnię.

- A teraz proszę nic nie mówić.

Przysunął ku sobie kulkę i przez chwilę trzymał nad nią dłoń, koncentrując spojrzenie nad tym kawałkiem miedzi.

- Niech pani dotknie.

Położyła palce na kulce i krzyknęła:

- Parzy! - Palce były czerwone. Wyjął z szuflady pudełko z kremem.

- Proszę posmarować. Nie będzie śladu.

Potrząsnęła głową.

- Nie, nie trzeba. To nic. Trochę... Ale co to było? Jak pan to zrobił? Przecież przed chwilą...

- Wyemanowałem energię cieplną, którą przekazałem temu metalowi. To bardzo proste. Nie wymaga większego wysiłku. Mnisi tybetańscy siadają nago nad przerębem podczas czterdziestostopniowego mrozu i suszą na swym ciele do trzydziestu prześcieradeł, zanurzanych w lodowatej wodzie.

- Niesłychane!

- Tak. To są dla Europejczyków bardzo dziwne i niezrozumiałe sprawy. Dlatego najchętniej je negują. Tylko ten, kto czas dłuższy przebywał wśród ludzi Wschodu i kto został dopuszczony do ich tajemnic, może zrozumieć rzeczy, przechodzące wyobraźnię naszego kontynentu. Niech pani teraz dotknie tej kulki. Śmiało.

Dotknęła. Kulka była zimna, tak jak na początku.

Krystyna siedziała oszołomiona zarówno rozmową z tym dziwnym człowiekiem, jak i niesamowitym eksperymentem. Zupełnie wyraźnie czuła, że cały jej materialistyczny światopogląd chwieje się i że jest skłonna poddać się mistycznej wierze w te tajemnicze, nieznanne siły, z których dotychczas kpiła. To

było bardzo przykre, nieznośne uczucie. Miała ochotę z nim walczyć, ale z drugiej strony rozumiała, że jeżeli chce pomocy od tego człowieka, musi uwierzyć w jego siłę.

- Trudno się pani zdecydować.

- Nie, nie... Jestem zupełnie zdecydowana! Ja wierzę, że pan może mi pomóc! Błagam pana! Zaklinam!

- Dobrze. Zrobię to dla pani. Muszę jednak zaznaczyć, że nawet przy najbardziej sprzyjających okolicznościach eksperyment może się nie udać. Ale w pani świadomości nie powinna powstać taka ewentualność. Musi pani wierzyć, że operacja się uda.

- Ja wierzę... wierzę... Ale tak strasznie się boję.

- Poda mi pani dokładny dzień i dokładną godzinę operacji. Poprzedniego dnia przyjdzie pani do mnie i już nie będzie się pani bała. Podczas operacji chce być pani zapewne w szpitalu?

- Oczywiście. Będę czekała.

- Dobrze. Proszę się wtedy skupić i pamiętać o tym, że ja jestem przy pani córce, przy Małgosi.

- Chce pan być obecny przy operacji?

Potrząsnął głową.

- Nie, skądże. Na sali operacyjnej będą tylko fluidy, które ja przekażę. Może się to pani wydaje śmieszne, ale...

- Nie...wcale nie - zaprzeczyła z ożywieniem. - Ja wierzę, że taka koncentracja... Z pewnych rzeczy dotychczas nie zdawałam sobie sprawy.

- Z bardzo wielu rzeczy nie zdajemy sobie sprawy, proszę pani. Dopiero przy jakichś sprzyjających okolicznościach... Ale dajmy temu spokój. Tego rodzaju rozważania zaprowadziłyby nas niepotrzebnie na margines zagadnienia. Obecnie niezbędna jest jak największa koncentracja.

- Co mam robić?

- Wierzyć, że wszystko będzie dobrze. I, tak jak powiedziałem, proszę mnie powiadomić o dokładnym terminie operacji. Dzień i godzina. Ciężkie czekają mnie chwile.

- Pana?

- Oczywiście. Tego rodzaju seans jest straszliwie wyczerpujący. Taka koncentracja wymaga niesłychanego wysiłku i psychicznego, i fizycznego. Potem prawie przez dwa tygodnie nie mogę przyjść do siebie. To bardzo osłabia. Proszę mi wierzyć. Chyba możemy uważać naszą rozmowę za skończoną. Czekam na wiadomości od pani.

- Chciałabym jeszcze poruszyć kwestię honorarium, bo przecież...

Skrzywił się.

- Bardzo nie lubię rozmawiać o tych sprawach. Ja osobiście nie czerpię z tego żadnych korzyści materialnych. Jestem zamożnym człowiekiem i nie potrzebuję zdobywać pieniędzy, a szczególnie w ten sposób. Ale...

- Ale... ? - podchwyciła Krystyna.

- Widzi pani... To jest trochę drażliwa i skomplikowana sprawa. Od lat należę do bractwa, powiedzmy do pewnej organizacji, której główna siedziba znajduje się w Tybecie. Otóż każdy z członków tej organizacji zobowiązany jest za tego rodzaju seanse wpłacać do wspólnej kasy pewną kwotę. Niestety nie mogę odstąpić od tej reguły. Nie będę pani wtajemniczał w istotę tego zagadnienia.

- Ile muszę wpłacić? - spytała Krystyna.

- Tysiąc dolarów. Czy panią stać na to?

- Tak. Moi rodzice są bardzo zamożnymi ludźmi. Mieszkają stale w Stanach Zjednoczonych. Przyślą mi te pieniądze.

- W tej sytuacji niech je przekażą na bank szwajcarski. Oczywiście jeżeli wszystko pójdzie dobrze.

## **Rozdział II**

Anka... telefon do ciebie.

Zanim przyłożyła słuchawkę do ucha, wiedziała, kto dzwoni. Już trzy razy telefonował.

- ...Już wychodzę, kochany, już wychodzę... Ależ wiem, oczywiście... Tak, masz rację. Przykro mi, akurat tak się złożyło. Zaraz będę w domu. Nie zatrzymuj mnie... Już wychodzę... Naprawdę.

Władek spojrział na nią spod oka i uśmiechnął się.

- Zdaje się, że będzie poważniejsza rodzinna scenka.

- Daj mi spokój.

Pośpiesznie narzuciła płaszcz, poprawiła włosy i wybiegła z pokoju.

Na ulicy zimny, północny wiatr uderzył ją w twarz deszczem. Wzdrygnęła się. Była zmęczona, głodna, zdenerwowana. Tramwaj? Autobus? Zatrzymała przejeżdżającą akurat taksówkę. Chciała jak najprędzej znaleźć się w domu.

Taksówkarz okazał się człowiekiem wyjątkowo rozmownym.

- Ale psia pogoda. Coś podobnego. Żeby w kwietniu takie zimno... Jak tak dalej pójdzie, to ludzie kożuchy pozakładają. Rano niby słońeczko świeciło, a tu masz słońeczko. Wichura, deszcz jak w końcu listopada. Cholery można dostać z taką wiosną. Dawniej tego nie było. Jak byłem młodym chłopakiem, to zima to była zima, a lato lato, a teraz... Diabli wiedzą, co z tego wszystkiego wyniknie... Ja myślę, proszę pani, że to przez te cholerne sputniki. Mieszają powietrze i przyroda się burzy.

Anna bardzo oszczędnie włączyła się do rozmowy. Nie miała nastroju do pogawędek na tematy meteorologiczne. Taksówkarz wyczuł to bez większego wysiłku i umilkł. Niebawem zajęchali na miejsce.

Nie czekając na windę, szybko wbiegła po schodach i w nerwowym pośpiechu nacisnęła parokrotnie dzwonek.

Nie od razu otworzył.

Trzyma mnie pod drzwiami - pomyślała. - To niby za karę.

Zaczęła szukać kluczy w torbie. Wreszcie jednak szczęknęła zasuwą i Paweł wpuścił ją do przedpokoju.

Był zły i chmurny. Nie odezwał się ani słowem.

- Strasznie mi przykro, kochanie - powiedziała pośpiesznie.  
- Ale akurat tak się złożyło...

- Tobie zawsze „akurat tak się składa” - wybuchnął. - Przecież umówiliśmy się, że o siódmej będziesz w domu. Dzisiaj są twoje urodziny. Przynajmniej raz mieliśmy razem zjeść kolację. Kupiłem butelkę wina, zagrzałem parówki, wszystko przygotowałem, a ty...

Podeszła do niego i próbowała dotknąć jego włosów.

- Bardzo cię przepraszam. Rzeczywiście to fatalnie wypadło, ale wierz mi, że nie z mojej winy.

Zachnął się i odepchnął ją od siebie.

- Zostaw. Mam już tego wszystkiego dosyć. Nie mam najmniejszego zamiaru do końca życia czekać na ciebie. Zupełnie inaczej wyobrażałem sobie nasze małżeństwo.

- Ja także nieraz czekam na ciebie, jak masz nocny dyżur...

- Nocne dyżury miewam teraz coraz rzadziej, a nawet jeżeli się zdarzy, to są jakieś określone godziny. Wiem, kiedy będę zajęty, kiedy wrócę do domu. No, jakiś porządek w życiu musi być.

- Niestety w mojej pracy nie ma ustalonych godzin. Wiesz o tym doskonale. Zresztą chyba się orientowałeś, z kim się żenisz.

- Nie zdawałem sobie sprawy.

- Możemy się rozwieść. Proszę cię bardzo. Nikt cię nie trzyma.

- Zastanowię się nad twoją propozycją.

- To się zastanawiaj, a tymczasem powiedz, co jest w domu do zjedzenia. Jestem wściekle głodna.

- Wszystko masz przygotowane w swoim pokoju. Ja już jadłem.

- Podobno mieliśmy się napić po kieliszku wina.

- Straciłem ochotę. Kolacja miała być o siódmej, a teraz jest już po dziesiątej, dochodzi wpół do jedenastej.

- Przestań, Paweł. Nie ciskaj się. Zrozum, że musiałam

przesłuchać tego faceta. Nie mogłam przerwać w połowie. Zawaliłabym całą robotę.

- Nie musisz przesłuchiwać facetów. To nie jest zajęcie dla kobiety.

- A jakie według ciebie jest zajęcie dla kobiety? Co chciałabyś, żeby robiła?

Wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Już bym wołał, żebyś była dentystką.

- Ale nie jestem dentystką i nie mam zamiaru zapisywać się teraz na stomatologię. A w ogóle to przestań mnie w tej chwili męczyć. Zjedzmy coś i chodźmy spać. Miej trochę litości. Czuję się piekielnie skonana. Miałam dzisiaj ciężki dzień. Ale doprowadziłam sprawę do końca. Przyznał się. No, chodź Paweł. Wybijmy to wino. Przecież dzisiaj są moje urodziny.

- Cieszyłem się na dzisiejszy wieczór - powiedział już spokojniejszym głosem. - Mam dla ciebie prezent.

- Prezent? Co takiego? Pokaż.

Poszedł do swojego pokoju i po chwili wrócił, niosąc małą paczuszkę.

- Co to jest?

- Rozpakuj.

- Francuskie perfumy! - wykrzyknęła. - Jesteś bardzo kochany. Dziękuję - pocałowała go w policzek.

- Myślałem, że ci to zrobi przyjemność.

- Ogromną. Uwielbiam ten zapach. No chodź, napijmy się wina.

Paweł postanowił zrezygnować, przynajmniej na razie, z roli zbuntowanego męża i w pozornej zgodzie zasiedli do kolacji.

Oboje próbowali utrzymać rozmowę w zupełnie neutralnym tonie, ale nie bardzo im to wychodziło. Anna była zbyt zmęczona, żeby coś udawać, a Paweł ciągle jeszcze przetrawiał złość i żal z powodu zmarnowanego wieczoru. Chciał, żeby było przyjemnie, starał się, wszystko przygotował, zorganizował. Nie wy-

szo. Coraz częściej nie wychodziło to, co projektowali wspólnie z Anną i coraz częściej pojawiały się pesymistyczne refleksje. Nie, stanowczo nie odpowiadało mu takie życie.

Oficer dochodzeniowy to nie materiał na żonę - myślał w przystępie złego humoru.

Z drugiej strony musiał przyznać Annie rację, że przecież wiedział, z kim się żeni. Wtedy jednak zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wygląda praca w milicji. Był pewien, że to takie sobie zwyczajne urzędowanie i że ich życie jakoś się ułoży. Układało się kiepsko. On potrzebował żony, która zajęłaby się domem, nim, ewentualnie dziećmi w dalszej perspektywie, a ją pochłaniali bez reszty kryminaliści.

Kolacja upłynęła w nastroju trochę sztucznym. Oboje udawali, że wszystko jest w porządku i że chwilowe nieporozumienie zostało zapomniane. Pili wino. Próbowali żartować. Paweł wzniosł urodzinowy toast. Ktoś patrzący z boku mógł być pomyśleć, że to idealne małżeństwo.

- Cóż tam u ciebie w szpitalu? - spytała w pewnym momencie Anna, ot tak, po prostu, żeby coś powiedzieć.

- W porządku. Żadnych sensacji. Operowałem dzisiaj.

- Udało się?

- Tak. Raczej tak.

- A co z Dorotą?

Skrzywił się.

- Dlaczego o nią pytasz?

- Ponieważ ciągle jeszcze interesują mnie twoje wielbicielki - powiedziała z uśmiechem.

- Przestań. Wiesz, że nie lubię takich żartów.

- To wcale nie są żarty.

- Daj spokój. Dawno przebrzmiała sprawa. Nie ma o czym mówić.

- A czy ciebie to nigdy nie zastanawiało, że Dorota pracuje w szpitalu jako salowa?

Wzruszył ramionami.



- Widocznie ta praca jej odpowiada.

- Wierzysz w to? Bo ja nie. Jestem głęboko przekonana, że mogłaby sobie znaleźć o wiele ciekawsze zajęcie. Przy jej urodzie, przy jej inteligencji.

- Daj mi święty spokój. Nie obchodzi mnie ani jej uroda, ani inteligencja. Każdy się urządza tak, jak uważa za stosowne. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nagle zaczynasz się interesować Dorotą.

- Dlatego, że ona ciągle jest w tobie zakochana i godzi się nawet na rolę salowej w szpitalu, żeby tylko być blisko ciebie.

- Mnie to zupełnie nie interesuje. I w ogóle przestańmy rozmawiać na ten temat. Nie dosyć, że się spóźniasz o trzy godziny, jeszcze zaczynasz mi wiercić dziurę w brzuchu. Zazdrosna jesteś czy co, u diabła?

- Może...

- Nie wygłupiaj się. Ostatecznie mogłem się ożenić z Dorotą, a ożeniłem się z tobą.

- I niewątpliwie bardzo tego teraz żałujesz. Dorota nigdy by się nie spóźniała na kolację, Salowe w szpitalu mają ściśle uregulowane godziny pracy. To byłaby na pewno odpowiedniejsza żona dla ciebie.

Zerwał się z taką gwałtownością, że aż wylał wino na obrus.

- Przestań, do jasnej cholery! Mam już tego wszystkiego powyżej uszu! Dosyć! Dosyć! Wpierw się spóźniasz przeszło trzy godziny, a potem urządzasz mi jakieś kretyńskie sceny zazdrości. Moja cierpliwość także ma swoje granice. Doprowadzisz w końcu do tego, że cię pobiję.

- Spróbuj. Zapomniałeś, zdaje się, że w zeszłym roku wygrałam na mistrzostwach judo.

Spojrzał na nią i nagle oboje roześmieli się.

- Tego mi tylko brakowało - powiedział nie mogąc pohamować wesołości. - Nie dość, że milicjantka, jeszcze mistrzyni judo. Ale sobie żonę wybrałem.

Podeszła do niego i położyła mu ręce na ramionach.

- Paweł... Czy my musimy się kłócić? Powiedz. Tym razem nie odepchnął jej.

- Nie musimy. Ale zrozum...

Dotknęła palcem jego warg.

- Zostaw. Na dzisiaj wystarczy. Jestem naprawdę piekielnie zmęczona. Lecę z nóg.

Szybko sprzątnęła ze stołu i pozmywała. Pomógł jej wycierać naczynia.

- Wystawiłeś butelki na mleko?

- Wystawiłem butelki, wyrzuciłem śmiecie, umyłem wannę.

- Słowem wzorowy mąż. Zaraz się kąpię i idę spać. Niewiele już nam zostało godzin do rana.

- To nie moja wina.

Wykąpała się rzeczywiście błyskawicznie. Włożyła tę różową koszulkę, którą tak bardzo lubił, ale gdy wyszedł z łazienki, spała jak zabita. Był bardzo rozczarowany. Stanowczo inaczej wyobrażał sobie ten urodzinowy wieczór.

Rano wstała wcześniej i przygotowała śniadanie. Paweł spał tak smacznie, że nawet nie słyszał budzika. Nie miała serca go budzić. Wreszcie jednak trzeba było. Energicznie potrząsnęła go za ramię.

- Paweł, wstawaj, już późno.

Spojrzał na zegarek i skoczył na równe nogi.

- Rany boskie! Dlaczego mnie nie obudziłaś?

- Chciałam, żebyś trochę pospał.

- Spóźnię się. Cholera jasna! Spóźnię się!

- Nigdy się nie spóźniasz. Raz każdemu może się zdarzyć.

Ubrał się pośpiesznie, nawet się nie ogolił. Przy śniadaniu parzył sobie wargi.

- Zawsze tak podgrzejesz to cholerne mleko.

- Doleję ci surowego. I zjedz bułkę. Naszykowałam.

- Daj mi spokój. Nie mam czasu.

Wybiegła za nim do przedpokoju.

- Paweł! Zaczekaj!

- O co chodzi?

- Zapomniałam cię zapytać, jak z Małgosią, z córeczką Krystyny?

- Będzie operowana. To bardzo ciężki przypadek. Cześć.

Do szpitala pojechał taksówką, ale mimo to się spóźnił.

- Gdzież to się podziela przysłowiowa punktualność kolegi Majewskiego? - uśmiechnęła się z przekąsem pani doktor Warzycka. Nie lubiła Pawła. - Już po obchodzie. Przed chwilą szef pytał o pana.

Paweł, nie tracąc czasu, zdjął marynarkę, włożył biały kitel i pobiegł do gabinetu ordynatora.

Profesor Kopiński miał okrągłą, rumianą twarz o wyrazie pozornej dobroduszości. Umiał jednak utrzymać klinikę w żelaznej dyscyplinie i cały personel drżał przed spojrzeniem jego szarych, chłodnych oczu.

- Bardzo przepraszam, panie profesorze, za to spóźnienie, ale...

Profesor przerwał mu niecierpliwym ruchem ręki.

- Niech się pan nie tłumaczy, panie kolego. Ostatecznie każdemu może się zdarzyć, że po prostu zaśpi. Zresztą nie o tym chciałem z panem porozmawiać.

- Słucham?

- Widzi pan... - Profesor był najwyraźniej zakłopotany. Wierzchem dłoni przeciągnął po gładko wygolonym policzku. - To są takie trochę drażliwe sprawy.

- Drażliwe sprawy? - zdumiał się Paweł. - Nie rozumiem. Czy może pan jest niezadowolony z mojej pracy?

- Ależ nie, nie. Przeciwnie. Bardzo pana cenię. Uważam pana za zdolnego chirurga. Jest pan człowiekiem solidnym, obowiązkowym, ale...

- Ale?

Profesor Kopiński machnął ręką.

- Nie ma co owijać w bawełnę. Powiem wprost. Ma pan za duże powodzenie u kobiet.

- Za duże powodzenie u kobiet? Ależ, panie profesorze...

- Niech mi pan nie przerywa. Jest powszechną tajemnicą, że tu się wszystkie w panu kochają, pielęgniarki, młode lekarki, a podobno nawet i salowe. To bardzo niedobrze wpływa na atmosferę w klinice.

- Ależ, panie profesorze, mogę pana zapewnić, że nie usiłuję odgrywać roli jakiegoś Don Juana czy Casanovy. Nie w głowie mi takie historie. Zresztą przed niespełna rokiem ożeniłem się, kocham moją żonę i...

- Wiem, wiem, oczywiście - pokiwał głową profesor. - Ja pana o nic nie winię, panie kolego. Chciałbym po prostu, żeby pan jakoś... No bo ja wiem... Doprawdy sytuacja jest trudna, skomplikowana.

- Mogę zrezygnować z pracy tutaj - powiedział Paweł, którego ta rozmowa zaczynała drażnić. - Myślę, że w innym szpitalu także się przydam.

- Ależ o tym nie ma mowy - zaproponował żywo profesor. - Doskonale pan sobie zdaje sprawę z tego, że brak nam chirurgów i że jest pan cennym nabytkiem dla naszej kliniki. Nie puszczę pana.

- Więc co mam właściwie zrobić?

Profesor zdjął okulary, przetaił je bardzo starannie, z powrotem ulokował na nosie i dopiero wtedy odpowiedział.

- Myślę, że może by pan mógł zmienić trochę swój stosunek do personelu.

- To znaczy?

- To znaczy, chciałbym, żeby pan był bardziej oficjalny. W zasadzie pan ma bardzo miłe podejście do ludzi. Jest pan bezpośredni, koleżeński, serdeczny, ale w tej sytuacji...

- Te wszystkie niestworzone historie o mnie naopowiadała panu oczywiście pani doktor Warzycka.

Profesor nasrożył się.

- To nie ma najmniejszego znaczenia, kto mi co opowiedział. Ja sam umiem patrzeć i wyciągać odpowiednie wnioski.

Zresztą pan doskonale orientuje się w tym wszystkim i wie, jak wygląda cała sytuacja. Mam więc taką prośbę, żeby pan to sobie dobrze przemyślał i żeby pan ustosunkował się do personelu bardziej oficjalnie.

- Czy to wszystko, panie profesorze?

- Chyba tak. Myślę, że mogę polegać na pańskim takcie.

- Dobrze. Od dzisiejszego dnia będę bardzo oficjalny. Postaram się zrażać ludzi do siebie.

Po wyjściu od profesora Paweł doznał bardzo dziwnego uczucia. Właściwie opinia zdobywcy serc niewieścich wcale nie robiła mu przykrości, a wręcz przeciwnie, jego męska ambicja została mile polechtana.

Cóż na to poradzę, że babki tak na mnie lecą? - myślał, uśmiechając się. - Nie moja wina. Ja się o to nie staram.

Z drugiej jednak strony po rozmowie z profesorem czuł pewien niesmak. Być może, że gdzieś tam w podświadomości kryło się poczucie winy. Bo czy rzeczywiście był taki zupełnie obojętny w stosunku do kobiet, do młodych i ładnych kobiet?

Na korytarzu spotkał Dorotę, niosącą basen.

- No i co? Zmył ci staruszek głowę?

Minął ją pośpiesznie, bez słowa. Nie chciał przyznać się przed samym sobą, że ciągle jeszcze trochę mu się podobała. A gdyby tak uciec stąd, zmienić szpital? Ale co to da? Jeżeli rzeczywiście jest w nim tak zakochana i ona przeniesie się do drugiego szpitala. Przy takim braku personelu żaden problem. Przecież prawie skończyła szkołę pielęgniarstwa, ma dużą praktykę.

Do diabła. Życie jest jednak czasami nader skomplikowane.

Tego dnia nie operował i to było mu bardzo na rękę. Wolał przystępować do operacji w spokojniejszym nastroju. Obejrzał więc tylko swoich pacjentów, zrobił parę opatrunków i nie mógł doczekać się końca urzędowania. Z nikim nie rozmawiał. Chodził z poważną, a nawet ponurą twarzą.

- Musiał Pawełek dostać solidny obsztorc od profesora -

mówiły między sobą pielęgniarki, przyzwyczajone do różnych wesołych żarcików młodego chirurga.

Przed wyjściem ze szpitala Paweł zadzwonił do komendy. Miał ochotę pójść do kina, ale Anny nie zastał. Powiedziano mu, że wyjechała służbowo na miasto i nie wiadomo, kiedy wróci. Zdecydował więc, że sam pójdzie. Chciał się trochę rozerwać.

Film był nudny i z trudem dosiedział do końca. Kiedy wrócił do domu, Anna czekała na niego z kolacją.

- Szkoda, żeśmy się nie stelefonowali - powiedziała. - Miałam wielką chęć na kino dzisiaj. I to właśnie z tobą.

Roześmiał się.

Już wychodziła z komendy, kiedy zadzwonił telefon. Była pewna, że to Paweł. W słuchawce jednak rozległ się kobiecy głos.

- Cześć, Anka.

- Krystyna! Cześć! Kopę lat. Cieszę się, że się odezwałaś. Dzwoniłam do ciebie kilka razy, ale nigdy nie było cię w domu.

- Tak. Ostatnio mam sporo latania. Chciałabym się z tobą zobaczyć.

- Bardzo chętnie. Kiedy?

- Chociażby zaraz. Masz czas?

- Tak... Chyba tak.

- Gdzie?

- „Nowy Świat” ci pasuje?

- Może być.

Kiedy Anna weszła do kawiarni, Krystyna już na nią czekała. Robiła wrażenie zmęczonej i jakby postarzałej,

Biedula... - pomyślała Anna ze współczuciem. - Trudno się dziwić.

Zamówiła kawę i Krystyna powiedziała:

- Jutro.

- Już jutro?

- Tak. Prosiłam cię o spotkanie, ponieważ bardzo bym

chciała, żeby Paweł był obecny przy operacji. Operował będzie profesor Kopiński, ale specjalnie mi na tym zależy, żeby Paweł mu asystował. Mam do niego ogromne zaufanie. Nie wiem, jak to załatwić taktownie. Poradź mi.

Anna zrobiła niewyraźną minę.

- Przyznam ci się szczerze, że ja także nie wiem. Jakoś trudno prosić o taką rzecz profesora. Mógłby to niewłaściwie zrozumieć. Ludzie starsi często bywają drażliwi i dlatego...

- Właśnie. Ja to doskonale rozumiem. Chciałam się z tobą naradzić.

- Dlaczego właściwie tak ci zależy, żeby Paweł był przy operacji?

Krystyna niecierpliwym ruchem odgarnęła włosy spadające jej na czoło.

- Widzisz... Wiem, że Paweł mnie lubi i Małgosię także bardzo lubi. Im więcej będzie przy tym ludzi życzliwych, tym lepiej. Ważna jest atmosfera, która oddziałuje...

- O, widzę, że zaczynasz wkraczać w dziedzinę mistyki.

- Żebyś wiedziała - uśmiechnęła się z zażenowaniem Krystyna. - Nawiązałam nawet kontakt z pewnym... „Mędrcom Wschodu”. Tylko bardzo cię proszę, nie śmieję się ze mnie!

Anna serdecznym ruchem pogładziła ją po dłoni.

- Nie mam zamiaru, kochanie. Opowiedz mi coś o tym „Mędrcom Wschodu”. To ciekawe.

Krystyna potrząsnęła głową.

- Nie mogę. Boję się, żeby czegoś nie popsuć. Kiedyś ci opowiem. Nie teraz.

- Jak chcesz. W każdym razie widzę, że powoli zaczynasz się wycofywać z pozycji materialistycznych.

Krystyna wyjęła z torby paczkę papierosów i zapaliła.

- To nie są proste sprawy, Aniu. Nie życzę ci, żebyś kiedykolwiek znalazła się w takiej sytuacji jak ja w tej chwili, ale bywają w życiu momenty, kiedy pozostaje tylko wiara w cud. Dałam także na mszę świętą, jeżeli cię to interesuje!

Anna w milczeniu mieszała kawę łyżeczką, nie zauważywszy, że nie wsypała cukru. Wreszcie powiedziała cichym, spokojnym głosem.

- Rozumiem cię. W pewnych sytuacjach człowiek nie chce zaniedbać absolutnie niczego. To tak jak ze sławnym zakładem Pascala.

- Więc jak radzisz z Pawłem? - spytała Krystyna.

- Pomówię z nim. Chyba będzie najzręczniejszy, jeżeli powie profesorowi, że to chodzi o kogoś bardzo bliskiego, albo może lepiej, że go ten przypadek specjalnie interesuje i dlatego chciałby być obecny przy operacji. Myślę, że to da się jakoś załatwić.

Krystyna uśmiechnęła się z widocznym wysiłkiem.

- Dziękuję ci, Aniu.

Zapłaciły i wyszły z kawiarni. Pożegnały się na rogu Świętokrzyskiej.

- Trzymaj się, Krystyna - uściskała ją Anna. - Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

W posępnym nastroju wracała do domu.

Może trzeba jej było zaproponować, żeby u nas zanocowała? - myślała niespokojnie.

Zaraz jednak doszła do wniosku, że to nie miałyby sensu. W takich chwilach człowiek sam musi sobie radzić. Obecność innych ludzi, choćby najżyczliwszych, tylko osłabia odporność psychiczną, po prostu przeszkadza.

Paweł był w domu. Ucieszył się, że wcześniej wróciła. Wspólnie zakrzętnęli się koło kolacji i niebawem siedzieli przy wiosennie wyglądającym stole: twarożek, jajka na twardo, sałata, szczypiorek.

Uradzili, że po kolacji wybiorą się na spacer na Stare Miasto, ot tak, żeby trochę połazić, zajrzeć do jakiejś kawiarenki.

Kiedy kończyła zmywać, zadzwonił telefon.

- To do ciebie - powiedział Paweł. Od razu poznała głos



Władka.

- Pułkownik prosi, żebyś natychmiast przyjechała do komendy. Jakaś bardzo ważna sprawa.

Odłożyła słuchawkę i bezradnie spojrzała na Pawła.

- Nie gniewaj się...

### **Rozdział III**

Więc postanowiłeś ją zabić?

W jej głosie nie było cienia zdenerwowania czy niepokoju. Powiedziała to tak, jakby chodziło o usmażenie jeszcze kilku placków kartoflanych.

Nie patrzył na nią. Mogło się zdawać, że zapomniał o jej obecności. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Zapalił papierosa.

- Dobrze wiesz, że nie mam innego wyjścia. Przecież nigdy nie zdobędę dziesięciu tysięcy dolarów. A gdybym nawet gdzieś ukradł te pieniądze, to jakąż mam gwarancję, że ta kobieta po jakimś czasie nie zażąda nowych dziesięciu tysięcy dolarów? A może funtów?

Nie możemy żyć w ciągłym zagrożeniu.

- Nie możemy - powtórzyła.

Wstał z fotela i podszedł do okna. Jego szerokie, masywne ramiona rysowały się potężną sylwetką na tle szyby.

- To się musiało tak skończyć.

- Robisz mi wymówki? - spytała.

Nie odwracając się, potrząsnął głową.

- Nigdy nikomu nie robię wymówek, jeżeli chodzi o moje własne czyny. Ja i tylko ja jestem odpowiedzialny za to, co robię. Chciałbym jednak, żebyś sobie należycie uświadomiła fakt, że ty w tej aferze tkwisz po uszy.

- Grozisz mi?

- Nie. Lubię tylko, kiedy moi partnerzy czy też partnerki dokładnie zdają sobie sprawę z sytuacji. To pozwala uniknąć

bardzo wielu przykrych i niepotrzebnych nieporozumień.

- Czy sądzisz, że ja sobie nie zdaję sprawy?

- Sądzę, że sobie doskonale zdajesz sprawę. Ja tylko tak, na wszelki wypadek.

- Jak masz zamiar to zrealizować?

- Bez żadnego ryzyka.

- Łatwo powiedzieć.

Odwrócił się od okna i spojrzał na nią badawczo.

- Boisz się?

- Nie sądzę. Chciałabym tylko wiedzieć jak ty sobie to wyobrażasz.

- Mam konkretny plan i ty mi pomożesz w jego realizacji.

- Ja? Na mnie nie licz.

- Właśnie liczę na ciebie. Nie zapominaj, że jesteśmy współnikami i że w tej sytuacji nie ma odwrotu.

Czuła, że traci swą pewność siebie i zimną krew, z której zawsze była taka dumna.

- Czego chcesz ode mnie? - spytała.

- Chcę, żebyś mi pomogła usunąć na jakiś czas tamtą drugą.

- W jaki sposób?

- Spotkałem wczoraj przypadkowo Grabowskiego. Poszukuje dla swojej matki zaufanej pielęgniarki. Tam zdaje się to się niedługo skończy, ale parę tygodni może potrwać. Staruszka chce umrzeć we własnym łóżku, a Grabowski jako dobry syn...

Zachnęła się.

- A cóż ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Znasz Majewskiego?

- Bardzo słabo. Ty go znasz o wiele lepiej. Operował cię przecież.

- Tak. Operował mnie. Nawet mi zrobił ładny szew.

Pokręciła głową.

- Zupełnie nie rozumiem, po co te wszystkie kombinacje. Umierająca staruszka, szlachetny syn, pielęgniarka. Przecież ona i tak pracuje w szpitalu. Po całych dniach jej nie ma.

- Ale chodzi o to, żeby jej i wieczorem nie było. A poza tym sprawa alibi. Jak jest w szpitalu, to ma alibi. Prawda?

Spojrzała na niego uważnie.

- Więc ty chciałbyś...?

Uśmiechnął się.

- Widzę, że ciągle mnie jeszcze nie doceniasz. Przecież jeżeli będzie morderstwo, to musi być także sprawca i wyraźny motyw zbrodni.

- Jesteś jednak cholerny drań - powiedziała na wpół z podziwem, na wpół z niepokojem.

- Miałś co do tego jakieś wątpliwości? Bo ja nie. W tego rodzaju sprawach zawsze najtrudniejszy jest początek. Trzeba przełamać pewne nawykowe i narzucone przez wychowanie opory, a potem... Jedno posunięcie pociąga konsekwentnie za sobą następne, z których nie można już zrezygnować, jeżeli nie chce się pójść na dno. Przyznaję, nie sądziłem, że ona się pojawi i że będzie dysponować takimi materiałami. Tym gorzej dla niej. No więc jak? Pogadasz z tym doktorkiem?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Wolę, żebyś ty to zrobił. Zresztą tobie nawet zręcznie.

- Dobrze. Zaraz do niego zadzwonię. Trzeba się śpieszyć. Po pierwsze w przyszłym tygodniu wyjeżdżam na ten kongres do Brukseli, a po drugie ona może w każdej chwili zniknąć z naszego terenu, a szukać jej w Londynie...

Usiadła przed lustrem i zaczęła sobie poprawiać *maquillage*.

- Trucizna? - spytała.

- Oczywiście. To najprostsze i przy dobrych chęciach można się zaopatrzyć w szpitalu. Zastanowię się jeszcze.

Poczuła nagle coś w rodzaju wyrzutów sumienia. Chodziło przecież o zupełnie niewinną kobietę, na którą Bogdan postanowił rzucić podejrzenie, obciążyć ją tą zbrodnią. O wszystkim pomyślał, nawet o tym, żeby użyć takiej trucizny, którą stosunkowo łatwo można zdobyć w szpitalu. Ostatecznie

wystarczyłaby odpowiednia doza środka nasennego. To nie żaden problem.

Piekielnie perfidny facet. Piekielnie.

I nagle uświadomiła sobie, że kiedyś może i ona stanie się dla niego niewygodna. Przestraszyła się.

W pierwszej chwili Paweł nie mógł się zorientować, kto dzwoni.

- Przepraszam, ale nie dosłyszałem nazwiska.

- Mówi Stasiewicz. Witam pana, panie doktorze.

- Ach, to pan profesor. Moje uszanowanie. Nie poznałem pana po głosie. Jak zdrowie? Czyżby coś dolegało?

- Nie, nie, wszystko w najlepszym porządku. Artystycznie pan to załatwił. Mam do pana, panie doktorze, pewną sprawę. Czy moglibyśmy się gdzieś spotkać?

- To coś pilnego? Jestem trochę zajęty.

- No, raczej pilna sprawa. Nie zajmę panu dużo czasu.

- To może o piątej w „Gongu”, jeżeli panu punkt odpowiada.

- Doskonale. Napijemy się herbatki po angielsku.

Za dziesięć piąta Paweł siedział przy stoliku. Był trochę zdziwiony telefonem profesora. Nie miał pojęcia, o co chodzi. Postanowił być bardzo uprzejmy i uczynny. Stasiewicz miał szerokie powiązania z naukowcami zagranicznymi, a jego praca zrobiła światową karierę. Mógł się przydać. Paweł od dawna marzył o tym, żeby wyjechać do Ameryki i tam specjalizować się w kardiochirurgii. Wycinanie wyrostków i zaszywanie przepuklin już mu obrzydło. Pasjonowały go zabiegi na otwartym sercu.

Stasiewicz przyszedł parę minut po piątej.

- Najmocniej pana przepraszam, kochany doktorze, ale z tymi taksówkami u nas... Nigdy nie wiadomo, czy człowiek przyjedzie za wcześnie, czy za późno... Uff, trochę się zmachałem. Co pijemy? Herbatkę po angielsku?

- Chyba tak. I może coca-colę. A co z pańskim wozem, panie profesorze?

- W remoncie oczywiście. Z tymi wozami to tak jak z telewizorami. Trafi na dobry egzemplarz - wszystko w porządku, a nie - nieustający remont w ramach gwarancji.

Podeszła do nich kelnerka. Zamówili herbatę i Paweł spojrzał pytająco na profesora.

- Mam do pana pewną prośbę, panie kolego - powiedział Stasiewicz.

- Słucham? Jeżeli tylko mogę być w czymś pomocny...

- Może pan. Sprawa jest tego rodzaju, że mój serdeczny przyjaciel z Instytutu, docent Grabowski...

- Znam. Robiłem mu przepuklinę.

Stasiewicz roześmiał się.

- Kogo pan już nie krajał, panie doktorze. Niedługo będzie pan znał brzuchy całej Warszawy. Otóż Grabowski poszukuje dla swojej matki zaufanej i uczciwej pielęgniarki. Wyjeżdża teraz na miesiąc za granicę i potrzebuje kogoś bardzo zaufanego. Ma wprawdzie dochodzącą gosposię, ale... Tam u was w szpitalu jest taka salowa, która właściwie posiada kwalifikacje dobrej pielęgniarki.

- Myśli pan zapewne o Dorocie Barańskiej.

- O to, to, właśnie. Siostra Dorota.

- Ona nie skończyła szkoły pielęgniarskiej. Zabrakło jej jakiegoś tam egzaminu. Głupie komplikacje. Pokłóciła się z kimś czy coś w tym rodzaju. Już dobrze nie wiem.

Profesor machnął ręką.

- To nie ma żadnego znaczenia. Ta osoba jest w pełni wykwalifikowaną siłą i umie więcej aniżeli dziesięć pielęgniarek ze wszystkimi możliwymi dyplomami. Dziwię się nawet trochę, że pracuje jako salowa w szpitalu. Przy jej inteligencji i urodzie... Coś ją tam musi trzymać, coś albo ktoś...

Rozmowa wkraczała na niepożądane dla Pawła tory. Powiedział prędko:

- Dobrze, panie profesorze. Spróbuję z nią porozmawiać. Musiałaby oczywiście dać w szpitalu zastępstwo, bo tak jej nie

puszczą. Zobaczymy.

- Byłbym panu ogromnie zobowiązany. Chciałbym pomóc Grabowskiemu. To niezwykle porządny człowiek, uczciwy, koleżeński. Bardzo kocha matkę i nie chce jej oddać do zakładu specjalnego. Poza tym, co nie jest bez znaczenia, to człowiek zamożny. Ma jakąś rodzinę za granicą, która przysyła mu dolary. Myślę, że częściowo mógłby tej kobiecie zapłacić bonami PKO. Atrakcyjna propozycja dla salowej.

- Niewątpliwie - przyznał Paweł, któremu cała sprawa zaczynała się podobać. Na pewien czas pozbyłby się ze szpitala Doroty i miałby trochę spokoju. Ostatnio zrobiła się zbyt obcesowa. Ciągłe jakieś idiotyczne zaczepki, docinki. Stanowczo miał tego dosyć.

- No więc... czy mogę liczyć na pana, panie doktorze?

- Spróbuję. Porozmawiam z nią. Może jakoś się uda.

- Dziękuję. Bardzo będę panu zobowiązany.

Na drugi dzień, jeszcze przed obchodem, Paweł zatrzymał Dorotę na korytarzu. Słuchała go z uśmiechem.

- Chcesz się mnie pozbyć, tak?

Żachnął się.

- Przestań. Po prostu zależy mi na profesorze Stasiewicz. Chcę mu wyświadczyć przysługę i bardzo byłbym ci wdzięczny, gdybyś się zgodziła. To jest sprawa miesiąca. Dobrze zarobisz. Facet może podobno płacić bonami PKO.

- Interesujące - przyznała Dorota.

- No więc jak? Zgadzasz się?

- Czego ja dla ciebie, Pawełku, nie zrobię? Będę musiała jakoś załatwić tutaj w szpitalu. Dam zastępstwo, wezmę urlop bezpłatny. Jakoś sobie poradzę.

- Dziękuję ci.

Po wyjściu ze szpitala Paweł zjadł obiad w pierwszym lepszym napotkanym po drodze barze mlecznym i pojechał na Rozdroże. Umówił się w kawiarni z Anną. Poszli do Łazienek.

Było jeszcze dosyć chłodno, ale drzewa pokrywały się już

świeżą, soczystą zielenią.

- Wiosna - powiedziała, biorąc go pod rękę.

- Wiosna - powtórzył zgodnie. - Cóż to się stało, że zdołałaś się wyrwać z tej choleralnej komendy?

- Daj spokój. Ja zagajam romantycznie o wiosnie a ty zaczynasz mówić o komendzie. Czy nie sądzisz, że ja jestem także trochę kobietą?

- Systematycznie odzwyczajasz mnie od tego. To nie takie proste być jednocześnie oficerem dochodzeniowym i kobietą.

Pokiwała głową w zamyśleniu.

- Masz rację. Nie takie proste. Szczególnie jeżeli się ma męża, na którego pomoc nie można liczyć.

- Nie rozumiem, o czym mówisz.

- Chyba rozumiesz. To nie takie skomplikowane. Od czasu do czasu powinieś mi pomóc w tym, żebym się poczuła kobietą.

Wzruszył ramionami.

- No cóż... Można spróbować.

## **Rozdział IV**

Pani Aniela Jaworska wracała z imienin szwagra. Po paru kieliszkach była w szampańskim humorze. Podśpiewywała stary szlagier „Już nigdy” i szła tanecznym krokiem, co niezbyt licewało z jej wiekiem.

Żebym tylko trafiła kluczykiem do dziurki ~ myślała, idąc po schodach. Winda była nieczynna.

Drzwi otworzyła jednak bez najmniejszego wysiłku. Wieloletnia rutyna przewyciężyła śliwownicę, za którą pani Aniela przepadała.

Rozebrała się, narzuciła szlafroczek i włączyła telewizor. Nagle dzwonek.

Któż to może być o tej porze? - zdziwiła się. - Chyba dozorczyńni albo sąsiadka.

Przekręciła zamek, odsunęła zasuwę i spuściła łańcuch. Oniemiała. Pod jej drzwiami leżała kobieta w pidżamie. W zaciśniętej dłoni trzymała szczoteczkę do zębów. Nie dawała znaku życia.

- Jezus Maria! - Pani Aniela wytrzeźwiała w mgnieniu oka i zaczęła krzyczeć: - Na pomoc! Na pomoc!

Wyrzwał pan Feliks Dąbrowski, emerytowany urzędnik pocztowy.

- Co się stało, pani Jaworska?

- Niech pan patrzy...

- Zemdlała, a może umarła. Trzeba zaraz pogotowie.

Tymczasem nadbiegł już dozorca z żoną i sąsiadka z pierwszego piętra, która właśnie wyrzucała śmiecie do zsypu.

- To ta pani, która przyjechała do Barańskiej.

- No, czego się gapiacie? - zdenerwował się emeryt. - Trzeba ją zanieść na łóżko i wezwać lekarza.

Dozorca dźwignął nieruchome ciało i przy pomocy żony przetransportował kobietę w niebieskiej pidżamie do sąsiedniego mieszkania.

- Niech pan zaraz dzwoni po pogotowie, panie Dąbrowski - powiedziała energicznie pani Aniela. Otrząsnęła się już z pierwszego wrażenia i postanowiła przejąć inicjatywę w swoje ręce. Ostatecznie to przecież pod jej drzwiami stało się to wszystko.

Poszła do mieszkania sąsiadki i dotknęła dłoni leżącej na tapczanie kobiety.

- Chyba... chyba nie żyje - powiedziała cicho.

- I mnie się tak widzi - przytaknął dozorca. - Szttywna jakaś.

Przyjechało pogotowie. Lekarz stwierdził zgon i natychmiast zadzwonił do komendy milicji.

Z Wilczej było niedaleko. Po upływie kilku minut przybiegł zadyszany sierżant Pawlak.

- Co się stało?

- Otrucie - powiedział lekarz.



- Samobójstwo?

- Chyba nie. Przed śmiercią zdążyła zadzwonić do sąsiadki.

- O, cholera - mruknął sierżant. - Jest tu telefon?

- Jest. Właśnie z tego aparatu do was dzwoniłem.

Sierżant Pawlak połączył się z oficerem dyżurnym.

- Otrucie, obywatelu poruczniku. Nie można wykluczyć morderstwa.

- Zostańcie na miejscu zdarzenia. Ja zaraz łączę się z Komendą Miasta.

Kapitan Władysław Motycz był z natury człowiekiem pogodnym i wesołym. Niezbyt pasował do Wydziału Zabójstw. Lubił muzykę, tańce, zabawę. Zawsze był w dobrym humorze, pamiętał masę najrozmaitszych kawałów, którymi przy lada okazji częstował swoich kolegów. W młodych latach uczył się śpiewu i podobno miał dobry głos. Złośliwi powiadali, że jest najlepszym śpiewakiem wśród detektywów i najlepszym detektywem wśród śpiewaków. Zrezygnował z kariery artystycznej, ponieważ miewał częste chryпки, co jest wprawdzie cenną zaletą u piosenkarzy jazzowych, ale wyraźnie przeszkadza w występach na scenach operowych, a Motycz miał właśnie takie operowe ambicje.

Ukończył Wydział Prawa na Uniwersytecie Warszawskim i zaczął pracować w milicji. Był zdolny i pracowity. Szybko awansował. Od natury otrzymał to, co jedni nazywają „nosem”, a drudzy bardziej naukowo „intuicją”. Będąc dobrym psychologiem, bardzo zręcznie radził sobie z podejrzanymi w czasie przesłuchiwań. Posiadał dar odgadywania ludzkich słabostek, dyspozycji psychicznych, nastrojów...

Na Mokotowską przyjechał wraz z całą grupą operacyjną.

- No i co tam? - spytał, witając się z Pawlakiem.

- Trup - powiedział sierżant.

- Kto zawiadomił?

- Lekarz pogotowia.

Motycz przeszedł się po mieszkaniu, zajrzał tu i tam, wrócił

do sierżanta.

- Gdzie ją znalezione ?

- Pod drzwiami sąsiadki, niejakiej Anieli Jaworskiej.

- Czy zmarła była główną lokatorką?

- Nie. Rozmawiałem z dozorcą. Ta kobieta przyjechała do swojej krewnej, niejakiej Doroty Barańskiej. Podobno z Anglii przyjechała.

- Gdzie ta Barańska?

- Nie wiem.

- A czym się zajmuje?

- Jest salową w szpitalu.

- O! - zdziwił się Motycz. - Salową w szpitalu? I takie luksusowe mieszkanie?

- Faktycznie. Mieszka bardzo przyzwoicie - przyznał Pawlak. - Dwa pokoje, meble na wysoki połysk, obrazy jak z muzeum. A i srebrne łyżeczki widziałem w kuchni.

- Zaczekajcie tu jeszcze na mnie chwilę - powiedział Motycz.

- Ja skoczę do tej sąsiadki i zaraz wracam.

Pani Aniela oczekiwała odwiedzin oficera milicji. Wróciła do swej wizytowej sukni, uczesała się, poprawiła *maquillage*. Była już zupełnie spokojna i opanowana.

- Napije się pan herbatki? - spytała gościnnie. - Właśnie świeżo zaparzyłam. Na zdenerwowanie nie majak mocna herbata.

Motycz energicznie potrząsnął głową,

- Dziękuję, ale nie przyszedłem na herbatkę. Chciałbym zadać pani parę pytań.

- Słucham?

- Czy pani dobrze zna tę sąsiadkę, która obok mieszka?

- Barańską? O tyle, o ile. Specjalnie za nią nie przepadam.

- Można wiedzieć, dlaczego?

- Bo ja wiem. Tak jakoś. Dla mnie to nie jest zbyt sympatyczna osoba. Poza tym... Jak by to powiedzieć? Coś tu nie tak, jak być powinno.

- Co mianowicie?

- No bo widzi pan... pani Barańska pracuje w szpitalu jako salowa, a wiadomo, że salowe tak dobrze nie zarabiają. A ona i mieszkanie ma pięknie urządzone, i sama ubiera się szykownie. Ostatnio spotkałam ją w sklepie Peweksu. Kupowała za bony francuskie perfumy i jeszcze jakieś tam kosmetyki. Przyzna pan, że to trochę nie na kieszeń salowej. Ja tam nie lubię się wtrącać do cudzych spraw, ale...

- A co pani wie o kobiecie, którą pani znalazła pod swoimi drzwiami?

- Właściwie nic. Wiem tylko tyle, że to jakaś kuzynka Barańskiej. Przyjechała z zagranicy. Tak przynajmniej słyszałam.

- Może pani zechce w krótkich słowach opowiedzieć mi o tym, co tu się zdarzyło.

- No więc tak... - Pani Aniela wygodniej usadowiła się na krześle. - Więc tak... Trochę później wróciłam dziś do domu. Byłam u rodziny, bo właśnie mój szwagier...

- O szwagrze pomówimy innym razem - przerwał jej Motycz. - Teraz chciałbym się czegoś dowiedzieć o tej kobiecie, którą pani znalazła pod swoimi drzwiami.

Pani Aniela poczuła się trochę urażona, że jej nie dadzą dojść do słowa.

Jakiś gbur - pomyślała. - Wszyscy oni teraz tacy.

- Jak pan sobie życzy. Więc wróciłam do domu i zaczęłam się już przygotowywać do snu, kiedy posłyszałam dzwonek. Otworzyłam drzwi. Patrzę... leży. W pierwszym momencie strasznie się przeraziłam.

- Jak wyglądała?

- Była bardzo blada... W pidżamie. Widocznie się myła, bo w rękę trzymała szczoteczkę do zębów.

Motycz jednym susem dopadł drzwi i pobiegł do sąsiedniego mieszkania.

- Gdzie szczotka? - krzyknął, potrącając sierżanta.

- Jaka szczotka? - zdumiał się Pawlak.

- Szczoteczka do zębów, którą trzymała ta kobieta. Sierżant wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Pewnie lekarz, jak ją badał, to... Szczotka leżała na stolyczku koło tapczanu.

Motycz powąchał ją i pobiegł do łazienki.

Pod lustrem, na szklanej półeczce, leżała tuba z pastą do zębów. „Colodent”. Ktoś nacisnął tubę pośrodku. Pękła i pasta wydobyła się z tyłu. Motycz obwąchał ją uważnie, ale zapach pasty był zbyt silny. Trudno by rozróżnić jakąś dodatkową woń.

Może to sprawa sugestii, ale Motyczowi wydało się, że czuje jednak zapach gorzkich migdałów. Natychmiast zwrócił się do kolegów z prośbą o zabezpieczenie pasty oraz szczoteczki do zębów i przekazanie tego wszystkiego do Zakładu Kryminalistyki. Historia z „Colodentem” ogromnie go podekscytowała.

Barańska nie pokazała się przez całą noc. Motycz od dozorca dowiedział się, gdzie pracuje i wczesnym rankiem pojechał do szpitala. Zameldował się u ordynatora jeszcze przed obchodem.

Profesor Kopiński był zaskoczony odwiedzinami oficera milicji-

- Czym mogę panu służyć, panie kapitanie?

- Przepraszam, że zabieram cenny czas, panie profesorze, ale chciałbym się czegoś dowiedzieć o niejkiej Dorocie Barańskiej .

- O Barańskiej? No cóż... bardzo dobra pracownica. Jestem z niej zupełnie zadowolony i chyba wszyscy tu są z niej zadowoleni. Sumienna, odpowiedzialna, inteligentna. Powiedziałbym nawet, że jak na salową ma zbyt wysokie kwalifikacje. Nie ten poziom. A o co właściwie chodzi?

- Jest taka pewna sprawa - odparł wymijająco Motycz. - Czy mógłbym się zobaczyć z panią Barańską?

- Niestety nie ma jej w tej chwili w szpitalu. Otrzymała bezpłatny urlop. Podobno trafiła jej się jakaś korzystna praca i

prosiła...

- A gdzie obecnie pracuje?

- Gdzieś prywatnie. Dokładnie nie wiem, gdzie. Może doktor Majewski będzie wiedział. - Profesor podniósł słuchawkę.

Po chwili do gabinetu wszedł Paweł.

- Słucham, panie profesorze.

- Niech pan siada, panie kolego. Pan kapitan chciałby zamienić parę słów z Barańską. Czy pan nie wie, gdzie ona dostała tę pracę?

- Wiem - odparł Paweł, spoglądając bacznie na Motycza.

Drzwi otworzyła mu krzepka kobieta po pięćdziesiątce.

- Pan w jakiej sprawie? - spytała opryskliwie. - Nie ma pana docenta. Wyjechał.

- Chciałbym się widzieć z panią Barańską.

- Zajęta przy chorej. O co chodzi?

- Muszę się widzieć z panią Barańską w bardzo ważnej sprawie.

Do hallu weszła Dorota.

- Pan do mnie?

Motycz szybkim spojrzeniem obrzucił postać wysokiej, eleganckiej, bardzo ładnej kobiety. Rzeczywiście, dziwna salowa - pomyślał.

- Czy moglibyśmy gdzieś chwilę spokojnie porozmawiać? Zaprowadziła go do niewielkiego saloniku.

- Proszę, niech pan siada. Słucham?

- Jestem oficerem milicji - powiedział, wyjmując z kieszeni służbową legitymację.

Zbladła tak gwałtownie, że obawiał się, iż zemdleje.

- Milicja...? Nie rozumiem. To chyba nie do mnie... Pewnie jakaś pomyłka.

Motycz był trochę zaskoczony tą prymitywną reakcją. Barańska zrobiła na nim wrażenie osoby inteligentnej, sprytniej i doświadczonej.

- Nie wydaje mi się, żeby tu zaszła pomyłka, proszę pani.

Czy pani mieszka na Mokotowskiej ?

- Tak.

- Pracuje pani w szpitalu jako salowa?

- Tak. - Głos jej się załamał. Z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- I przyjechała do pani kuzynka z Anglii.

- Tak.

- Nazwisko tej kuzynki?

- Elżbieta Burns.

- Mam dla pani przykrą wiadomość.

- Co się stało?

- Kuzynka pani, Elżbieta Burns, nie żyje.

- Jezus Maria! Wypadek?

Motycz uważnie przyglądał się Barańskiej.

- Elżbieta Burns została otruta.

Dorota ukryła twarz w dłoniach.

- Boże!

Odczekał chwilę i spytał:

- Czy pani kuzynka przez cały czas swego pobytu w Polsce przebywała w Warszawie, czy też gdzieś wyjeżdżała?

- Jeździła do Krakowa.

- W celach turystycznych?

- Chciała odwiedzić ciotkę.

- Kiedy miała zamiar wracać do Anglii?

- Pojutrze.

- A kiedy wróciła z Krakowa?

- Nie pamiętam dokładnie. Jakies dwa dni temu.

Motycz wstał.

- Zechce pani się przebrać. Chyba nie ma sensu, żeby pani jechała do komendy w stroju pielęgniarstwie.

- Zabiera mnie pan do komendy milicji?

- Przykro mi, ale to niezbędne.

- Ależ ja nie mogę... Ja tutaj pracuję. Opiekuję się chorą starszą. Podjęłam się tego. Pan docent Grabowski wyjechał za granicę i mojej opiece powierzył matkę. Pan rozumie...

- Obawiam się, że będziemy musieli poszukać innej opiekunki dla matki pana docenta - powiedział Motycz. - W mieszkaniu jest jakaś kobieta. Otworzyła mi drzwi.
- To gosposia. Przychodzi cztery razy tygodniowo...
- Pomówimy z nią.

## Rozdział V

Natychmiast zauważyła, że coś nie jest w porządku. Paweł był taki zdenerwowany, że aż pobladł.

- Co się stało?
- Zaprowadził ją do swojego pokoju i posadził na tapczanie.
- Słuchaj, Anka. Musisz pomóc. Musisz...
- Ale o co chodzi? Mów wreszcie.
- Dorota aresztowana.
- Aresztowana? Cóż ona przeskrobała? Ukradła coś?
- Gorzej... Znacznie gorzej. Jest podej rżana o morderstwo.
- Co ty opowiadasz? Skąd wiesz?
- Przesłuchiwali mnie w szpitalu. Był oficer milicji.
- Jak się nazywa?
- Nie pamiętam. Nie mogłem się doczekać, kiedy wrócisz z tego Radomia. Trzeba coś zrobić. Niepodobna jej tak zostawić. Pomóż.

Anna zapaliła papierosa i przeniosła się z tapczanu na fotel.

- Kto został zamordowany?
- Jakaś kuzynka Doroty, która przyjechała z Anglii. Ale to przecież nie ma najmniejszego sensu. Dorota,..
- Czego ty właściwie chcesz ode mnie? Co mnie to wszystko obchodzi?
- Nie można pozwolić, żeby niewinna kobieta... Chyba rozumiesz.

- A skądże ty wiesz, że ona jest niewinna. Tak zupełnie bezpodstawnie ludzi się nie aresztuje.

Zachnął się.

- Wykluczone... Dorota nigdy by czegoś takiego nie zrobiła. Przecież ją znasz. Aniu, proszę cię.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Widzę, że ciągle się jeszcze nią interesujesz.

- Przestań. Nie czas teraz na takie rozgrywki. Sto razy ci mówiłem, że nim ciebie poznałem, dawno skończyłem z Dorotą. Absolutnie nic mnie z nią nie łączy, ale jednak... No... po prostu jakaś zwykła przyzwoitość... Nie mogę tak dziewczyny zostawić. Chyba rozumiesz.

Anna w tej chwili uświadomiła sobie, że nadarza jej się niebywała okazja. Gdyby rzeczywiście Dorota była niewinna i gdyby jej udało się znaleźć prawdziwego sprawcę...

- Dobrze - powiedziała po chwili namysłu. - Dowiem się jutro, jak ta historia wygląda.

Objął ją i pocałował.

- Dziękuję ci, Aniu. Jesteś bardzo porządna kobieta. Dziękuję.

Nazajutrz Anna wcześniej zjawiała się w komendzie. Od razu zameldowała się u szefa.

Pułkownik Wąsowicz lubił swą młodą współpracownicę. Cenił jej inteligencję, spryt i przedsiębiorczość. Wiedział, że można na niej polegać i że w odpowiednim momencie potrafi wykazać dużo cennej inicjatywy.

- Cóż tam nowego, koleżanko? - spytał z życzliwym uśmiechem. - Proszę, niech pani siada.

Przysunęła sobie krzesło i usiadła.

- Miałabym prośbę, panie pułkowniku.

- Słucham.

- Interesuje mnie sprawa Doroty Barańskiej, która podobno została aresztowana podczas mojej nieobecności w Warszawie.

Pułkownik skinął głową.

- Tak. Chodzi o otrucie. Śledztwo prowadzi Motycz.

- Władek? O, to doskonale. Może mogłabym do niego dołączyć?



- Hm. Czyja wiem?... Nie lubię nikomu narzucać współpracowników. Nie orientuję się zresztą, czy mu potrzebna pomoc. Dlaczego właściwie interesuje się pani tą sprawą?

- Barańska pracuje w tym samym szpitalu, w którym urzęduje mój mąż.

- Ach tak... I to może mąż panią prosił...

- Tak. Ta kobieta jest tam bardzo ceniona. Dobra pracownica. Ma doskonałą opinię. Wszyscy w szpitalu są poruszeni i dlatego Paweł...

- No cóż... - Pułkownik rozłożył ręce. - Ja osobiście nie mam nic przeciwko temu, żeby pani włączyła się do tego śledztwa. Ale to już zależy od Motycza. Jeżeli mu potrzebna pomoc i jeżeli pani pomoc będzie mu odpowiadała...

- Porozmawiam z nim. Dziękuję, panie pułkowniku.

Motycz siedział w swoim pokoju, przeglądał akta i nucił arię z „Aidy”.

- Cześć. Czyżbyś dopiero przyszła?

- Byłam u starego. Słuchaj, Władziu, mam do ciebie romans.

Motycz podniósł głowę.

- Wiesz dobrze, że od dawna mam ochotę na romans z tobą i gdybym się nie bał lancetu twojego małżonka...

- Nie wygłupiaj się. Podobno prowadzisz sprawę niejkiej Doroty Barańskiej.

- Jesteś wspaniale poinformowana.

- Informacje mam z najlepszego źródła, Jak byś się zapartywał na to, żebym doszłusowała do ciebie?

- Pozytywnie. Potrzebny mi ktoś inteligentny do pomocy.

- Dziękuję za dobre słowo. Więc zgadzasz się?

- W zasadzie tak. Widzę, że ci coś bardzo zależy.

- Może i zależy,

- Bardzo ładna kobieta, ta salowa. W męskim typie - powiedział Motycz i przymrużył lewe oko.

Anna nie zareagowała.

- Mógłbyś mnie w krótkich słowach zapoznać ze sprawą?

- Mógłbym. Otóż tak: Dorota Barańska, zatrudniona w szpitalu jako salowa, mieszka na Mokotowskiej. Dziwna to trochę salowa. Wykształcona, czytana, inteligentna, reprezentacyjna, doskonale się ubiera i, co najważniejsze, ma kupę forsy. Mieszkanie eleganckie, dwa pokoje z kuchnią, gustownie umeblowane, obrazy, dywany...

- Prze słuchiwałe ś j ą?

- Oczywiście,

- No i cóż ona mówi na temat swojej sytuacji materialnej?

- Twierdzi, że zarabia, a poza tym, że ma zamożną rodzinę, która jej pomaga.

- I co dalej ?

- Dalej to wzięła i otruła cyjankiem potasu swoją kuzynkę, niejaką Elżbietę Burns.

- Angielka?

- Wyszła za Anglika. Przyjechała odwiedzić rodzinę.

- I j esteś przekonany o winie Barańskiej ?

Motycz wzruszył ramionami.

- Stuprocentowej pewności oczywiście nie mam, ale wszystko na nią wskazuje. Sprytnie pomyślane. Wyobraź sobie cyjanek potasu w paście do zębów, w samym końcu tuby. Babka miała za dwa dni odlecieć do Londynu. Byłaby się otruła w Londynie, bo tej pasty bez cyjanku na jakiś czas starczyłoby jej. Ale nacisnęła tubę pośrodku, tuba pękła od tyłu i pani Burns umyła sobie zęby cyjankiem...

- Rzeczywiście lepszy numer - przyznała Anna. - Jaki mógłby być ewentualny motyw zbrodni?

- Chyba jakieś sprawy rodzinne. Może forsa? Barańska ma ciotkę w Krakowie. Zdaje się, że mocno nadzianą staruszkę. Ta Elżbieta Burns jeździła do cioci, do Krakowa.

- Czyja to wreszcie ciotka, Barańskiej czyjej kuzynki?

- Ich obu. Rodzina.

- Warto by się przejechać do owej cioci.

- Miałabyś ochotę?
- Dlaczego nie? Lubię Kraków. Powiedz mi, Władziu, czy Barańską zabrałeś ze szpitala?
- Nie. Z domu pana docenta Grabowskiego.
- A cóż ona tam robiła?
- Urzędowała w charakterze pielęgniarki. Podobno twój mąż naraił jej tę robotę.
- Paweł?
- Zdaje się, że właśnie tak ma na imię twój mąż.
- Dziwne. Nic mi o tym nie wspominał.
- Rzadko się zdarza taki mąż, który by o wszystkim wspominał swojej żonie.
- Jak ona się zachowała, kiedy do niej przyszedłeś? - spytała Anna.
- Bardzo się zmieszała, dowiedziawszy się, że jestem oficerem milicji.
- Jeżeli liczyła na to, że jej kuzynka otruje się tą pastą w Londynie, to nie miała powodu peszyć się twoją wizytą. Chyba że tam jest coś jeszcze nie w porządku.
- Motycz spojrzał z uznaniem na Annę.
- Nawet zupełnie logicznie rozumiesz. Widzę, że ci główka pracuje.
- A jak z twoją główką, Władeczku?
- Różnie. Raz lepiej, raz gorzej, a czasem w ogóle awaria.
- Czy Barańska nocowała u siebie w mieszkaniu?
- Nie. Na cały miesiąc przeniosła się do Grabowskich. Jest tam co prawda gospoia, ale przychodzi tylko parę razy w tygodniu, a matka docenta Grabowskiego musi mieć stałą opiekę. To ciężko chora staruszka i nie można jej samej zostawić.
- Hm... - Anna pokiwała głową. - Rozumiem. Z tego, co mówisz, wynika, że Barańska mieszkała u Grabowskich, a Elżbieta Burns wyjechała do ciotki, do Krakowa. Można więc wysnuć logiczny wniosek, że mieszkanie Barańskiej było puste.
- I co z tego?

- Na razie nic. Po prostu ustawiam sobie całą sytuację. Zastanawiam się nad tym, w jakim momencie Barańska mogła ewentualnie zatruć tę pastę. Bo jeżeli jej kuzynka wyjechała do Krakowa, to zapewne zabrała ze sobą szczoteczkę i pastę do zębów.

- Niewątpliwie tak. Ale to nie ma większego znaczenia. Barańska mogła zatruć pastę przed wyjazdem kuzynki do Krakowa. Taka tuba starcza na dłuższy czas. Zresztą sam moment nafaszerowania pasty cyjankiem potasu nie jest istotny. Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Może i masz rację - zgodziła się Anna. - Więc życzysz sobie, żebym pojechała do Krakowa?

- Życzę sobie. To mi jest nawet bardzo na rękę. Może jutro?

- Dobrze. Zaraz kupię sobie bilet w „Orbisie”.

Paweł czekał niecierpliwie.

- No i co? Czego się dowiedziałas?

Anna wzruszyła ramionami.

- A czegoż się miałam dowiedzieć? Barańska jest podejrzana o otrucie swojej kuzynki. Śledztwo w toku.

- Ależ to nieprawda, to jakieś fatalne nieporozumienie! - wybuchnął Paweł. - Dorota ma masę różnych wad, ale nigdy...

- Nie denerwuj się tak strasznie - upomniała go Anna. - Jeżeli jest niewinna, na pewno się to wyjaśni. Sprawę trzeba dokładnie zbadać. Dopiero początek dochodzenia.

- Pomożesz, Aniu?

- Spróbuję. Włączyłam się do śledztwa.

- Dziękuję ci. Jesteś strasznie kochana. Ja absolutnie nie wierzę w winę Doroty. Zresztą to nie tylko moje zdanie, ale także i profesora... Kobieta, która tyle serca okazuje chorym, nie może być morderczynią.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że umieściłeś Barańską u docenta Grabowskiego? - spytała Anna z odcieniem wyrzutu w głosie.

- Nie uważałem, że to ważne. Jakoś się nie zgadało.

- Skąd ci w ogóle przyszło do głowy, żeby umieszczać Barańską u Grabowskich?

- Prosił mnie o to profesor Stasiewicz.

- Stasiewicz? Ten z Instytutu Biologii?

- Ten sam. Operowałem mu wyrostek. Zadzwoił do mnie niedawno i spotkaliśmy się w herbaciarni, w „Gongu”. Prosił, żebym polecił jakąś pielęgniarkę, bo Grabowski wyjeżdża za granicę i nie może zostawić chorej matki.

- Barańska nie jest pielęgniarką. To tylko salowa.

- Wiesz doskonale, że ona ma duże kwalifikacje. Kształciła się na pielęgniarkę. Nie zrobiła tylko dyplomu, ale praktycznie to nie ma większego znaczenia. Profesor Stasiewicz poznał ją podczas swojego pobytu w szpitalu. Powiedział, że bardzo ją ceni i że chciałby ją właśnie zaprotegować Grabowskiemu. Wiesz, że mi trochę zależy na Stasiewiczzu i dlatego...

- Ciekawe... - powiedziała Anna i zamyśliła się.

- Co jest ciekawe?

- No to, że profesor Stasiewicz zatroszczył się nagle o matkę docenta Grabowskiego. Zadzwoił do ciebie, spotkał się z tobą w kawiarni...

Paweł wzruszył ramionami.

- Nie widzę w tym absolutnie niczego dziwnego. Pracują w jednym instytucie, są zaprzyjaźnieni... Grabowskiemu nadarzyła się okazja wyjechania służbowo za granicę. Nie rozumiem, dlaczego cię to zastanawia.

- Mniej szał o to - Anna machnęła ręką i zapaliła papierosa.

- Mogłabyś wreszcie rzucić to palenie - powiedział.

- A ty?

- Ja to co innego. Po pierwsze jestem mężczyzną, a po drugie jestem chirurgiem.

- A ja oficerem śledczym, któremu ty zatruwasz życie anty-  
nikotynowymi pogadankami. Rzuć ty, to i ja rzućę.

Paweł skrzywił się.

- Łatwo ci mówić. Ale jak sobie tak cały dzień pogrzebię w

ludzkich wnętrzościach, to potem mam cholerną ochotę zapalić.

- A ja jak cały dzień przesłuchuję faceta, to także mam chęć na papierosa - odparowała Anna.

- Ale ty palisz w czasie przesłuchiwania, a ja nie palę, kiedy operuję.

- Jeszcze by tego brakowało, żebyś pacjentowi do woreczka żółciowego nasypał popiołu.

Paweł poruszył się niecierpliwie.

- Poważnie, Aniu. Bardzo chciałbym, żebyś przestała palić.

- Oczekuję rozsądnej propozycji. Albo oboje rzucamy, albo żadne.

- No, dobra. Oboje rzucamy.

- Od kiedy?

- Bo ja wiem... - mruknął Paweł. Perspektywa życia bez papierosów nagle poważnie go zaniepokoiła.

- Palimy do zakończenia sprawy Barańskiej - powiedziała zdecydowanie Anna. - A potem stop. Oboje. Zgoda?

Paweł westchnął.

- Zgoda.

Anna roześmiała się.

- Nie wyczuwam entuzjazmu w twym głosie.

- No wiesz... Wszelkie gwałtowne decyzje...

- To wcale nie taka gwałtowna decyzja. Nie wyobrażaj sobie, że sprawa twojej Doroty szybko się zakończy. Na mój nos śledztwo potrwa dosyć długo. Jeszcze się napalisz. A propos. Jutro jadę do Krakowa.

- Chcesz zwiedzić groby królewskie?

- Jadę służbowo. Właśnie w sprawie Barańskiej,

- A cóż Dorota ma wspólnego z Krakowem?

Anna energicznie potrząsnęła głową.

- Nie otrzymasz żadnych informacji w czasie trwania śledztwa. A na temat sprawy będziemy rozmawiali tylko wtedy, kiedy

ja o coś zapytam.

Paweł wyprostował się „służbowo”.

- Tak jest, proszę obywatelki porucznika.

Przed wyjazdem do Krakowa Anna porozumiała się jeszcze telefonicznie z Motyczem.

- Słuchaj, Władek, powiedz mi taką rzecz: czy ja mam powiedzieć tej staruszce o śmierci jej siostrzenicy?

W słuchawce zapanowało milczenie.

- Jesteś tam? Halo! Władek! Jesteś tam? Słyszysz?

- Jestem, słyszę. Słyszę. Właśnie myślę.

- No to szybciej myśl, bo się spóźnię na pociąg.

- Widzisz, Anka, rozmawiałem na ten temat z Barańską.

Prosiła, żeby staruszce nic nie mówić. Osiemdziesiąt siedem lat. Rozumiesz? Po co ją tak cholernie denerwować? Wie, że jej siostrzenica wróciła do Anglii i kropka.

- A koszta pogrzebu?

- Barańska dała trochę forsy, a poza tym ta z Anglii przywiozła także parę funtów i dolarów. Wystarczy. Jak tylko wrócisz, zaraz dzwoń do mnie.

- Jasne. Cześć.

Siedząc w przedziale drugiej klasy pociągu pośpiesznego, Anna miała czas zastanowić się nad sytuacją.

Nie ulegało dla niej wątpliwości, że wyświeetlenie sprawy Barańskiej mogło bardzo korzystnie wpłynąć na jej małżeństwo. Już od dłuższego czasu zaczynało się między nimi psuć, a ostatnio Paweł zrobił się zupełnie nieznośny. Bezustannie się o coś awanturował i był coraz bardziej niezadowolony z tego, że jego żona pracuje w milicji. Ona próbowała łagodzić, nie dopuszczać do zbyt ostrych starć, ale nie była w stanie przewidzieć, w jakim momencie Paweł się wścieknie i o co będzie miał pretensje. Czuła, że tak długo oboje nie wytrzymają i że ich małżeństwo wisi na włosku.

Jeżeli ta Barańska naprawdę jest niewinna i jeżeli wszystko to są tylko poszlaki, fatalne zbiegi okoliczności, a ona, Anna,

odegra zasadniczą rolę w wykryciu faktycznego mordercy czy morderczyni, to Paweł zupełnie innymi oczami spojrzy na jej pracę w milicji. Należało teraz zmobilizować całą inteligencję, podeprzeć ją wiedzą fachową oraz paroletnim doświadczeniem i do dzieła...

Trochę niepokoił ją fakt, że Paweł ciągle jeszcze tak się przejmuje Dorotą, ale był to niepokój raczej teoretyczny. Kobieca intuicja mówiła jej bowiem, że rzeczywiście Pawła już, dawno nic nie łączy z dziwną salową i że po prostu chce się w stosunku do niej przyzwoicie zachować. Tego nie można mu było mieć za złe. Podczas owych rozmyślań trochę imponowała sama sobie.

Inna usiłowałaby pogrzyźć rywalkę, a ja zrobię wszystko, żeby ją ratować! - uśmiechnęła się. - Oczywiście jeżeli to nie ona wykończyła kuzynkę.

Po tych rozważaniach natury osobistej, Anna zaczęła się zastanawiać nad sprawą. Niewielkim jeszcze dysponowała materiałem, ale zawsze już coś. Cyjanek potasu w paście do zębów. Trudno odmówić mordercy pomysłowości! Skąd jednak Dorota mogłaby zdobyć cyjanek potasu? W szpitalu? Wykluczone. Musiałaby mieć dostęp do laboratorium. Jakiś instytut doświadczalny. Chemia... biologia. Aż podskoczyła. Biologia!

Profesor Stasiewicz i docent Grabowski pracują w Instytucie Biologii Doświadczalnej. U nich na pewno można się zaopatrzyć w cyjanek potasu.

Chyba przesadzam - pomyślała. - Ostatecznie niepodobna każdego pracownika zakładu przyrodniczego czy farmakologicznego podejrzewać o otrucie kuzynki Barańskiej. Nonsens. Ale dlaczego Stasiewiczowi tak zależało na tym, żeby właśnie Dorota opiekowała się matką docenta Grabowskiego?

Ta sprawa nie dawała jej spokoju i wracała ciągle w różnych wariantach. Może któryś z nich, Grabowski albo Stasiewicz, chciał otruć Barańską i podarował jej pastę do zębów, którą



ona z kolei ofiarowała swojej kuzynce? Mało prawdopodobne i dosyć fantastyczne. Ale w tej koncepcji coś jest, jeżeli się założy, że Dorota nie ma nic wspólnego ze zbrodnią. A może Dorota była w instytucie, w którym pracuje Grabowski, i wykorzystwała jakąś odpowiednią chwilę, żeby zaopatrzyć się w cyjanek potasu? Nie wolno przecież z góry zakładać, że jest niewinna. Trzeba brać pod uwagę wszystkie ewentualności i nie sugerować się. Tylko taka postawa może zapewnić całkowite powodzenie w śledztwie.

Kim była zamordowana? Jakie miała powiązania? Z jakimi ludźmi utrzymywała kontakty? Komu mogło zależeć na jej śmierci? W jakim celu przyjechała do Polski? Czy tylko po to, żeby odwiedzić starą ciotkę i kuzynkę? A może miała tu jakieś interesy... albo wrogów? Może się komuś naraziła lub na przykład kogoś szantażowała? Na te wszystkie pytania należało odpowiedzieć, aby otrzymać pełniejszy obraz sprawy. Na razie istniała praktycznie tylko jedna poszlaka, której uczepił się Władek Motycz.

Anna wiedziała jednak, że Motycz jest dobrym fachowcem, człowiekiem obrotnym, inteligentnym i że na pewno nie poprzestanie na „maglowaniu” Barańskiej. Nie wątpiła też, że i jemu zależeć będzie na dogłębnym zbadaniu sprawy, na wykryciu prawdy.

W Krakowie zostawiła walizeczkę z niezbędnymi drobiazgami w przechowalni. Nie była pewna, czy zdąży jeszcze tego samego dnia wrócić do Warszawy i przygotowała się na nocowanie w hotelu.

Jeżeli zostaną na noc, zadzwonię wieczorem do Pawła - pomyślała. - Biedny Paweł. Tak się zdenerwował tą Dorotą.

Stare uliczki Krakowa wprowadziły ją, rzec by można, w historyczny nastrój. Panowała tu zupełnie inna atmosfera aniżeli w Warszawie. Jakoś spokojniej, ciszej, chyba... dostojniej. I ludzie sympatyczniejsi, życzliwsi.

Piechotą poszła na Floriańską. Chciała mieć trochę czasu,

żeby się zastanowić nad tą niełatwą rozmową, jaka ją czekała.

Nie umawiała się oczywiście z ciotką Barańskiej, nie telefonowała do niej, ale była pewna, że zastanie staruszkę w domu. Nie omyliła się.

Drzwi otworzyła jej starsza, siwa kobieta o łagodnym spojrzeniu niebieskich, wyblakłych oczu. Długa twarz, zakończona mocno zarysowaną dolną szczęką, czyniła ją podobną do emerytowanej angielskiej klaczy.

- Pani sobie życzy...?

- Chciałabym się widzieć z panią Dobieszycą - powiedziała Anna i uśmiechnęła się przyjacielsko.

- Pani hrabina wypoczywa. - Na słowie „hrabina” kobieta o końskiej szczęce położyła wyraźny akcent.

Anna nie przestawała się uśmiechać. Wiedziała, że tu tylko dobrocią można coś zdziałać.

- A kiedy pani hrabina Dobieszycą przestanie wypoczywać i będzie mogła mnie przyjąć? Przyjechałam specjalnie z Warszawy.

- Z Warszawy? - Niebieskie oczy zrobiły się czujne, badawcze. - Niech pani chwileczkę zaczeka. Zaraz zobaczę, czy pani hrabina już się obudziła.

Anna została sama w przedpokoju. Niecierpliwiła się. Chciała jak najszybciej załatwić sprawę i wracać.

Po dłuższej chwili, stąpając cicho w filcowych bamboszach, powróciła długoszczęka staruszka.

- Pani hrabina jest skłonna przyjąć panią teraz. Chciałaby tylko wiedzieć, z kim będzie miała przyjemność rozmawiać.

Anna westchnęła.

- Nazywam się Anna Majewska. Niestety nie mam przy sobie biletu wizytowego.

I znowu tkwiła w mrocznym przedpokoju, zastawionym wysłużonymi szafami..

Scena zupełnie jak z jakiegoś historycznego filmu - pomyślała. - Brakuje tylko czarnego kota i papugi.

Wreszcie rozległ się pełen urzędowej godności głos staruszki:

- Pani hrabina prosi.

Anna weszła do dużego pokoju, umeblowanego antykami, i osłupiała.

Była przygotowana na to, że zobaczy dostojną matronę, ubraną w aksamity, koronki i żaboty, obwieszoną rodową biżuterią. A tymczasem na małym krzeselku siedziała przed sztalugami żwawa staruszka w wytartych dżinsach i powalany farbami swetrze. Zręcznie poderwała się na powitanie gościa.

- Proszę, bardzo proszę, niechżeż pani siada. Przepraszam, że musiała pani czekać, ale jestem dosłownie terroryzowana przez moją dawną garderobianą. Karolina to bardzo poczciwe stworzenie, ale jest zupełnie niemożliwa. Kurczowo trzyma się starych, przebrzmiałych form i ubóstwia ten cały idiotyczny rytuał, który w dzisiejszych czasach jest czymś absurdalnie śmiesznym. Nie umie pogodzić się z tym, że świat idzie naprzód, życie się zmienia i nie można tkwić uparcie w zeszlowiecznych konwenansach. Koniecznie chciała, żebym włożyła ciemną wizytową suknię, ale ja nie lubię takiego sztywnego ubrania. Pani to chyba nie przeszkadza, że ja tak trochę sans façon.

- Ależ... wprost przeciwnie - powiedziała Anna, która już ochłoneła z pierwszego wrażenia. - Bardzo mi miło, że pani nie krępuje się moją obecnością.

Hrabina podniosła ręce do góry i przeciągnęła się.

- Cała zdrętwiałam od tego malowania. Chyba przeszło trzy godziny siedzę przy sztalugach.

- Pani j est malarką?

- E... za dużo powiedziane. Amatorszczyzna, dyletantyzm. Nigdy się nie uczyłam. W ogóle dawniej nie malowałam. Dopiero na stare lata coś mnie napadło. Widzi pani... największą moją tragedią jest to, że brak mi własnej

indywidualności. Bezustannie maluję „pod kogoś”. Albo „pod” Gierymskiego, albo „pod” Bruegela, albo „pod” Modiglianiego, albo „pod” Picassa. Mam ogromne zdolności w kierunku naśladowstwa. Oczywiście biorę sobie za wzór dobrych malarzy. Mam pełną szafę doskonałych reprodukcji, które sprowadzam z całego świata. Bardzo lubię malować. To mi daje dużo radości. Żałuję, że nie zaczęłam wcześniej.

Angielska klacz uroczyście wniosła na tacy kawę, filiżanki oraz kruche ciasteczka, ułożone starannie w srebrnym koszyczku. Wyraz jej twarzy był pełen godności i z namaszczeniem ustawiła to wszystko na owalnym stoliku.

- A koniak? - dopomniła się Dobieszycą.

- Ależ, pani hrabino... Przecież lekarz...

- Nie dziwacz, Karolciu, nie dziwacz. Jest tam jeszcze trochę tego „Hennessy”. Nalej nam po kropelce.

Karolcia bardzo niechętnie spełniła polecenie i chciała schować koniak z powrotem do szafy.

- Zostaw tę butelkę na stoliku - pisnęła hrabina. - *Queues manieres, voyons. Fic done.* Ta pani mogłaby pomyśleć, że żałujemy jej trochę koniaku.

- Nie pomyślę - uśmiechnęła się Anna.

- Wszystko jedno. Niech się butelka od nas nie odda. Ty natomiast, Karolciu, możesz się oddalić. Dziękuję ci.

Kiedy zostały same, hrabina Dobieszycą podniosła do góry swój kieliszek.

- Pani zdrowie, madame Majewska.

Anna podziękowała i wypila odrobinę koniaku, który był doskonały.

Hrabina pociągnęła spory łyk i z ukontentowaniem mlasnęła leciutko językiem.

- Lubię „Hennessy”. Zawsze lubiłam. To mój ulubiony trunk. Niestety teraz trudno go dostać. Więc pani przyjechała do mnie aż z Warszawy?

- Tak.

- To miło z pani strony, że mnie pani odwiedziła. Nie wiem, co prawda, czemu mam to zawdzięczać, ale zrobiła pani na mnie bardzo miłe wrażenie. Jest pani osobą niesłychanie sympatyczną. Zapewne chodzi o składkę na jakiś cel. Dałam już dosyć dużo na Centrum Zdrowia Dziecka, na odbudowę Zamku i w ogóle na Fundusz Zdrowia. Ale jeżeli jeszcze trzeba na coś dać, to bardzo chętnie. Ja przecież i tak tych wszystkich pieniędzy do grobu nie zabiorę, a należy nasz kraj popierać. Doskonale rozumiem, że wydatki są ogromne.

Anna postanowiła zmienić swój pierwotny plan. Kobieta, którą miała przed sobą, była tak pełna życia, energii i werwy, że nie miało sensu grać komedii. Co innego gdyby zastała tu jakąś nieszczęsną, trzęsącą się staruszczkę, ale hrabina Dobieszicka, mimo swych osiemdziesięciu kilku lat, robiła wrażenie zupełnie młodej, normalnej osoby.

- Ja nie odwiedziłam pani w sprawie jakiejś składki. Mam dla pani bardzo przykrą wiadomość.

Hrabina sięgnęła po butelkę i napelniła kieliszki.

- Przykrą wiadomość? Niechże pani mówi.

- Pani siostrzenica, Elżbieta Burns, nie żyje.

Hrabina starannie zakorkowała butelkę. To, co usłyszała, nie zrobiło na niej większego wrażenia. Przynajmniej tak się mogło zdawać.

- Elżbieta nie żyje. Co to było? Serce?

- Została otruta.

- Otruła się? Elżbieta? Nieprawdopodobne. To nie ten typ.

- Została otruta. Ktoś ją otruł.

- Więc morderstwo?

- Tak. Niestety.

- A pani...?

- Ja jestem z milicji.

Dobieszicką pokiwała głową.

- Rozumiem. Teraz wszystko rozumiem. Pani prowadzi dochodzenie w tej sprawie.

- Tak.

Dobieszyczką podniosła kieliszek i przyglądała się trunkowi pod światło. Nie piła jednak.

- Tak niedawno Elżbieta była tu u mnie - powiedziała po chwili. Spojrzała na Annę. - Panią zapewne dziwi, że ta wiadomość nie wywarła na mnie tak zwanego „wstrząsającego wrażenia”. Widzi pani... im człowiek jest bliższy grobu, tym coraz mniej się przejmuję śmiercią innych ludzi, choćby nawet była to rodzina. No cóż... Prawdę mówiąc ja z Elżbietą niewiele miałam wspólnego. Nie byłam z nią związana uczuciowo, chociaż to córka mojej rodzonej siostry. Nasze poglądy na życie, na świat, na ludzi bardzo się różniły. Mam wrażenie, że i ona także nie lubiła mnie. Ale kto ją mógł otruć? To bardzo dziwna i sensacyjna historia. Czy są już jakieś poszlaki? Czy podejrzewacie kogoś?

- Pani Elżbieta Burns mieszkała u Doroty Barańskiej - powiedziała Anna.

Stara dama zachnęła się.

- Wykluczone. Dorota nigdy by nie zrobiła takiej rzeczy. Zresztą dlaczego, w jakim celu?

- Prowadzimy śledztwo. W tej chwili właściwie jeszcze nic nie wiemy.

Hrabina wypiła koniak.

- Na pogrzeb nie pojedę - powiedziała stanowczo. - To dla mnie zbyt fatygujące. Dam, ile trzeba, ale nie pojedę. Nieboszczce nic nie pomogę, a sama się bardzo zmęczę. Nie lubię pogrzebów. Kiedy skończyłam osiemdziesiąt lat, przestały mnie bawić te cmentarne nastroje. I tak niedługo... - Machnęła ręką. - Mniejsza z tym. No więc co pani o tym sądzi, droga pani?

- Jeżeli to możliwe, chciałabym się dowiedzieć czegoś o zmarłej.

- Co was interesuje?

- Absolutnie wszystko. Nigdy nie wiadomo, jaki szczegół

może mieć znaczenie dla śledztwa.

Staruszka pokiwała głową. Jej niedawny wigor jak gdyby trochę przygasł.

- Tak. Rozumiem. Żeby ułatwić pani sytuację, może wpierw w paru słowach scharakteryzuję świętej pamięci Elżbietę.

- Bardzo będę zobowiązana - przytaknęła skwapliwie Anna.

- Czy pani pozwoli mi zapalić?

- Proszę. Oczywiście. Może i ja także... Wprawdzie lekarz stanowczo zabronił, ale od czasu do czasu lubię się sztachnąć.

Anna wyjęła z torebki papierosy i poczęstowała hrabinę.

- No więc tak... - powiedziała stara dama, puszczając precyzyjne kółka z dymu. - Elżbieta była typem ogromnej materialistki. Dla niej istniały tylko pieniądze. Przyznaję, że pieniądź ułatwia człowiekowi życie, ale nie można robić z niego bóstwa. Nie wiem, po kim ona to odziedziczyła. Chyba po ojcu. Ta zachłanność, to gromadzenie, to ciągle zdobywanie funtów, dolarów, franków...

- To była córka pani siostry.

- Tak, mojej rodzonej siostry, która zginęła w katastrofie. Była ode mnie dużo młodsza. Gdyby żyła, miałyby zapewne około siedemdziesiątki. No cóż... Prowadziła automobil jak wariatka. Wiele razy ostrzegałam ją, że to się źle skończy. Ja nigdy nie miałam specjalnego zapалу do automobilów. Huczy to i cuchnie. Całe moje życie wolałam konie. Dawne czasy... Bryczki, powozy, landa, amerykany, konie wierzchowe... Wy, młodzi, nie zdajecie sobie sprawy, ile to miało wdzięku, ile uroków.

Anna pomyślała, że z tych „uroków” bardzo niewielu ludzi mogło korzystać. Nie podzieliła się jednak tą refleksją.

- Wspomniała pani, że swego czasu ofiarowała pani dość znaczne kwoty na odbudowę Zamku i na Centrum Zdrowia Dziecka. Widocznie tak się szczęśliwie złożyło, że ocalało coś z dawnych majątności.

Hrabina zgasła papierosa.

- Muszę się pani przyznać pod sekretem, że jestem bardzo

bogata. Zresztą to nie żadna tajemnica. Tak, jestem bardzo bogata. Prawdę mówiąc: nawet nie wiem, co z tymi pieniędzmi robić. *Ambaras de richesse*. Ale to wszystko nie pochodzi z moich dawnych majątkości, jak pani to ładnie określiła. To mój świętej pamięci mąż zostawił mi tyle dóbr materialnych. Kochany Teodor. Bardzo byłam do niego przywiązana. Trochę pędziwiatr, ale niezmiernie przyzwoity i prawy człowiek. Nieraz się dziwiłam, że mimo tych swoich cech doszedł do takiego majątku. Uczciwi ludzie na ogół nie dochodzą do dużych pieniędzy. Niech pani sobie wyobrazi, że Teodor, mimo iż pochodził z arystokratycznej rodziny, był człowiekiem inteligentnym, przedsiębiorczym i umiał sobie radzić w życiu.

- Czy można wiedzieć, na czym się dorobił pani mążzonek?

- spytała Anna.

- Ach, czego on nie zakładał. Jakieś fabryki, farmy, stacje, miał nawet własny statek. Dużo tego zostawił, bardzo dużo. Nawet dokładnie się nie orientuję. Mam wstręt do interesów.

- A gdzie są te wszystkie fabryki?

- W Ameryce Południowej naturalnie. Brazylia, Urugwaj, Argentyna... Teodor w czasie wojny robił ogromne interesy i po wojnie także. Zapisał mi to wszystko. Biedaczek. Nie ma pani pojęcia, jak mi go czasami brak.

- I przysyłają pani dywidendy?

- Oczywiście. Muszą. Przecież to moja własność. Moich interesów pilnuje całe biuro adwokackie, które założył Teodor. Przysyłają mi dywidendy w dolarach, różne rachunki, zestawienia, bilanse, których ja oczywiście nie czytam. Po co mi to?

- Przepraszam za pytanie - powiedziała z pewnym zakłopotaniem Anna. - Czy pani sporządziła testament?

- Oczywiście. Człowiek nigdy nie wie, kiedy dobiegnie do mety, a tym bardziej w moim wieku. Jestem bezdzietna, więc zapisałam trzy czwarte mojego majątku Elżbiecie, a jedną czwartą Dorocie. Uważałam to za słuszne. Dorota jest córką mojego stryjecznego brata. To już boczna linia.



- W obecnej sytuacji cały majątek dziedziczy po pani Dorota Barańska...

Hrabina spojrzała bystro na Annę.

- Co pani chce przez to powiedzieć?

- Absolutnie nic. Stwierdziłam tylko fakt.

- To nieprawda. Pani sugeruje, że Dorota otruła Elżbietę, żeby dziedziczyć po mnie cały majątek. Ale ja w to absolutnie nie wierzę. Za Dorotą specjalnie nie przepadam. Ona posiada takie parweniuszowskie cechy, których ja nie znoszę. Ale jestem przekonana, że nie ma nic wspólnego z tą zbrodnią. Wykluczone. Żeby jednak nie było żadnych nieporozumień, zmienię testament i zapiszę wszystko na skarb państwa.

- Może pani zaczeka do ukończenia śledztwa - zaproponowała Anna. - W tej chwili nie mamy żadnych konkretnych dowodów przeciwko pani Barańskiej.

- Nie, nie... - Hrabina zamachała rękami. - Nie będę czekała. Widzę, że w ogóle źle zrobiłam, od razu nie przepisując tego wszystkiego na skarb państwa. Teraz nie byłyby możliwe tego rodzaju sugestie.

- Czy pani ma jeszcze jakąś rodzinę?

- Nie. Nie mam absolutnie nikogo. Jestem sama. Jediną bliską istotą jest ta poczciwa Karolcia. Cała moja rodzina, bliższa i dalsza, wyginęła w czasie wojny. Jedni na froncie, drudzy w obozach. Gdyby nie ten majątek, który mi zostawił Teodor, musiałabym zapewne spędzić resztę życia w jakimś domu dla starców. Straszne. Więc pani jest milicjantką, oficerem milicji?

- Tak - odparła Anna, trochę zaskoczona nagłą zmianą tematu.

- Dziwne sobie teraz kobiety wybierają zawody. I panią to bawi?

- Interesująca praca.

- Ale pewnie pensyjkę dostaje pani mamą. Jak to teraz wszyscy.

- Zarabiam skromnie, ale wystarcza mi na moje potrzeby.  
- Ma pani dzieci?  
- Jeszcze nie. Niedawno wyszłam za mąż. Dzieci pociągają za sobą duże wydatki. Mój mąż jest wprawdzie lekarzem, chirurgiem, ale...

Hrabina machnęła ręką pogardliwie.

- Lekarz? Chirurg? Lepiej by się zabrał do sadzenia truszkówek, szczypiorku, marchewki. Praca na świeżym powietrzu i duże dochody. Chciałabym pani zrobić pewną propozycję, tylko niech się pani nie obrazi.

- Dlaczegoż miałabym się obrazić?

- Bo to tak trochę niezbyt zręcznie - uśmiechnęła się hrabina. - Proszę mi przyrzec, że się pani nie obrazi. Jestem starą kobietą, mogłabym być pani babką.

- Przyrzekam, że się nie obrażę - powiedziała Anna.

- Bo widzi pani... ja bym bardzo chciała, żebyście dowiedli niewinności Doroty. U nas w rodzinie trafiały się różne szalawicy, nieponie, karcjarze, ale morderców, chwała Bogu, nie było. Ofiarowuję pani, jako premię, pięć tysięcy dolarów, jeżeli zdoła pani

dowieść, że Dorota nie popełniła tej zbrodni.

Anna potrząsnęła głową.

- Bardzo dziękuję, ale takiej propozycji przyjąć nie mogę. Bez żadnej premii zrobię wszystko, żeby dojść prawdy.

- Miała się pani nie obrazić. Przyrzekła pani - westchnęła hrabina.

## **Rozdział VI**

Motycz z prawdziwym entuzjazmem powitał powrót swojej współpracownicy.

- No, nareszcie. Miałaś przyjechać wczoraj.

- Miałam, ale nie przyjechałam. Nie myśl, że rozmowa z hrabiną w dzinsach to taka prosta sprawa.

- Z hrabiną w dzinsach?

- Niesamowita staruszka. Jeszcze takiej nie widziałeś. Osiemdziesiąt kilka lat, pije koniak, pali papierosy, chodzi w dzinsach i w starym, poplamionym swetrze. A przy tym wszystkim umysł jasny, trzeźwy. Ani śladu jakichś sklerotycznych zahamowań. Wszystko wie, wszystko pamięta, orientuje się w literaturze, w filmie, chodzi do teatru, jest *au courant* sytuacji międzynarodowej. Zaprosiła mnie na kolację. Nie mogłam odmówić. Rozmowa z nią to prawdziwa przyjemność.

- I dlatego nie wróciłaś wczoraj, że zostałam u pani hrabiny na kolacji, tak?

- Nie wypadło mi odmówić. Bardzo się zmartwiła, że się na nią obraziłam.

- Ty? A za cóż miałybyś się obrazić?

- Zaproponowała mi pięć tysięcy dolarów premii, jeżeli zdolam uwolnić od podejrzeń Barańską.

- Więc jej powiedziałaś?

- Tak. Kiedy ją zobaczyłam, doszłam do wniosku, że nie ma sensu kręcić. Zresztą niespecjalnie przejęła się śmiercią siostrzenicy.

Motycz przysunął krzesło.

- Siadaj i opowiadaj wszystko od początku. Muszę mieć klarowny obraz tej twojej wizyty u hrabiny.

Anna usiadła, zapaliła papierosa i opowiedziała. Kiedy skończyła, Motycz zatarł ręce w zadowoleniu.

- No to, kochana moja, wszystko jasne. Chyba trudno o wyraźniejszy motyw zbrodni. Barańska postanowiła odziedziczyć cały majątek po cici. Nafaszerowała cyjankiem pastę do zębów, licząc na to, że kuzynka wykorkuje w Londynie i wtedy sam diabeł nie dojdzie, kto, co i jak. Nie wzięła pod uwagę takiej ewentualności, że tamta naciśnie tubę pośrodku i że tuba pęknie z tyłu. Prawdopodobnie przy tych manipulacjach z cyjankiem tył tuby został osłabiony i trzasnął. Sprawa zupełnie prosta.

- Aż nazbyt prosta - zauważyła Anna. - Powiedziałabym więcej: podejrzenie prosta. Słyszałeś, co mówiłam na początku, że hrabina chciała mi odpalić pięć tysięcy dolarów za oczyszczenie Barańskiej z wszelkich podejrzeń?

- Babcia ma szeroki gest - uśmiechnął się Motycz. - Bardzo wątpię jednak, żeby można było dowieść niewinności Barańskiej. Poszlaki są zbyt mocne i zbyt wyraźne.

Anna przysunęła sobie popielniczkę i z pewną niechęcią popatrzyła na koleżkę.

- Nie poznaję cię, Władek. Słowo daję. Zawsze jesteś taki dociekliwy, podejrzliwy, starasz się spojrzeć na każdą sprawę z wielu stron, wziąć pod uwagę różne ewentualności, a w tym wypadku idziesz po najmniejszej linii oporu. Zakładasz, że Barańska jest winna i kropka.

Motycz uśmiechnął się.

- O, widzę, że jednak poważnie myślisz o tych dolarach. A może to pan małżonek napuścił cię na tę robotę? Podobno coś tam kiedyś było między nim a Barańską.

- Miły z ciebie kolega... A tak w ogóle skąd wiesz? - zapezryła się Anna.

- Ptaszki mi powiedziały. Wróbelki.

- Głupi jesteś.

- Typowo kobieca argumentacja.

- Daj spokój. Mówmy poważnie.

- Zgoda. Mówmy poważnie. Możesz być zupełnie pewna, że gdyby cała historia nie była tak przejrzysta, oczywiście zrobiłbym wszystko, żeby dotrzeć do prawdy. W obecnej sytuacji jednak uważam to za stratę czasu. Zastanów się, Aniu. Przecież mamy do czynienia z motywem zbrodni całkowicie przekonującym.

- A gdyby przyjąć inną hipotezę? - Anna strzepnęła popiół i przez chwilę przyglądała się z zainteresowaniem swoim paznokciom. - A jeżeli to zupełnie ktoś inny chciał się pozbyć tej kobiety albo jeżeli komuś przeszkadza Barańska i właśnie

Barańska miała zostać otruta, a tamta tylko przez pomyłkę...  
Albo...

- Tak fantazjować można w nieskończoność, do niczego to nas nie doprowadzi - przerwał jej Motycz. - Ale zgoda. Przyjrzyjmy się sprawie jeszcze raz. Chciałbym ci coś zaproponować.

- Co mianowicie?

- Może byśmy tak wspólnymi siłami przeszukali mieszkanie Barańskiej. Ja to co prawda już raz zrobiłem, ale dosyć pobieżnie.

- Bardzo ci się dziwię, że do tej pory dokładnie nie spenetrowałeś go - powiedziała Anna z nutą pewnej satysfakcji w głosie.

Motycz poklepał ją lekko po ramieniu.

- Dobra, dobra. Zamiast się dziwić, kładź płaszcz i jedziemy.

Anna była zaskoczona luksusowym urządzeniem mieszkania Barańskiej.

- Skąd ona bierze forszę na to wszystko? Zdumiewające.

- No, właśnie - przytaknął Motycz. - Dosyć dziwne. Salowa... Chyba, że jej ciotka odpala dolary. Albo ma jakieś inne źródła dochodu.

- Pójdę po dozorczynię - powiedziała Anna. - Będzie świadkiem naszej działalności.

Dozorczyńni była bardzo niechętnie usposobiona.

- O co się rozchodzi?

Motycz uśmiechnął się przyjacielsko.

- Chcieliśmy prosić, żeby pani pobyła tu trochę z nami w tym mieszkaniu.

- Właśnie pioreę.

- To pani odłoży pranie na później.

- Tyle zawracania głowy o jedno głupie otrucie - burknęła gniewnie dozorczyńni. - Mnie tam nic do tego, ale to na pewno Barańska wykończyła kuzynkę.

- Dlaczego pani tak sądzi? - spytała Anna.

- No bo któż by? Niesympatyczna kobieta ta Barańska. Niedobrze jej z oczu patrzy. Nie chciałabym z nią mieć nic do czynienia.

Zabrali się do roboty. Szafy, szafki, półki z książkami, biurko i wreszcie spakowana walizka z nalepkami linii lotniczych. W tej walizce Anna znalazła kwit z przechowalni bagażowej na Dworcu Głównym oraz bilet na samolot odlatujący do Londynu.

- Słuchaj no, Władziu, jakim środkiem lokomocji przyjechała do Polski Elżbieta Burns?

- Samolotem.

- Dziwne. Przyleciała samolotem, miała zamiar odlecieć samolotem, a jakiś bagaż zostawiła na Dworcu Głównym.

- Rzeczywiście. Ciekawe. Trzeba będzie odebrać ten bagaż. A zobacz, co ja znalazłem. - Wskazał gruby zeszyt, leżący na biurku. - Nazwiska i telefony. Masę tego. Musimy sprawdzić, czyj to zeszyt, Barańskiej czyjej kuzynki.

- A może spróbujemy nakręcić któryś z tych numerów? - zaproponowała Anna.

Motycz wzruszył ramionami.

- Można, ale co to da? Przy każdym numerze jest imię i nazwisko. Ciekawe, że same kobiety. Ani jednego mężczyzny.

Parę numerów to były mieszkania prywatne, a parę centrale szpitali.

- No i co o tym sądzisz?

- Ano cóż... Barańska ma widocznie liczne znajomości w swojej branży - powiedział Motycz. - Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Dziwne jest tylko to, że nie utrzymuje kontaktów z mężczyznami.

Poza tym znaleźli kilka bonów dolarowych, sześć tysięcy złotych oraz trzysta dolarów w banknotach studolarowych. Suknie, kapelusze, buty, perfumy - wszystko w najlepszym gatunku.

- Jak z materiałem daktyloskopijnym? - spytała Anna.

- Zebrany. Nie tak dużo tego. Na razie do niczego to nie służy,

- Długo jeszcze mam tu sterczeć? - zniecierpliwiła się dozorczyni. - Mam dosyć swojej roboty.

Motycz spojrział na Annę.

- No cóż... Chyba nic już nie zwojujemy w mieszkaniu pani Barańskiej.

- Swoją drogą ciągle nie daje mi to spokoju, że taka kobieta pracuje w szpitalu jako salowa - odezwał się w drodze powrotnej Motycz. - Zupełny nonsens.

- Podoba ci się? - spytała Anna.

- Bo ja wiem... Nie zastanawiałem się nad tym. Kobieta, którą przesłuchuję, staje się dla mnie istotą bezpłciową. Myślę jednak, że chyba mogłaby mi się podobać. Atrakcyjna babka.

- Jak byś się zapatrywał na to, żebym jeszcze ja ją przesłuchała?

- Nie zgłaszam sprzeciwu. Jeżeli cię to bawi... Ostatecznie wspólnie prowadzimy tę sprawę.

- Mam ogromną ochotę ją przesłuchać - powiedziała Anna i zamyśliła się.

Następnego dnia wcześniej przyszła do komendy. Zaraz jej powiedziano, że szef ją wzywa. Pułkownik miał zatroskaną minę.

- Głupia historia, bardzo głupia historia.

- A co się stało?

- To pani nic nie wie?

- Nie. Nic nie wiem.

- Motycz w szpitalu.

- Rany boskie! Władek? Jakiś wypadek?

- Wpadła na niego ciężarówka, a ten mały „Fiacik”... Kierowca ciężarówki był pijany i... Motycz na szczęście wyszedł z tego stosunkowo obronną ręką. Mogło być gorzej. Ale parę tygodni potrzymają go w szpitalu.

Anna była wstrząśnięta.

- Już dosyć cackania się z tymi pijakami przy kierownicy! Przez tyle lat nie możemy dać sobie rady z tą plagą. Ja bym to błyskawicznie załatwiła.

- Co pani proponuje? - uśmiechnął się pułkownik.

- Bardzo proste rozwiązanie. Facet, który po wódce siada za kierownicą, powinien raz na zawsze stracić prawo jazdy. To człowiek nie nadający się do prowadzenia wozu. Tak jak nie wydaje się prawa jazdy niewidomym. A jeżeli ktoś spowoduje po pijanemu wypadek i zabije czy porani ludzi - dziesięć lat więzienia. Tylko bardzo surowe kary mogą załatwić ten problem. Nasze ustawodawstwo, nasze sądy są ciągle niesłychanie pobłażliwe dla pijaków. Pułkownik pokiwał głową.

- Ma pani niewątpliwie dużo racji. Nasze prawodawstwo rzeczywiście jest w wielu wypadkach zbyt tolerancyjne. Ja sam już parokrotnie występowałem w tej sprawie, pisałem artykuły, zabierałem głos w dyskusji, ale... Wracajmy jednak do aktualnych kłopotów. Nie wiem, kogo by tu pani przydzielić do pomocy. Strasznie w tej chwili jest u nas ciężko z ludźmi. Motycz w szpitalu, Kamiński na urlopie, Tomczyk i Wronecki mają swojej roboty do licha i trochę... Wspominał mi Motycz, że właściwie sprawa tej Barańskiej jest zupełnie jasna i że nie ma specjalnych komplikacji. Czy pani nie sądzi, że stosunkowo szybko można by zamknąć dochodzenie i przesłać akta do prokuratury?

- Nie sądzę - odparła Anna. - I muszę panu pułkownikowi powiedzieć, że w tym wypadku nie bardzo zgadzam się z Motyчем. Moim zdaniem to wcale nie jest takie proste. Co prawda motywy zbrodni są wyraźne i poszlaki przeciwko Barańskiej mogłyby nie budzić wątpliwości, tym niemniej uważam, że powinno się jeszcze dokładnie zbadać wszystkie ewentualności i warianty. Wiemy przecież, że właśnie przy tych najbardziej „oczywistych” i pozornie prostych motywach najłatwiej o pomyłkę.

Pułkownik z dużym zainteresowaniem patrzył na swoją



młodą współpracownicę.

- Mówi pani jak stary, doświadczony wyga - powiedział z uznaniem. - To mi się podoba. Czy pani czuje się na siłach sama, bez niczyjej pomocy, zbadać owe inne aspekty sprawy?

- Oczywiście. Właśnie to miałam zamiar zaproponować.

- Zgoda. Nie chciałbym jednak, żeby dochodzenie wlokło się w nieskończoność. Proszę z miejsca wziąć ostre tempo i możliwie często informować mnie o tym, co pani zdziałała. W tej chwili daję pani zupełnie wolną rękę.

Anna zaróżowiła się z zadowolenia. Nigdy jeszcze nie prowadziła samodzielnie tak poważnej sprawy.

- Czy można odwiedzić Motycza w szpitalu? - spytała.

- Oczywiście. Władzio jest solidnie pokiereszowany, ale na szczęście na tym się skończyło. Podobno nawet humor mu dopisuje. Niech pani idzie do niego. Ucieszy się.

Motycz na pierwszy rzut oka wyglądał dosyć oplakanie. Głowa w bandażach, noga na wyciągu, ręce poobklejane plastrami. Uśmiechał się jednak dziarsko, żartował z pielęgniarkami, a na widok Anny aż zapiał z zachwytu.

- To się nazywa szlachetna dusza. Nie tylko, że przyszła, ale jeszcze przyniosła mi przepiękne kwiaty. Co na to powie twój Pawełek?

- Nie martw się o niego - powiedziała wesoło Anna.

Motycz spochmumiał.

- Masz rację. O kogo tu miałby być zazdrosny? Widzisz, jak mnie urządził ten pijus? I wiesz gdzie? Na placu Dzierżyńskiego, w najbliższym sąsiedztwie komendy.

- Złapali go?

- Oczywiście. Siedzi. Ale jestem pewien, że się wykręci byle jakim wyrokiem. Te wyroki za jazdę po pijanemu to u nas w ogóle są bardzo dziwne.

Anna pokiwała głową.

- Tak. Nawet rozmawialiśmy na ten temat z pułkownikiem.

- I cóż nasz staruszek? Dał ci kogoś do pomocy?

- A po co mi czyjaś pomoc, kiedy ty jesteś w takiej wspa-  
niałej formie - uśmiechnęła się Anna.

- Nie przesadzajmy. Ale trzeba przyznać, że miałem trochę  
szczęścia. „Fiat 126” nie przypomina wozu pancernego ani czoł-  
gu. Ta ciężarówka z przyczepą mogła mnie znacznie solidniej  
rozkwasić. No, ale powiedz, co dalej ze sprawą Barańskiej?

- Od wczoraj niewiele mogłam działać - uśmiechnęła się  
Anna. - Z polecenia pułkownika mam jeszcze trochę nad tym  
popracować.

- Trudno rozmawiać, kiedy człowiek nie może wykonać  
żadnego gestu - westchnął Motycz. - Muszę ci wyznać, Aniu, że  
miałem bardzo podłą noc.

- Domyślam się.

- I właśnie podczas tej nieszczęśliwej nocy doszedłem do  
wniosku, że masz rację, jeżeli chodzi o sprawę Barańskiej. Wi-  
docznie częściej muszę wpadać pod ciężarówkę, żeby mi główka  
pracowała prawidłowo.

- Bardzo się cieszę - powiedziała Anna. - To znaczy... nie  
cieszę się, że wpadłeś pod ciężarówkę, tylko że twój pogląd na  
sprawę Barańskiej uległ pewnej modyfikacji.

- Dosyć zasadniczej modyfikacji. Miałaś rację, Aniu. Sprawa  
wygląda stanowczo zbyt prosto. Zaczynam odnosić wrażenie, że  
ktoś postanowił zrobić Barańską w to morderstwo.

- No, dobrze - podjęła temat Anna. - Ale przy takiej kon-  
cepcji nie bardzo jest zrozumiałe ładowanie cyjanku do pasty w  
ten sposób, żeby Elżbieta Burns otruła się dopiero w Londynie.  
Chyba że ktoś chciał się zaasekurować.

Weszła pielęgniarka.

- Bardzo przepraszam, ale chory nie może się tak przemę-  
czać rozmową.

Anna wstała posłusznie.

- Żegnaj, Władeczku. Niedługo znowu cię odwiedzę. Masz  
tutaj znakomitą opiekę oraz gustownie urządzoną separatkę.  
Nie powodzi ci się najgorzej.

Tego dnia Paweł przygotował „luksusową” kolację. Kupił butelkę białego wina, kurczaka z rożna, pudełko sardynek i kawałek znakomitego keksu.

W ogóle od czasu kiedy Anna zajęła się sprawą Doroty, zrobił się o wiele sympatyczniej szy, cierpliwszy i bardziej wyrozumiały dla wszelkich niepunktualności żony - milicjantki.

Anna udawała oczywiście, że nie zdaje sobie sprawy z przyczyn tej metamorfozy. Starła się jednak nie wykorzystywać sytuacji i w miarę możliwości odgrywać rolę przykładnej małżonki.

- Jak ci idzie? - spytał Paweł, kiedy zasiedli do stołu.

- Jakoś sobie radzę.

- Czy sądzisz, że uda ci się wyjaśnić tę historię?

- Powiedziałam ci już, że w czasie trwania śledztwa żadnych informacji się nie udziela, nawet rodzonemu, prawowicie poślubionemu mężowi.

- Jesteś straszliwą rygorystką. Ja ci jednak opowiadam, co się dzieje w szpitalu.

- To zupełnie co innego. A propos. Całkiem zapomniałam o operacji Małgosi. Jak poszło?

- Nadspodziewanie dobrze. Nasz staruszek to jednak genialny chirurg. Ale nawet on mówił, że gdyby na pewno wiedział, że ta mała ma drugi otwór międzykomorowy, to nie jest pewien, czy zdecydowałby się operować takie serce.

- Byłeś przy operacji?

- Tak. Nie miałem z tym żadnych kłopotów. Profesor wie, że ja chcę się specjalizować w kardiochirurgii.

- Wyobrażam sobie, jaka Krystyna szczęśliwa. Muszę do niej koniecznie zadzwonić. Tyle miałam ostatnio na głowie, że zupełnie zapomniałam o operacji tej małej. Jestem Świnia.

- Lubię Krystynę - powiedział Paweł, nalewając wino do kieliszków. - A Adam, co?

- Nic. Nie interesuje się ani Krystyną, ani dzieckiem.

- O co im w ogóle poszło?

- O nic. Zaimponowała mu wzięta dziennikarka z „Fiatem 125”, ożenił się, a następnie rozbił wóz, splodził dziecko i zwał.

- Kawał drania.

- Mało takich?

- Co on teraz robi? Nie wiesz?

- Nie mam pojęcia. Nic mnie to zresztą nie obchodzi. Jestem naprawdę szczęśliwa, że tak się udało z Małgosią. Dla Krystyny to przecież cel w życiu.

- Ciekawe, czy wyjdzie jeszcze za męża.

Anna pokręciła głową.

- Bardzo wątpię. Kto się raz tak sparzył jak ona...

- A ty się nie sparzyłaś, Aniu?

- Dlaczego pytasz?

Spojrzał na nią uważnie.

- Bo czasem mi się zdaje, że nie bardzo jesteś zadowolona ze swojego męża.

- A mnie się znowu dosyć często zdaje, że ty nie jesteś zadowolony ze swojej żony - odparowała Anna.

Roześmieli się.

Po kolacji Anna zabrała się do zmywania, a Paweł, jak zwykle, wycierał pracowicie naczynia. Bardzo tego nie lubił.

Potem oglądali trochę telewizję, ale program był tak mamy, że szybko zrezygnowali z tej rozrywki. Wcześniej położyli się spać. Tego wieczora byli bardzo zgodnym małżeństwem.

## **Rozdział VII**

Anna żyła w rozterce. Wiedziała, że teoretycznie nie powinna prowadzić tej sprawy. Barańska była dawną przyjaciółką Pawła, a więc względy emocjonalne mogły tu odgrywać pewną rolę. W danym wypadku jednak sytuacja zarysowywała się nietypowo. Nie tylko, że nie miała najmniejszego zamiaru pogrążyć tej kobiety, ale wprost przeciwnie, zależało jej na całkowitym oczyszczeniu Barańskiej ze wszystkich podejrzeń. Jej działanie

nie miało więc nic wspólnego z poczynaniami zazdrosnej żony. Była szczerze przekonana, że Pawła od bardzo dawna nic nie łączy z Dorotą i że nawet jej obecność w szpitalu jest dla niego nieco uciążliwa. Domyślała się też, że czuł się trochę nie w porządku w stosunku do Doroty i dlatego tak bardzo zależy mu na tym, żeby ją ratować.

Nie, stanowczo nie powinnam mieć żadnych oporów - myślała.

- Przecież ja ją chcę wszelkimi siłami z tego wydobyć. Działam stuprocentowo na jej korzyść. Zresztą Władek wie o dawnym flircie Pawła i nic nie mówi. Nie będę sobie tym głowy zawracać.

W związku z przejęciem sprawy, musiała przesłuchać Barańską. Czuła trochę tremy przed tą rozmową. Kiedy jednak znalazły się we dwie w milicyjnym pokoju, odzyskała całkowicie zimną krew i opanowanie. Nawet się trochę zdziwiła, że to jej przyszło tak łatwo.

Dorota także nie wyglądała na speszoną. Wprost przeciwnie. Wyraźnie rozbawiona, przyglądała się siedzącej za biurkiem kobiecie w milicyjnym mundurze. Uśmiechała się drwiąco. Pierwsza przerwała milczenie.

- Spotykamy się w dosyć dziwnych okolicznościach - powiedziała wesoło, takim tonem, jakby znajdowały się na jakimś towarzyskim przyjęciu. - Nigdy nie przypuszczałam, że pani będzie mnie przesłuchiwała. Z tego wynika, że nie mam zbyt dużo szans.

- Dlaczego pani tak sądzi? - spytała spokojnie Anna.

- To chyba proste. Pani jest żoną Pawła, a ja kiedyś, przed laty, byłam jego kochanką. Żony z reguły bywają zazdrosne o flirty swych mężów, nawet jeżeli te flirty odbywały się w zamierzchłej przeszłości. Właściwie mogłabym się zwrócić z prośbą, żeby ktoś inny zajmował się moją sprawą. Nie zrobię tego jednak. Niech się pani wyżywa. Proszę.

Mimo prowokacyjnego tonu Doroty, Anna uśmiechnęła się.

Postanowiła zejść z piedestału osoby urzędowej i nawiązać z tą kobietą bardziej swobodny, towarzyski kontakt. Wyjęła z szuflady papierosy.

- Zapali pani?

- Chętnie. Tego mi trochę brakuje.

Przytknęła papierosa do zapalki, którą podsunęła jej Anna, i głęboko zaciągnęła się dymem.

- Ale że też właśnie pani prowadzi moją sprawę! To zabawne.

Anna nie przestawała się uśmiechać.

- A czy pani wie, kto mnie na to napuścił? Paweł.

- Paweł?

- Niech sobie pani wyobrazi. Prosił na Wszystko, żebym pani pomogła. Chce panią ratować. Widocznie gdzieś tam głęboko tkwią jeszcze jakieś wyrzuty sumienia.

- Nie da się ukryć, że w swoim czasie postąpił ze mną trochę po świńsku - powiedziała lekko Dorota. - A zresztą... bo ja wiem. Myślę, że mężczyźni w ogóle mają taki sposób postępowania. Paweł nie jest wyjątkiem. To było tak dawno, że właściwie nie ma o czym mówić. Ale ładnie ze strony Pawła, że się interesuje moim losem.

Anna wyczuwała, że pod swobodnym, lekko kpiącym tonem kryje się niepokój.

- Paweł jest bardzo niezadowolony z tego, że ja pracuję w milicji - powiedziała szczerze. - Mam nadzieję, że zmieni zdanie, jeżeli uda mi się pani pomóc. Jak więc pani widzi, jestem osobiście zainteresowana w tej sprawie, ale nie tak, jak to sobie pani pierwotnie wyobrażała. Zrobię, co będzie w mojej mocy, żeby panią z tego wyciągnąć, a jednocześnie poprawić klimat mojego małżeństwa. Jestem bardzo szczerą w tej rozmowie i tego samego oczekuję od pani.

Dorota zgasiła papierosa. Przestała się ironicznie uśmiechać.

- Mogę pani wierzyć? Mogę pani zaufać?

- To chyba dla pani jedyna szansa - powiedziała z przekonaniem Anna. - Nikt inny nie zajmie się pani sprawą z takim zapalem. A więc do rzeczy. Byłam w Krakowie i rozmawiałam z panią Dobieszycką.

- No i cóż kochana cioteczka? Jak się czuje?

- Wyśmienicie. Mowa była o ogromnym spadku, który po niej zostanie. Podobno znaczną część swego majątku zapisała Elżbiecie Burns.

- Wprost idealny motyw zbrodni - roześmiała się gorzko Dorota.

- To prawda - przytaknęła Anna. - Motyw ewentualnej zbrodni dosyć wyraźny. Sprawa spadku po ciotce poważnie panią obciąża.

- Ależ ja nie otrułam Elżbiety! - wybuchnęła Dorota. - To nieprawda! - Po raz pierwszy w czasie tej rozmowy straciła panowanie nad sobą.

- Okoliczności przemawiają zdecydowanie, przeciwko pani - mówiła dalej Anna. - W zasadzie można by zamknąć dochodzenie i przekazać sprawę do prokuratury, jako poszlakową. I tylko ktoś bardzo zainteresowany w tym, żeby pani dopomóc, zdoła tu jeszcze coś zdziałać.

- A pani rzeczywiście chce mi pomóc?

- Rzeczywiście. W tym też celu prowadzę naszą rozmowę.

- Co pani chce wiedzieć?

- Może zaczniemy od takiego pytania: jakiej pasty do zębów pani używa?

- W każdym razie nie „Colodentu”. Za mdły dla mnie. Wolę „Salux”.

- Dlaczego pani wspomniała o „Colodencie”?

- Rozmawialiśmy przecież na ten temat z panem, który przedtem mnie przesłuchiwał. A propos. Co się z nim stało? Zrezygnował z prowadzenia mojej sprawy?

- Leży w szpitalu. Kraksa.

- O, mój Boże - zmartwiła się Dorota. - Taki sympatyczny

mężczyzna. Czy coś poważnego?

- Musi trochę poleżeć, ale nic groźnego.

- I dlatego pani przejęła śledztwo.

- W pewnym sensie dlatego. Chociaż współpracowaliśmy jeszcze przed wypadkiem. Więc pani wie wszystko o tej paście do zębów.

- Oczywiście. Perfidnie pomyślane. Zdaję sobie sprawę, że moja sytuacja źle wygląda. Wszystko wiąże się w logiczną całość. Nie będzie łatwo dowieść, że ja nie otrułam Elżbiety.

- Spróbujemy - uśmiechnęła się pocieszająco Anna. - Jeżeli pani mi pomoże...

- W jaki sposób?

- To dosyć proste. Nie ulega wątpliwości, że pani więcej wie o sobie i swojej tragicznie zmarłej kuzynce aniżeli ja.

Dorota potrząsnęła głową.

- Nie bardzo rozumiem. Może pani to jakoś bliżej sprecyzuje.

Anna zapaliła nowego papierosa.

- Musimy wspólnie zastanowić się nad wszystkim. Spokojnie i bardzo dokładnie. Tylko jeden warunek.

- Słucham?

- Przyrzeknie mi pani całkowitą szczerłość. Jeżeli pani zacznie kłamać, koniec. Nie będę mogła nic dla pani zrobić.

- Nie będę kłamała.

- W porządku - Anna wyjęła z szuflady kilka arkuszy papieru i długopis. Dotychczas tego nie robiła, żeby nie stwarzać urzędowego nastroju. - A więc zakładamy, że pani nie otruła swojej kuzynki.

- Oczywiście, że jej nie otrułam. Przysięgam.

- Ktoś naszpikował pastę do zębów cyjankiem potasu, przy czym trucizna znajdowała się na końcu tuby. Morderca chciał więc, żeby jego ofiara zginęła dopiero po pewnym czasie. - Anna zrobiła małą pauzę, ale zaraz mówiła dalej: - Teraz należy rozważyć dwa warianty. Albo cyjanek był przeznaczony dla



pani, albo dla Elżbiety Burns.

- Dla mnie? - zdziwiła się Dorota.

- A dlaczegoż by nie? Niech się pani dobrze nad tym zastanowi. Może istnieje ktoś, komu pani bardzo przeszkadza. Czy nie ma pani takich wrogów?

- Nie wiem... nie wiem... - powiedziała niepewnie Dorota. - Nigdy nie myślałam o takich rzeczach...

Anna obserwowała ją uważnie.

- No więc jak? Ma pani wrogów?

- Trudno mi coś na ten temat powiedzieć. Każdy człowiek ma niechętnych sobie ludzi, ale żeby aż truć...

- Proponuję, żeby się pani dobrze zastanowiła i podczas następnej naszej rozmowy przedstawiła mi listę osób, które są źle czy też wręcz wrogo do pani usposobione.

- Spróbuję.

- A teraz drugi wariant. Powiedzmy, że ktoś chciał zlikwidować pani kuzynkę, Elżbietę Burns. Komu mogłoby zależeć na jej śmierci?

- Nie mam pojęcia.

- Przecież pani coś wie o znajomych, o sprawach pani Burns.

Dorota pokręciła głową.

- Wie pani... właściwie... Właściwie to ja nie miałam żadnego bliższego kontaktu z Elżbietą. Widywałyśmy się rzadko. Ja w Warszawie, ona w Londynie... Czasami przyjeżdżała, ale niezbyt często. Nie korespondowałyśmy ze sobą. Prawdę mówiąc, była dla mnie zupełnie obca. Tyle tylko, że pewne więzy rodzinne...

- Czy rozmawiałyście kiedyś o ciotce, o pani Dobieszyckiej?

- Tak. Tym razem, jak tylko Elżbieta przyjechała, odbyłyśmy na ten temat dłuższą rozmowę.

- Mogłaby mi ją pani w paru słowach streścić?

- Oczywiście. Zastanawiałyśmy się nad tym, co ciotka ma

zamiar zrobić z tak ogromnym majątkiem. Kiedyś wspominała, że chce wszystko przekazać na skarb państwa.

- Jak do tej sprawy była ustosunkowana kuzynka?

- Powiedziała, że jej specjalnie na takiej dużej forsie nie zależy i że jeżeli nawet ciotka nic jej nie zapisze, to nie będzie rozpaczała. Podobno miała otrzymać jakąś większą sumę i twierdziła, że jej to zupełnie wystarczy i że nie potrzebuje łaski ciotki.

- Większą sumę? - zainteresowała się Anna.

- Tak. O ile dobrze pamiętam, Elżbieta wspomniała o jakichś pieniądzach, które miała otrzymać w najbliższym czasie.

- Z jakiego tytułu miała dostać te pieniądze?

- Nie mam pojęcia. Nie dopytywałam się. To mnie nie interesowało.

- Hm... Więc pani nie widzi nikogo takiego, komu mogłoby zależeć na śmierci Elżbiety Burns.

- Nie, absolutnie nie. Zresztą, jak już powiedziałam, zupełnie nie byłam wtajemniczona w jej sprawy.

- I nie wie pani, z kim się tutaj kontaktowała, z kim się spotykała?

- Nie.

Anna sięgnęła po nowego papierosa, mimo iż czuła już charakterystyczne drapanie w gardle.

Stanowczo za dużo pałę - pomyślała i położyła papierosa na biurko.

- A teraz chciałabym porozmawiać na pani temat.

- Słucham?

- Proszę mi powiedzieć, jak to się dzieje, że pani zadowala się pracą salowej w szpitalu.

- Po prostu lubię pielęgnować chorych. Czy pani uważa to za rzecz niemożliwą?

- Nie. To bardzo szlachetne zamiłowanie. Uważam tylko, że przy pani inteligencji i kwalifikacjach mogłaby pani zostać przynajmniej pielęgniarką, jeżeli już nie lekarką.

Dorota uśmiechnęła się melancholijnie.

- To nie takie proste. W swoim czasie nie zdałam końcowych egzaminów, a dzisiaj już chyba na to za późno. Nie jestem pewna, czy chciałoby mi się zabierać do nauki.

- Nigdy nie jest za późno na naukę - powiedziała z przekonaniem Anna. - Ale to już pani sprawa. Umówiliśmy się, że porozmawiamy sobie zupełnie szczerze. Słyszałam takie plotki, że pani pracuje w szpitalu dlatego, żeby widywać Pawła.

Dorota wybuchnęła szczerym śmiechem.

- A to dobre! Znakomity numer! Więc po to miałabym podawać chorym baseny, żeby być blisko Pawełka? Ha, ha, ha...! Dawno się tak nie ubawiłam. I któż pani naopowiadał podobnych bzdur? Może sam Pawełek rozprzestrzenia takie wersje na temat swojego męskiego czaru? Niech pani nie wierzy w te brednie. Jeżeli chciałabym uwodzić pani męża, to na pewno nie jako salowa. Zresztą przysięgam, że Paweł w tej chwili tyle mnie obchodzi, co zeszłoroczny śnieg. Dawno było, dawno się skończyło, nie ma o czym gadać. Od tamtego czasu już parę razy zmieniałam kochanków. Nie chcę pani buntować, ale daję słowo, że jest bardzo wielu mężczyzn atrakcyjniejszych od Pawła.

Anna zapaliła jednak papierosa i spytała:

- Czy pani prowadzi ożywione życie towarzyskie?

- Ja? Życie towarzyskie? Ale skądże. Bardzo rzadko ktoś do mnie przychodzi. Czasem jakaś koleżanka...

- Pytam dlatego, że znaleźliśmy w pani mieszkaniu dosyć gruby zeszyt z numerami telefonów różnych kobiet. Zapewne są to pani znajome, przyjaciółki.

Przez twarz Doroty przesunął się jak gdyby cień niepokoju. Nie uszło to uwagi Anny.

- Tak. To są telefony moich znajomych, moich dawnych znajomych, z którymi nie utrzymuję obecnie kontaktów. Przez całe lata tyle się tego zebrało.

- Domyśla się pani zapewne, że musieliśmy przeszukać pani

mieszkanie.

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Mam nadzieję, że nie zrobiliście straszliwego bałaganu.

- Staraliśmy się. Bardzo ładnie się pani urządziła. Piękne meble, obrazy, dywany, eleganckie stroje, buty robione na obstalunek u prywatnych szewców, dwa futra. Znalazłam także francuskie perfumy i trochę drobiazgów nabytych w Peweksie. W związku z tym chciałabym zadać pani pytanie, skąd pani bierze na to wszystko? Bo przecież nie z pensji salowej, nawet gdyby napiwki były bardzo hojne. Musi pani mieć jakieś inne źródła dochodów.

- To nikogo nic nie obchodzi! - zachnęła się Dorota. - Może się kurwię, może gram na wyścigach, może wygrałam w totolotka, może ktoś mnie utrzymuje. Nie mam zamiaru nikomu się spowiadać, skąd biorę pieniądze. W każdym razie nie kradnę.

Anna zaskoczona była tym wybuchem.

- Umówiliśmy się na samym początku, że sobie szczerze porozmawiamy i dlatego...

- Dosyć mam już tej szczerości - burknęła Dorota. - Paskudnie wpadłam i nie ma ludzkiej siły, żeby mnie z tego wyciągnąć. Szkoda tego całego gadania. Niech pani idzie do swojego ukochanego Pawełka, a ja wracam do pudła. Po cholere to gębę strzepić?

- Skąd nagle ten pesymistyczny nastrój? - uniosła brwi Anna. - Nie powinna się pani poddawać chwilowym depresjom. Ale dobrze, na dzisiaj kończymy naszą rozmowę. Proszę się spokojnie zastanowić nad tym wszystkim, o czym tutaj rozmawialiśmy.

Może następnym razem będzie pani skłonna powiedzieć mi więcej i szczerzej. To leży w pani interesie.

Została sama. Ze wstrętem odrzuciła nie dopalonego papierosa i zamyśliła się. Aczkolwiek przesłuchanie Barańskiej nie było pełnym sukcesem, to jednak coś niecoś wniosło do sprawy. A więc przede wszystkim Dorota miała jakichś

tajemniczych wrogów, o których nie chciała mówić. Poza tym zaniepokoiło ją bardzo poważnie znalezienie przez milicję zeszytu z numerami telefonów. I wreszcie wpadła we wściekłość w momencie, kiedy rozmowa zeszyła na temat jej dochodów. O Pawle mówiła szczerze. Anna wyczuwała to kobiecą intuicją. Rzeczywiście nic jej nie obchodził. A może w ten sposób chciała jakoś upozorować swoją pracę w szpitalu w charakterze salowej? To zamiłowanie do niesienia pomocy ludziom chorym nie było zbyt przekonywujące.

Coś się za tym wszystkim kryje, ale co? - zastanawiała się Anna. Coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Barańska nie otruła swojej kuzynki.

Anna zapomniała o pokwitowaniu znalezionym w torbie Elżbiety Burns. Tyle było najrozmaitszych spraw do załatwienia, wypadek Władka Motycza, przejmowanie dochodzenia... Wszystko to razem tak się zbiegło, że zapomniała.

Kiedy przeglądając akta, natrafiła na ten kawałek papieru, natychmiast pojechała na Dworzec Główny.

Z przechowalni odebrała bardzo elegancki neseser z jasnej, mięciutkiej skóry.

Umieję na świecie robić takie cacka... - pomyślała mimochodem i zawiozła neseser do komendy.

Nie mogła go jednak otworzyć. Nie miała kluczyka. Wezwała więc na pomoc sierżanta Tomczyka, który pełnił w komendzie funkcję „etatowego włamywacza”.

Błyskawicznie uporał się z zamkami, nie niszcząc walizki.

- Myślałem, że złoto, a tu same papiery - mruknął niechętnie sierżant. - Szkoda fatygi.

Anna z ogromnym zainteresowaniem przeglądała zawartość walizeczki. Paręset stron fotokopii i kilkadziesiąt rękopisu. Wszystko to najwidoczniej dość długo leżało, bo papier był już miejscami pożółkły.

Znała trochę angielski, ale nie tak dobrze, żeby się zoriento-

wać, o co tu chodzi. Postanowiła porozumieć się z szefem.

Pułkownik przyjął ją natychmiast.

- Co nowego? Jak tam samodzielna działalność śledcza?

- Rozwijają się ku chwale Ludowej Ojczyzny - uśmiechnęła się Anna. - Przychodzę do pana pułkownika z takim większym elaboratem.

- Właśnie widzę sporą porcję papieru. Co to takiego?

- Zamordowana Elżbieta Burns zostawiła to w przechowalni na Dworcu Głównym. Oczywiście przed zamordowaniem.

- Domyślam się. Pokażcie te materiały.

- Zdaje się, że pan pułkownik zna angielski.

- Radzę sobie.

Pułkownik zaczął uważnie studiować fotokopie, wykonane z maszynopisu. Dopiero po dłuższej chwili oderwał wzrok od papierów.

- Interesujące - powiedział, spoglądając na Annę. - Wie pani, co to jest? Praca naukowa na tematy przyrodnicze. Coś z biologii. Trzeba by się porozumieć z jakimś fachowcem. Więc pani twierdzi, że te papiery znajdowały się w walizce Elżbiety Burns?

- Tak. Taka nieduża walizeczka. Oddalają do przechowalni na Dworcu Głównym. O tyle dziwne, że przyleciała do Warszawy samolotem i wracać także miała zamiar samolotem. Znaleźliśmy bilet lotniczy.

- Tak. - Pułkownik pokiwał głową. - No cóż. Będziemy musieli porozumieć się w tej sprawie z jakimś naukowcem, a może nawet z paroma naukowcami. Rzeczywiście wygląda to dość tajemniczo.

Motycz czuł się coraz lepiej. Szybko wracał do zdrowia. Jego żelazny organizm radził sobie znakomicie ze skutkami kraksy. Bardzo się ucieszył, zobaczywszy Annę.

- Jesteś doprawdy niezwykle szlachetną kobietą. Dziękuję ci za odwiedziny i za kwiatki. Przysuń sobie krzesło, siadaj i opowiadaj.

Zaczekali, aż pielęgniarka wyjdzie z pokoju, i Anna opowiedziała o tajemniczej zawartości neseseru.

- Co na to pułkownik? - spytał Motycz, w którego oczach pojawiły się żywsze błyski.

- Bardzo się tym zainteresował.

- Ja myślę. Przecież to może nadać sprawie zupełnie nowy kierunek. Słuchaj, Anka, to bomba. Babka przywozi z Londynu fotokopie rozprawy naukowej w języku angielskim.

- I kilkadziesiąt stron rękopisu - uzupełniła Anna.

- Otóż to. Kilkadziesiąt stron rękopisu. Ten rękopis podpisany?

- Tak. Frederick Oliver Webster.

- Podpisane odręcznie?

- Tak.

- Sensacja. Gdybym mógł, tobym już wstał z tego cholernego łóżka i zabrał się do roboty. W jaki sposób Elżbieta Burns weszła w posiadanie tych fotokopii i tego rękopisu? Jak ci się zdaje?

- Ukradła jakiemuś naukowcowi.

- Zgoda. Ale w jakim celu? I w jakim celu przytaszczyła to wszystko tutaj? Przecież nie po to, żeby robić karierę naukową na bazie pracy tego Anglika.

- Szantaż - powiedziała Anna.

Motycz aż podskoczył na łóżku.

- O, właśnie! Szantaż. To by nam bardzo pasowało. W takim wypadku Barańska rzeczywiście nie miałyby nic wspólnego z tym morderstwem.

- Jasne, że nie.

- Chyba że... - Motycz zmarszczył brwi - chyba że Barańska byłaby w jakiś sposób zamieszana w ten szantaż. Nie wiadomo, jakie ma powiązania. To w tej chwili trudno zgadnąć. Nie możemy tak od razu wyłączyć jej ze sprawy. A jeżeli na przykład jest związana uczuciowo z osobą, którą szantażowała Elżbieta Burns? Kobiety zakochane zdolne są do różnych rzeczy.

- Tak. Zakochane kobiety zdolne są do różnych rzeczy - powtórzyła Anna.

- Przesłuchiwałaś Barańską? - spytał Motycz.

- Oczywiście.

- No i co? Jakie odniosłaś wrażenie?

- Że ona nie otruła kuzynki. Tym niemniej coś tam usiłuje ukryć. Strasznie się cisnęła, jak ją zapytałam o źródła dochodów.

- To rzeczywiście tajemnicza sprawa - powiedział Motycz. - Salowa, żyjąca na takiej stopie... Skąd bierze na to wszystko? Chyba że się puszcza z zagranicznymi gośćmi. Wydaje mi się jednak, że dosyć jest młodszych. Za duża konkurencja.

- Kiedy ją spytałam, czy ma jakichś wrogów, trochę się zmieszała. Właściwie nie odpowiedziała mi na moje pytanie.

- Z tego dałoby się ewentualnie wyciągnąć wniosek, że może ktoś chciał zlikwidować Barańską, a tamta zginęła tylko przez przypadek...

- Otóż to - przytaknęła Anna. - Takiej ewentualności także nie wolno wykluczyć. Zdenerwowała ją również wiadomość, że znaleźliśmy zeszyt z telefonami.

Motycz zamyślił się.

- To wszystko jest cholernie skomplikowane. Nie ulega wątpliwości, że Barańska ma coś na sumieniu i nie jest skłonna do szczerzej rozmowy. Zauważyłem to już wtedy, kiedy pierwszy raz ją przesłuchiwałem. Była bardzo ostrożna i niezmiernie oszczędnie odpowiadała na pytania. Cwana baba.

- Ale chyba coraz mizerniej wygląda nasz pierwotny motyw zbrodni - powiedziała Anna.

- Ciotka. Testament... Tak. Teraz to trochę odpływa na dalszy plan - przyznał Motycz. - Początkowo to tak bardzo wyraźnie się rysowało i pozornie nie budziło wątpliwości. Przyznaję, że zasugerowałem się sprawą tego spadku. Nigdy nie trzeba się śpieszyć z wyciąganiem wniosków, choćby wydawały się one zupełnie oczywiste. No, cóż... W obecnej



sytuacji nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na wynik ekspertyzy fotokopii. Przypuszczam, że szef zabierze się do dzieła energicznie.

Poczta otrzymała polecenie, żeby całą korespondencję przychodzącą na nazwisko Doroty Barańskiej przekazywać do komendy MO.

Któregoś dnia doręczono Annie, między innymi, list lotniczy z Włoch, a ściślej mówiąc z Rzymu. Rozerwała kopertę.

Na biurko wyleciała kolorowa fotografia formatu pocztówkowego. Na tle pomnika Marka Aureliusza roześmiany mężczyzna w błękitnej koszuli z zawiniętymi rękawami.

Anna drgnęła. Adam Sowiński. Na odwrocie parę słów, skreślonych pośpiesznie: *Żeby moja najmilsza Dorotka nie zapomniała o mnie.*

W kopercie był także list.

*Najukochańsza Moja! Powodzi mi się tutaj znakomicie. Italia jest wspaniałym krajem. Dużo podróżuję i dużo zwiedzam. Czas szybko mija. Już w przyszłym tygodniu chcę wracać do Warszawy. Stęskniłem się za Tobą, Kochanie, ogromnie. Rozmawiałem z Edwardem. Jak najbardziej popiera nasze plany. Liczę na to, że do mojego powrotu już coś zdołasz konkretnie załatwić. Pamiętaj, że to jedyna okazja, która się może już nigdy nie powtórzyć. Bądź dzielna i twarda. Całuję Cię i ściskam bardzo mocno.*

*Twój stęskniony Adam.*

Anna wolno wsunęła list do koperty i zamyśliła się. Była zaskoczona, wstrząśnięta. Więc Barańska i Adam. Sensacyjne odkrycie. Tego się nie spodziewała. Adam. Kawał łobuza, kombinator, facet niesolidny, nie mający żadnych skrupułów, jeżeli chodzi o zdobywanie pieniędzy. Niby jest lekarzem, zapowiadał się nawet jako zdolny ginekolog, ale... Miał jakieś poważniejsze konflikty z Ministerstwem Zdrowia. Coś tam nie było w porządku. Zabrał się do interesów, które chyba nie wyglądały zbyt kryształowo. Jego kontakt z Barańską mógł nadać sprawie

nowy aspekt. Co znaczą tajemnicze aluzje zawarte w liście? O jakich planach mowa? Kto to jest Edward? Co oni kombinują? W jakim celu Adam pojechał do Włoch?

Załączyła list i fotografię do akt. Zamknęła szufladę biurka i podniosła słuchawkę. Postanowiła zobaczyć się z Krystyną.

Spotkały się jak zwykle w „Nowym S wiecie”. Lubily tę kawiarnię. Już dawno przestała być „ostatnim krzykiem mody” i teraz było w niej zazwyczaj pustawo. Nastrój dużej, niezbyt zatłoczonej sali sprzyjał spokojnej pogawędce.

Krystyna promieniała. Patrząc na nią, wydawało się, że ubyłoby jej dziesięć lat.

- Anka...! Taka jestem szczęśliwa, taka szczęśliwa. Nie wyobrażasz sobie.

- Wyobrażam sobie - uśmiechnęła się Anna. - Mówił mi Paweł, że wszystko w najlepszym porządku.

- Operacja udała się fantastycznie. Sam profesor nie spodziewał się, że wszystko tak znakomicie pójdzie. Wierzyłam, cały czas wierzyłam, że się uda, że musi się udać. Wiara. Rozumiesz, Anka? Wiara!

- Umiejętności profesora także nie były bez znaczenia - zauważyła Anna, którą trochę zaczynał denerwować i niepokoić ten mistyczny nastrój Krystyny.

- Oczywiście. Profesor jest genialny, a poza tym co to za porządny człowiek, jaki dobry patriota. Czy wiesz, że Amerykanie obiecywali mu podobno złote góry, żeby do nich się przeniósł? Powiedział, że w Polsce także są ludzie chorzy na serce, którzy potrzebują jego pomocy. Odrzucił tę ofertę, chociaż mógł zdobyć miliony.

Anna pokiwała głową.

- No cóż... Nie każdy leci na forszę. Są jeszcze u nas ludzie, ceniący sobie bardziej inne wartości. Niestety takich jest coraz mniej. Ale dajmy temu spokój. Nie jestem w nastroju do tego typu rozważań. Powiedz mi lepiej, co porabiasz? Jak sobie radzisz?

- Pod jakim względem?
- Finansowo, oczywiście.

Krystyna skrzywiła się.

- No cóż... Niebogato, ale jakoś tam łąduję. Ostatnio tak by-  
łam zaabsorbowana chorobą i operacją Małgosi, że dosyć po-  
ważnie zawałam robotę. Nie mogłam inaczej. Teraz będę się  
musiała zmobilizować.

- Może chcesz, żebym ci pożyczyła parę złotych? - spytała  
Anna.

- Dziękuję ci, Aniu. Bardzo jesteś poczciwa. Na razie jednak  
nie skorzystam z twojej propozycji. Napisałam do rodziców.  
Przyślą mi trochę dolarów na PKO. Chociaż już tysiąc dolarów  
musieli wybulić na wnuczkę. Ale nie żałują. Są tak samo szczę-  
śliwi jak i ja.

- Tysiąc dolarów?

- Tak. Tak się umówiłam z profesorem.

- Z tym, który operował Małgosię?! - zdumiała się Anna.

- Ależ nic podobnego! Mam na myśli profesora Mortinbera.

- Cóż to znowu za facet?

- To ty nic nie wiesz? Nawiązałam kontakt z „Mędrcom  
Wschodu”, z przedstawicielem tybetańskich nauk tajemnych.

- Prawda... Wspomniałaś mi coś wtedy - uśmiechnęła się  
Anna - ale nie chciałaś mówić na ten temat.

Krystyna kiwnęła głową.

- Tak. Pamiętam. Wtedy nie mogłam. Bałam się, że wszyst-  
ko popsuje. Teraz... teraz chyba mogę.

- No, więc opowiadaj - zachęciła ją Anna. - To mnie intere-  
suje.

Nagle Krystyna spojrzała badawczo na przyjaciółkę.

- Ty pracujesz w milicji.

- Czyżby to było dla ciebie rewelacją?

- Słuchaj, Anka. Rozmawiamy zupełnie prywatnie i musisz  
mi przyrzec, że z tego, co ci powiem, nie wyciągniesz żadnych  
służbowych konsekwencji. On pomógł Małgosi. Rozumiesz? Ja

wierzę w to, że on pomógł. Możesz mnie nazwać kretynką, idiotką, jak tylko chcesz, ale ja... Słuchaj... To nie są żarty. Jeżeli on może pomóc, to może i zaszkodzić. Słyszałaś chyba o tym, że hinduscy fakirzy potrafią zabijać swych wrogów na odległość. Lepiej taką figurkę i...

- Wiem, wiem - przerwała jej ze śmiechem Anna. - Widzę, że naprawdę poważnie cię wzięło. No, dobra. Nic nikomu nie powiem, jeżeli oczywiście to, co od ciebie usłyszę, nie będzie wyraźnie kolidowało z kodeksem karnym.

- W ogóle nie ma nic wspólnego z kodeksem karnym - zapewniła ją Krystyna. - To są sprawy związane z niebywałą koncentracją woli ludzkiej.

- W porządku. Opowiadaj o tym tybetańskim magu.

I Krystyna opowiedziała o swojej pierwszej wizycie u profesora Mortinbera, starając się nie pominąć żadnego szczegółu.

Anna słuchała uważnie, paląc papierosa. Kiedy Krystyna skończyła, popatrzyła na nią ze zdumieniem.

- Krysia! Co się z tobą dzieje? Rany boskie! I ty rzeczywiście wierzysz w te wszystkie bzdury? Ty... właśnie ty?

- Wierzę. Małgosia jest żywa i zdrowa. Zupełnie zdrowa! Rozumiesz? I będzie zdrowa całe życie.

- Ponieważ profesor Kopiński doskonale przeprowadził operację - powiedziała z naciskiem Anna.

Krystyna spojrzała na nią z wyrzutem.

- Wiedziałam, że z tobą nie można mówić na te tematy. Żałuję, że ci powiedziałam. Większość współczesnych ludzi, a szczególnie Europejczyków, nie ma zielonego pojęcia o tych zagadnieniach. Ja także przecież jeszcze do niedawna śmiałam się z tego. Błagam cię. Nie mów nikomu i nie wyciągaj żadnych konsekwencji służbowych w stosunku do profesora Mortinbera.

- Nie mam najmniejszego zamiaru - Anna wzruszyła ramionami. - Wprawdzie powinno by się właściwie ścigać takich oszustów, którzy żerują na naiwności ludzkiej, na ludzkim

nieszczęściu, ale nie istnieją praktycznie żadne przepisy prawne, regulujące te sprawy. Ciągłe jeszcze roi się w naszym kraju od różnych szarlatanów, magów, znachorów. Jedni działają zupełnie jawnie, drudzy się zręcznie kamuflują. Bądź spokojna, Krysiu. Ta rozmowa pozostanie między nami.

Krystyna dotknęła dłoni przyjaciółki.

- Posłuchaj, Anka. Powiedzmy nawet, że ten facet to zwyczajny szarlatan i że wyłudza forszę od naiwnych ludzi. Ale jeżeli ja uwierzyłam w jego siłę, uwierzyłam w to, że może uratować czy też dopomóc w uratowaniu Małgosi, to siła mojej wiary... Zastanów się. Przecież tak zwane „cuda” w Lourdes są stwierdzonym faktem. To nie cuda w potocznym rozumieniu tego słowa. To niesłychana koncentracja woli, wiary. Taki chory, który wybiera się do Lourdes, całymi miesiącami przygotowuje się do „cudu”, koncentruje się i właśnie ta koncentracja, ta niesłychanie potężna wiara, ta siła psychiczna sprawia ów „cud”, który wychodzi poza ramy naszej obecnej wiedzy lekarskiej. Mało wiemy o siłach psychicznych, bardzo mało i prawie wcale ich nie kształcimy. Pochłonęła nas bez reszty technika, a o sprawach duchowych ludzie wiedzą coraz mniej. Anna zapaliła nowego papierosa.

- W tym, co mówisz, jest coś - powiedziała ugodowo. - Niewątpliwie silna i bezkrytyczna wiara posiada znaczny ładunek, znaczną siłę. Powiedz mi, kochana, w jaki sposób trafiłaś do tego „Mędrca Wschodu”?

- Pani Ewa Stachurska powiedziała mi o nim. Ona także miała podobne kłopoty z synem.

- I ów przedstawiciel „nauk tajemnych...”

- Przestań kpić. Sprawiasz mi przykrość. Nie znasz go. Nie widziałas go na oczy. Nic o nim nie wiesz.

- Przepraszam cię - uśmiechnęła się ugodowo Anna. - Zresztą dajmy już spokój wszystkim magom i czarodziejom. Grunt, że z Małgosią jest w porządku. To najważniejsze.

Krystyna uspokoiła się.

- Bardzo czuję się szczęśliwa - szepnęła. - Naprawdę bardzo. Nie wyobrażasz sobie nawet.

- Ależ tak. Doskonale sobie wyobrażam twój obecny nastrój. Powiedz mi, Krysiuniu, czy Adam w ogóle się do ciebie nie odzywa?

- Nie. A bo co?

- Nie interesuje się dzieckiem?

- Nigdy się nie interesował. Dlaczego pytasz?

- Ale alimenty j jakieś płaci?

- Nie płacił i nie płaci. Zresztą nie przyjąłabym ani złotówki od tego łobuza.

- I nic o nim nie wiesz?

- Absolutnie nic mnie on nie obchodzi. Ale czemu się tak o niego dopytujesz?

- Po prostu uważam, że alimenty na dziecko płacić powinien i że ty zupełnie niepotrzebnie tak się unosisz honorem.

- To są moje osobiste sprawy - powiedziała Krystyna. - Do tej pory dawałam sobie jakoś radę i dalej sobie poradzę, a od łajdaka niczego nie chcę. - Spojrzała na zegarek. - Strasznie żeśmy się zagadały. Muszę już iść, Aniu.

## **Rozdział VIII**

Sprawa tak się skomplikowała, że sam pułkownik Wąsowicz postanowił aktywnie włączyć się do śledztwa.

Rozpoczął swą akcję od wizyty u profesora Lewandowskiego, oczywiście po uprzednim uzgodnieniu dnia i godziny.

Profesor Ksawery Lewandowski minął już siedemdziesiątkę i wkroczył w ten etap życia, kiedy człowiek staje się coraz bardziej wyrozumiały i pobłażliwy dla wszelkiego rodzaju ułomności bliźnich. Od kilku lat był już na emeryturze, ale czuł się jeszcze dobrze i nie zrezygnował ani z pracy pedagogicznej, ani z działalności naukowej.

Był to mężczyzna wysoki, bardzo chudy, o podłużnej twarzy, która robiła takie wrażenie, jakby jej właściciel nieustannie się czymś kłopotał. Ten wyraz melancholijnego skłopotania podkreślały jeszcze siwe wąsy, smętnie zwisające ku dołowi.

Przez chwilę przyglądali się sobie wzajemnie z pewnym zainteresowaniem. Pierwszy przerwał milczenie profesor Lewandowski.

- Domyślam się, że pan pułkownik chciałby się czegoś dowiedzieć o tych fotokopiach, które zostały mi dostarczone.

- Byłbym panu profesorowi niesłychanie zobowiązany.

- Otóż... - Profesor odchrząknął, jakby przygotowywał się do dłuższej przemowy i przesunął dłonią po wąsach. - Otóż... Nie ulega wątpliwości, że są to fotokopie sporządzone z tłumaczenia na język angielski pracy mojego znakomitego kolegi, profesora Stasiewicza.

- Czy to absolutnie pewne? - spytał pułkownik. Staruszek odął wargi. Poczul się trochę urażony.

- Nie może być żadnych wątpliwości, proszę pana. Tak się złożyło, że w swoim czasie otrzymałem tę pracę do zrecenzowania. Znakomita praca, znakomita, na miarę europejską, a może nawet światową. Stasiewicz habilitował się na podstawie tej rozprawy. Dużej miary uczyony.

- Nie wątpię w to - uśmiechnął się uprzejmie pułkownik. - Słyszałem o profesorze Stasiewiczu. Podobno kształcił się za granicą, w Anglii czy w Ameryce.

- Przez dłuższy czas, jeszcze jako zupełnie młody człowiek, był asystentem sławnego profesora Webstera. Frederick Oliver Webster. Zapewne musiał pan słyszeć to nazwisko.

- Oczywiście - skłamał pułkownik. - Sławny biolog.

- Tak. Światowa sława. Szkoda, że tak wcześniej przeniósł się na tamten świat. Miałby dzisiaj... Ileż on miałby dzisiaj...? Osiemdziesiąt trzy albo osiemdziesiąt cztery... coś takiego. Był dużo starszy ode mnie. Miałby już chyba osiemdziesiąt siedem. Zresztą możemy to sprawdzić.

- Nie, nie - zaprotestował Wąsowicz. - Niech się pan nie facytuje. To nieistotne. Więc te fotokopie, które pan profesor był łaskaw przejrzeć, zostały wykonane z angielskiego tłumaczenia habilitacyjnej pracy profesora Stasiewicza?

- Przecież już powiedziałem - zniecierpliwził się starszy pan i szarpnął wąsa. - Robi to na mnie takie wrażenie, jakby mi pan nie dowierzał.

- Najmocniej pana przepraszam, panie profesorze, ale muszę mieć całkowitą, stuprocentową pewność. To są poważne sprawy.

Profesor Lewandowski zmarszczył brwi i badawczo spojrzał na mówiącego.

- Prawda, przecież pan jest z milicji - powiedział, jakby dopiero teraz to sobie uświadomił. - Dlaczego właściwie milicja interesuje się tą pracą? Czy coś nie jest w porządku? Proszę mi szczerze wszystko powiedzieć. Czyżby kolega Stasiewicz...?

Pułkownik przesunął dłonią po szpakowatej czuprynie.

- Chciałbym, panie profesorze, żeby nasza rozmowa nie wyszła poza ten pokój. Bardzo serdecznie pana proszę o ścisłą dyskrecję.

- Cóż to, uważa mnie pan za jakąś starą plotkarkę? - obruszył się profesor. - Oczywiście, że to są bardzo dyskrecjonalne sprawy. To się samo przez się rozumie. Więc jednak istnieje podejrzenie, że Stasiewicz...?

Pułkownik skinął głową. Wiedział, że częściowo musi wta jemniczyć profesora w tę aferę. Nie było innego wyjścia.

- Niestety, tak. Istnieje podejrzenie, że Stasiewicz przywłaszczył sobie pracę profesora Webstera. Dochodzenie jest w toku i zanim się wszystko nie wyjaśni...

Profesor Lewandowski nerwowym ruchem szarpał wąsy.

- Do licha, a to paskudna historia. Wprost trudno mi uwierzyć, żeby Stasiewicz... Paskudna historia, paskudna... Czy to Anglicy zwrócili się do naszych władz w tej sprawie?

- Pan wybaczy, panie profesorze - uśmiechnął się przepra-



szająco pułkownik - ale zanim nie zamkniemy dochodzenia, nie wolno mi udzielać żadnych informacji.

- Rozumiem. Tak, tak, dopóki trwa śledztwo... No cóż... Różnie w życiu bywa. Na wszelkie niespodzianki musimy być zawsze przygotowani. To smutne, co mi pan tutaj powiedział, bardzo smutne. Taki zdolny człowiek... Co mu do głowy strzeliło?

- Żądza sławy, żądza szybkiej, błyskotliwej kariery popycha niektórych ludzi do zupełnie absurdalnych czynów - powiedział pułkownik. - Tak było chyba od początku świata. Miałbym do pana ogromną prośbę, panie profesorze. Chodzi o to, żeby pan był łaskaw napisać własnoręcznie swoją opinię o fotokopiach, nadmieniając, że pan kiedyś recenzował tę pracę.

- Sprawę mi to ogromną przykrość, panie pułkowniku. - Profesor Lewandowski wyglądał na jeszcze bardziej skłopotanego niż zazwyczaj. - No ale cóż...? Muszę napisać. Bo to prawda, święta prawda. Doskonale pamiętam tamtą pracę. Nie mam żadnych wątpliwości, że to praca habilitacyjna Stasiewicza.

Nazajutrz pułkownik opowiedział Annie treść rozmowy z profesorem Lewandowskim.

- Mamy nowego kandydata na mordercę.

Skinęła głową.

- Właśnie. I nowa wersja także pozornie wygląda dość przekonująco. Stasiewicz, widząc zapewne, że Anglik jest umierający, przywłaszcza sobie jego pracę naukową, habilituje się, zyskuje rozgłos, sławę, pozycję w świecie naukowym. Nie przypuszcza, że coś mu może zagrażać. A tymczasem... A tymczasem Elżbieta Burns zdobywa w jakiś sposób fotokopie i rękopis Webstera i postanawia szantażować Stasiewicza. Proste.

- Zupełnie proste - przyznał pułkownik. - Wymagania pani Elżbiety Burns były prawdopodobnie tak wysokie, że Stasiewicz nie mógł im podołać. Czując się śmiertelnie zagrożony, posta-

nowił zlikwidować tę kobietę.

Anna uderzyła się dłonią w czoło.

- Teraz rozumiem

- Co pani rozumie?

- Teraz rozumiem, dlaczego Stasiewiczowi zależało na tym, żeby Barańską zatrudnić w charakterze pielęgniarki u Grabowskich. Chciał mieć wolną rękę.

- W tej chwili ja nie bardzo rozumiem, o czym pani mówi - uśmiechnął się pułkownik.

Anna opowiedziała, jak to Stasiewicz zwrócił się do Pawła, prosząc go, żeby namówił Barańską do roztoczenia opieki nad chorą matką docenta Grabowskiego.

- Chodziło mu o to, żeby się pozbyć Barańskiej z mieszkania i żeby ułatwić sobie zlikwidowanie Elżbiety Burns. Prawdopodobnie wiedział o starej, bogatej ciotce, o jej testamencie i był pewien, że będziemy podejrzewali Barańską. Dlatego też chciał to załatwić w jej mieszkaniu.

Pułkownik pokiwał głową.

- Tak. To wszystko, co pani mówi, jest pozornie logiczne i znakomicie trzyma się kupy. Miałbym tu jednak pewne wątpliwości.

Anna z zainteresowaniem spojrzała na szefa.

- Wątpliwości?

- Tak. Bo niech się pani chwilę zastanowi. Elżbieta Burns przyjeżdża z Anglii, przywozi kompromitujące fotokopie i ten kawałek rękopisu, a następnie zostawia to wszystko w przechowalni na Dworcu Głównym. Jest więc rzeczą niewątpliwą, że zamierza pohandlować tym towarem ze Stasiewiczem. I teraz tak: Stasiewicz postanawiają otruć. W porządku. Ale przecież nie wie, gdzie fotokopie się znajdują i nie może mieć żadnej pewności, że po zlikwidowaniu Elżbiety Burns sprawa znowu nie wypłynie w dużo poważniejszym aspekcie, bo do kradzieży pracy naukowej doszłoby morderstwo. Poza tym, o ile się orientuję, pasta do zębów została tak spreparowana, że

trucizna, czyli cyjanek potasu znajdował się na końcu tuby. Dlaczegoż Stasiewicz miałby tak to wszystko organizować, żeby Elżbieta Burns zmarła po powrocie do Londynu? Przecież była dla niego zagrożeniem w chwili obecnej i właściwie musiał działać natychmiast. I jeszcze jedno. Stasiewicz chciał rzucić podejrzenie na Barańską. Tak przynajmniej przypuszczamy. Wobec tego - jako człowiek inteligentny, wykształcony, biolog - posłużyłby się jakąś trucizną, którą Barańska mogła ewentualnie bez większych trudności zdobyć w szpitalu. W każdym razie nie powinien był używać cyjanku potasu.

Anna czuła się zupełnie zbita z tropu. Argumentacja pułkownika wydała jej się tak przejrzysta i tak logiczna, że ogarnęło ją całkowite zwątpienie.

- Więc rezygnujemy z profesora Stasiewicza? - spytała.

Pułkownik roześmiał się.

- Powoli. Nigdy nie należy rezygnować z żadnych poszlak, choćby nawet te poszlaki nie wytrzymały ataku prawidłowego rozumowania. Niech pani nie zapomina, że my jesteśmy fachowcami i że nie każdy tak rozumuje jak my, szczególnie jeżeli działa pod wpływem silnych bodźców emocjonalnych. Stasiewicz miał na pewno bardzo poważny powód, żeby zlikwidować tamtą kobietę. Niewykluczone, że nie przemyślał wszystkiego tak bardzo precyzyjnie. Może wydawało mu się, że z chwilą śmierci Elżbiety Burns niebezpieczeństwo zniknie?

- Ciekawe, czy mu powiedziała, że te dokumenty znajdują się w Polsce?

Pułkownik pokiwał głową.

- Na pewno tak. Zażądała odpowiedniej sumy i zaproponowała transakcję z rączki do rączki.

- W takim razie mógł przypuszczać, że tylko ona wie, gdzie ukryła fotokopie i że po jej zlikwidowaniu...

- Słusznie - zgodził się pułkownik. - Takie rozumowanie Stasiewicza jest prawdopodobne. Chociaż z drugiej strony bar-

dzo trudno żyć, nie wiedząc, w jakim momencie i skąd może pojawić się niebezpieczeństwo.

- Tak czy inaczej - powiedziała Anna - trzeba będzie przesłuchać profesora Stasiewicza.

- Niewątpliwie. I to jak najprędzej.

- Czy ja mam to zrobić?

- Nie. Przesłuchamy go razem. Tak będzie lepiej.

Profesor Stasiewicz nie okazywał najmniejszego zdenerwowania czy też zakłopotania. Był bardzo pewny siebie, a nawet trochę nonszalancki.

- Sprawę mego paszportu już przecież wyjaśniłem. Wyjeżdżam w przyszłym miesiącu do Brukseli na kongres międzynarodowy. To wyjazd o charakterze służbowym. Deleguje mnie uczelnia.

- Nam nie chodzi o pański paszport, panie profesorze - powiedział wolno pułkownik, uważnie wpatrując się w twarz swego rozmówcy, która nie zrobiła na nim sympatycznego wrażenia. Szeroko rozstawione wydatne kości policzkowe, mocno zarysowana dolna szczęka i wyjątkowo wąskie zaciśnięte wargi.

- W takim razie zupełnie nie rozumiem, w jakim celu wezwaliście mnie tutaj. Może mi pan to łaskawie wyjaśni.

Pułkownik nie spieszył się z odkrywaniem kart. Z pedantyczną dokładnością zapalił papierosa, rzucił szybkie spojrzenie w kierunku Anny, siedzącej w głębi pokoju przy bocznym stoliku, zarzuconym dla pozorów różnymi papierami, i powiedział:

- O ile się orientuję, to pan, panie profesorze, dłuższy czas przebywał za granicą.

- Tak. Jest pan dobrze poinformowany. Istotnie studiowałem w Stanach Zjednoczonych, w Anglii, a nawet przez kilka miesięcy przebywałem w Belgii, gdzie szukałem pewnych materiałów do mojej pracy naukowej. Ale dlaczego pana to interesuje?

Pułkownik nie zareagował na to pytanie. Sam natomiast spytał:

- Czy w czasie studiów zetknął się pan z profesorem Websterem?

- Oczywiście. Byłem jego asystentem. Pracowałem pod jego kierunkiem. To był uczonej dużej klasy, światowej sławy. Ale doprawdy nie mogę pojąć, dlaczego milicja interesuje się tymi sprawami? O co panu właściwie chodzi?

- Czy znał pan kiedyś panią Elżbietę Burns? - spytał pułkownik i natychmiast zauważył, że na dźwięk tego nazwiska twarz Stasiewicza drgnęła. Trwało to jednak ułamek sekundy. Momentalnie się opanował.

- Nie. Nie znałem takiej osoby. Nie wiem, o kim pan mówi.

- Mówię o siostrzenicy pani hrabiny Dobieszyckiej.

Stasiewicz wzruszył ramionami. Teraz jednak widać było zupełnie wyraźnie, że traci grunt pod nogami. W jego oczach pojawił się strach.

- Nie znam ani hrabiny Dobieszyckiej, ani jej siostrzenicy. Nie rozumiem, dlaczego pan chce we mnie wmówić jakieś znajomości. Co to w ogóle wszystko znaczy?

- Pani Dobieszycką jeszcze żyje. To łatwo sprawdzić, czy pan ją kiedyś poznał, czy też nie. Bardzo żywotna staruszka, ma doskonałą pamięć i zupełnie jasny umysł. Jeżeli natomiast chodzi o jej siostrzenicę, Elżbietę Burns, to sprawa jest nieco trudniejsza, ponieważ osoba ta nie żyje. Zmarła w tragicznych okolicznościach. Została otruta.

Stasiewicz poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć, ale milczał. Z każdą chwilą stawał się mniej pewny siebie.

Pułkownik otworzył szufladę i wyjął z niej teczkę, zawierającą fotokopie.

- Pan oczywiście zna angielski, panie profesorze.

- No jakżeż. Tyle lat studiowałem w Anglii.

- Znaleźliśmy takie dokumenty - mówił dalej pułkownik lekkim, swobodnym tonem, jakby nie chodziło o nic ważnego. -

Może pan to zechce przejrzeć, panie profesorze.

Stasiewicz rozwiązał teczkę. Ręce mu lekko drżały.

- To są fotokopie mojej pracy, tłumaczonej na język angielski - powiedział, z trudem opanowując rosnący niepokój. - Nie rozumiem, skąd taka rzecz wzięła się u pana. To dziwne, bardzo dziwne.

- Tak, to rzeczywiście dosyć dziwne - przyznał pułkownik. - Niech pan sobie wyobrazi, że te fotokopie przywiozła z Anglii niejaka Elżbieta Burns, która, jak już wspomniałem, została otruta.

- Ale co ja właściwie mam z tym wszystkim wspólnego? - spytał Stasiewicz.

Pułkownik z wyrazem najwyższego zdumienia podniósł brwi do góry.

- Jeszcze pan sobie nie kojarzy, panie profesorze?

Taki inteligentny i wykształcony człowiek jak pan? Przecież to takie proste. Szantaż.

- Jaki szantaż? - Głos Stasiewicza był schrypnięty.

- Że też ja wszystko muszę panu tłumaczyć - westchnął pułkownik. - Chyba wystarczy chwilę się zastanowić, żeby te fakty połączyć w logiczną całość. Pan przywłaszczył sobie pracę profesora Webstera...

Stasiewicz zerwał się. Był bardzo blady.

- Jak pan śmie?! Pan mnie obraża! Jak pan śmie?!

Pułkownik wskazał krzesło i powiedział spokojnie:

- Niech pan siada, panie profesorze. Należy panować nad nerwami.

Stasiewicz usiadł. Oddychał ciężko. Oczy nabiegły mu krwią.

- To, że ktoś zrobił fotokopię z mojej pracy, jeszcze nie dowodzi, że ja ukradłem pracę profesora Webstera.

- Słusznie. To nie dowodzi - zgodził się pułkownik. - Ale widzi pan... sprawa o tyle się komplikuje, że jesteśmy również w posiadaniu rękopisu profesora Webstera, rękopisu

podpisanego imionami i nazwiskiem: Frederick Oliver Webster.

Stasiewicz zaczął odzyskiwać zimną krew. Najwidoczniej stworzył sobie błyskawicznie plan obrony.

- Panie pułkowniku, pomówmy teraz zupełnie szczerze.

- Będę zachwycony - uśmiechnął się pułkownik. - Słucham pana.

- Otóż - Stasiewicz wyjął z kieszeni papierosa. - Otóż... wszystko to podła, podstępna mistyfikacja.

- Mistyfikacja?

- Oczywiście - Stasiewicz w widoczny sposób zapalał się do swojej nowej linii obrony. - Przyznaję, że na początku naszej rozmowy nie byłem z panem zupełnie szczerzy. Nie sądziłem po prostu, że ta kobieta... że ta kobieta odważy się na coś takiego. Tak, bardzo słusznie pan to określił. To był szantaż. Ona mnie próbowała szantażować. Przyznaję, że bagatelizowałem to. Po prostu nie sądziłem, że jednak spreparowała te dokumenty.

- Więc pan twierdzi, że te fotokopie i ten rękopis...

- Fotokopie są oczywiście autentyczne, ale jeżeli chodzi o rękopis, niewątpliwie został przez nią spreparowany, sfalszowany.

- Czy Elżbieta Burns miała kiedyś jakąś styczność z profesorem Websterem? - spytał pułkownik.

- Tak. Jako bardzo młoda dziewczyna była jego sekretarką i dlatego...

- Czy pan coś wie o jej obecnym mężu, o tym Burnsie?

- To ciemny typ. Pijak, karciarz, hochsztapler. Jestem przekonany, że to on obmyślił tę całą obrzydliwą aferę.

Pułkownik westchnął.

- No cóż... Sprawdzimy.

- Nie wierzy mi pan?

- Bardzo chciałbym panu wierzyć, panie profesorze. Nie jestem jednak pewien, czy pan nie przecenia moich możliwości pod tym względem. Widzi pan... moja praca w znacznym

stopniu polega na tym, żeby ludziom nie wierzyć. Przykre to, ale tak jest. Z chwilą kiedy zaczną wierzyć we wszystko, co mi ktoś mówi, będę musiał podać się do dymisji.

Stasiewicz usiłował się uśmiechnąć. Nie bardzo mu się to udało. Raczej się skrzywił.

- Co pan zamierza?

- Zamierzam sprawdzić dwie rzeczy. Po pierwsze, czy pańska praca została rzeczywiście przetłumaczona na język angielski...

- Mógł ją ktoś przetłumaczyć właśnie dla celów szantażu - wtrącił pośpiesznie Stasiewicz.

Pułkownik zdziwił się.

- Więc pan nie jest pewien, czy pańska praca została przetłumaczona na język angielski?

Stasiewicz zrozumiał, że się zagalopował.

- No, wie pan... Nie pamiętam dokładnie... W każdym razie w dużych fragmentach na pewno.

- Sprawdzimy to - upewnił go pułkownik. - A poza tym prześlemy do Anglii, do tych uczelni, w których wykładał profesor Webster, ten rękopis do sprawdzenia. W bibliotekach, w archiwach niewątpliwie mają jakieś rękopisy takiego znanego uczonego. Porównają, dadzą do ekspertyzy. Będziemy wtedy mieli całkowitą pewność, panie profesorze. Sądzę, że się niedługo znowu zobaczymy. Na razie do widzenia panu. Aha... i jeszcze jedna sprawa. Obawiam się, że pan będzie musiał zrezygnować z tego wyjazdu do Brukseli. Przewiduję pewne komplikacje paszportowe.

Po wyjściu Stasiewicza pułkownik spojrzął na Annę.

- No i co pani o tym sądzi?

- Sądzę, że pan genialnie rozpracował tego faceta.

Pułkownik z wyraźnym zadowoleniem przełknął komplement. Rad był z siebie. Zdawał sobie sprawę, że rzeczywiście zupełnie niezłe przeprowadził trudną rozmowę.

- Ciekawe, czy on otruł tę kobietę... - powiedziała po chwili



Anna.

Pułkownik potrząsnął głową.

- Myślę, że nie, a dlaczego, to już pani wyjaśniłem.

- Więc kto? Barańska?

- A może ani nie Barańska, ani nie Stasiewicz? Może ktoś trzeci? Niech pani nad tym pomyśli. Sądzę, że warto.

- Może ktoś trzeci... - powtórzyła Anna.

## **Rozdział IX**

Od kiedy Anna zaczęła zajmować się sprawą Barańskiej, Paweł bardzo złagodniał i zachowywał się ugodowo. Przestał się awanturować, a kiedy później, niż to było przewidziane, wracała do domu, uśmiechał się tylko melancholijnie, powstrzymując się od jakichkolwiek komentarzy.

Należy oddać Annie sprawiedliwość, że lojalnie nie wykorzystywała swej chwilowej przewagi. Starła się być punktualna, chodziła po zakupy i więcej uwagi poświęcała sprawom gospodarstwa domowego. Robiła, co mogła, aby występować w roli „wzorowej żony” świetnie zapowiadającego się chirurga.

Paweł w pełni doceniał te dobre chęci. Był serdeczny, chętny do pomocy w pracach domowych, a ostatnio zaczął nawet przynosić kwiaty.

Któregoś wieczoru, kiedy już wspólnymi siłami sprzątnęli po kolacji, Anna nasmarowała ręce kremem „Nivea” i powiedziała:

- Chciałabym cię przesłuchać.

- Przesłuchać? Mnie? - zdumiał się Paweł.

- Tak. Właśnie ciebie. Uważam, że nie musimy robić tego w komendzie.

- Ale o co właściwie chodzi? Nie rozumiem.

- Wiesz przecież, że prowadzę śledztwo w sprawie Barańskiej, a raczej w sprawie otrucia Elżbiety Burns. Właśnie w

związku z tym mam zamiar z tobą porozmawiać. Czy zostało tam jeszcze trochę tego gruzińskiego koniaku?

- Parę kropel na dnie. Będzie ze dwa naporstki.

- To nalej nam po naporstku. Usiądziemy i pogadamy.

Posłusznie wyjął z szafy butelkę i kieliszki.

- To nie oglądamy „Kobry”? - spytał.

- Nie oglądamy. Na co dzień mam bardzo fajną „Kobrę”. Jak ci to wszystko kiedyś opowiem, to będziesz miał pierwszorzędną rozrywkę. Dawaj ten koniak i siadaj tu koło mnie.

- Intrygujesz mnie, Aniu. O czym właściwie chcesz ze mną mówić?

- O Barańskiej, oczywiście.

- W tej chwili chyba wiesz o niej więcej ode mnie.

- Nie sądzę. Pewne rzeczy są dla mnie niejasne i liczę na twoją pomoc.

- Jeżeli tylko zdołam...

Anna umoczyła wargi w koniaku i odstawiła kieliszek na stolik, stojący między fotelami.

- Ciągle jeszcze jest dla mnie rzeczą niezrozumiałą, skąd ta kobieta bierze forszę na bardzo dostatni tryb życia. Ma piękne suknie, eleganckie buty, drogie futra. Dysponuje dolarami, bonami PKO.

Paweł pokiwał głową.

- Tak. Masz rację. Mnie także to niejednokrotnie zastanawiało. Dorota jest osobą bardzo dobrze sytuowaną materialnie. Ale skąd czerpie na to wszystko, nie mam najmniejszego pojęcia.

- Kiedy podczas przesłuchania wprost ją o to zapytałam, strasznie się cisnęła - powiedziała Anna. - Czyżby prowadziła jakieś lewe interesy?

- Nie wiem. Nic mi na ten temat nie wiadomo. Myślę jednak, że gdyby tak było, toby się ciskała. Raczej obmyśliłaby sobie jakąś prawdopodobną wersję.

- Chyba masz rację - Anna sięgnęła po kieliszek. - Smakuje

mi ten koniak i dobrze mi robi. Byłam trochę klapnięta. Chyba jakaś zmiana ciśnienia. Powiedz mi, Pawełku, czy ty nic nie wiesz na temat osobistego życia Barańskiej?

- Absolutnie nic. Nigdy się tym nie interesowałem.

- Podczas przesłuchania - mówiła dalej Anna - powiedziała mi, żeś się w stosunku do niej zachował trochę po świńsku. Co o tym sądzisz?

Paweł niecierpliwie wzruszył ramionami.

- No, wiesz... To są nieco dziwne pretensje. W końcu każdy młody mężczyzna ma jakieś tam przygody romantyczne. To chyba zupełnie naturalne. Nie zrobiłem jej żadnej krzywdy. Nie zostawiłem jej przecież z dzieckiem na ręku. Dziewicą także nie była, jakżeśmy się poznali. Przyznaję, że może rzeczywiście trochę zbyt brutalnie zerwałem. Ale miałem tak dosyć tego wszystkiego, że nie czułem się na siłach, żeby odgrywać komedię. Powiedziałem wprost, co i jak, i koniec. Potem miałem nawet pewne wyrzuty sumienia. Przekonałem się, że ona była uczuciowo bardzo zaangażowana. Dlatego też chciałem jej teraz pomóc i dlatego cię prosiłem...

Anna skończyła pić koniak i zapaliła papierosa.

- Tak. Wiem. Chcesz przy mojej pomocy zmasać grzechy młodości.

- Daj spokój, Anka. To było tak dawno. Czy w ogóle warto o tym mówić?

- To prawda, że to było dawno, ale taka drzazga nieraz tkwi bardzo długo. Mniejsza z tym zresztą. Mam kłopot z tą Barańską. Nie pomaga mi. Nie chce szczerze ze mną porozmawiać. Kręci.

- Jeżeli podejrzewasz, że ona otruła swoją kuzynkę, to się grubo mylisz. Dorota na pewno tego nie zrobiła.

- Nie. O to właściwie jej nie podejrzewam. Już teraz nie. A prawdę mówiąc nigdy nie byłam o tym tak bardzo przekonana. Słuchaj, Paweł, czy ty rzeczywiście nic nie wiesz o jakichś jej kontaktach, znajomościach z mężczyznami?

- Absolutnie nic nie wiem.

- Ale może kiedyś coś słyszałeś w szpitalu?

Paweł zastanowił się.

- Czekaj... czekaj... Teraz sobie przypominam, że opowiadał mi kiedyś Piaskowski, jeden z moich kolegów, także chirurg, że spotkał parę razy w kawiarni Dorotę z jakimś starszym facetem.

- Jak wyglądał ten starszy facet?

- Nie mam zielonego pojęcia. Nie dopytywałem się. Co mnie to obchodzi.

- Dawno to było?

- Nie pamiętam.

- Więc mówisz, że Piaskowski...?

- Tak. Tadeusz Piaskowski. Bardzo fajny chłop. Taki bezpośredni, bez żadnych fochów.

- Chętnie bym porozmawiała z Tadeuszem Piaskowskim.

- Błagam cię, Aniu! - zawołał spłoszony Paweł. - Nie przenoś tej sprawy na teren szpitala! To ogromnie skomplikowałoby mi życie. Jak zaczniesz przesłuchiwać wszystkich moich kolegów... Rany boskie!

Anna wzruszyła ramionami.

- Cóż ja mogę poradzić, że właśnie na terenie szpitala pracuje Barańska? A ponieważ ona sama nie jest skłonna mówić szczerze na pewne tematy, ja muszę się tego wszystkiego dowiedzieć od jej otoczenia. Rozumiesz chyba.

- Rozumiem, oczywiście, ale... W szpitalu wytworzy się taki nastrój, że będę musiał chyba gdzieś się przenieść, a bardzo bym nie chciał rozstawać się z profesorem. Praca pod jego kierunkiem jest dla mnie rzeczą niesłychanie istotną. Wiesz przecież, że chcę się specjalizować w kardiochirurgii.

Anna uśmiechnęła się i dotknęła jego dłoni.

- Nie dramatyzuj, Pawełku. Po pierwsze nie wiem, czy moja rozmowa będzie niezbędna, a po drugie postaram się to tak dyskretnie załatwić, że nikt w szpitalu nic nie będzie wiedział.

Przecież nie mam zamiaru organizować na terenie szpitala biura śledczego.

Paweł odetchnął z widoczną ulgą.

- Dziękuję ci, Aniu. Jesteś prawdziwym skarbem.

- Chciałabym, żeby ta opinia przetrwała czas dłuższy - uśmiechnęła się.

Anna nie zapomniała o swym zbolałym koledze. Zaopatrzywszy się w skromny bukiet, pojechała do szpitala.

Jakież było jej zdziwienie, kiedy zastała Władka siedzącego dziarsko na fotelu. Głowa była jeszcze lekko obandażowana, ale z twarzy zniknęły już prawie wszystkie plastry.

- Brawo! - zawołała z entuzjazmem. - To mi się podoba. Widzę, że lada dzień pojawisz się w komendzie.

- Jutro, a najdalej pojutrze opuszczam ten przybytek cierpienia - powiedział wesoło Motycz. - Czuję się bombowo.

- A co z tym wyciągiem? Przecież miałeś nogę na wyciągu.

Machnął ręką.

- Okazało się w rezultacie, że wyciąg wcale nie był potrzebny. Nadgorliwość lekarzy. Zostawią mi jeszcze trochę gipsu na nodze i będę sobie kuśtykał. Po diabła mam zajmować miejsce w szpitalu?

Anna dopiero teraz zauważyła stosy książek leżących na stole i na krześle.

- O, widzę, że się poważnie doksztalcasz.

- Jakbyś zgadła. Właśnie przed twoim przyj ściem próbowałem się skupić.

- Próbowales się skupić?

- Tak. Studiuję teraz naukę jogów. Pasjonujące. W ogóle te różne tajemne dziedziny wiedzy Dalekiego Wschodu...

- Władek... Bój się Boga! I ty także?

- Co to znaczy „także”?

- Bo już mam taką jedną, która się interesuje mędrcami Wschodu, mnichami tybetańskimi...

- Tybet jest siedzibą pasjonujących praktyk - powiedział z

zapalem Motycz.

- To po tym wstrząsie... - zafrasowała się Anna.

- Sądzisz, że wstrząs mózgu spowodował u mnie fioła? Nie miałem wstrząsu mózgu.

- Więc skąd ci się wzięło nagle zainteresowanie tajemnicami Wschodu?

- Kobieta. Kobieta wywarła na mnie taki wpływ - westchnął Motycz.

- Ładna?

- Tego bym nie powiedział. Interesująca. Nie podejrzewaj, że to ma coś wspólnego z seksem.

- Jakaś twój a dawna znaj oma?

- Nic podobnego. Poznałem ją teraz, tutaj. To jedna z pielęgniarek.

- Jak się nazywa?

- A cóż ty się tak tym interesujesz?

- Tak sobie. Powiedz, jak się nazywa.

- Siostra Eugenia.

- A nazwisko?

- Nie wiem.

Anna pograżyła się w zadumie. Przejrzała parę książek, uważnie popatrzyła na Motycza i wreszcie powiedziała:

- Słuchaj no, Władziu, czy ty rzeczywiście zainteresowałeś się tymi zagadnieniami?

- Rzeczywiście. Nigdy nie przypuszczałem, że są takie pasjonujące. Coś tam kiedyś obilo mi się o uszy, ale dopiero teraz, kiedy wertuję te wszystkie materiały, dochodzę do wniosku, że naprawdę warto się tym zainteresować. Rzecz jasna, że to daje ogromne pole do nadużyć różnym szarlatanom, ale w tej chwili nawet w Związku Radzieckim zaczynają się już naukowo zajmować telepatią. Wiesz, co to takiego?

- Oczywiście. Przekazywanie myśli na odległość.

- No, właśnie. Pomyśl, czy to nie fantastyczne? Siedzisz sobie na przykład w Moskwie, skupiasz się i przekazujesz swoje

myśli facetowi, który siedzi w Warszawie albo w Paryżu.

- Wolalabym zatelefonować. Takie skupianie się musi być bardzo męczące.

Motycz skrzywił się.

- E, widzę, że jesteś bardzo sceptycznie ustosunkowana do tych spraw. A przecież istnieją ludzie, którzy posiadają jakiś specjalny dar przekazywania myśli, hipnozy, jasnowidzenia. Słyszałaś może o takim przedwojennym jasnowidzu Ossowieckim?

- Słyszałam. Przydałby się nam w milicji jasnowidz. Przynajmniej nie musielibyśmy się męczyć, żeby się dowiedzieć, kto wykończył Elżbietę Burns.

- A propos. Jak ze śledztwem?

- Są nowe sensacje, ale ty się oczywiście nie interesujesz takimi przyziemnymi sprawami. Przenosisz się w dziedzinę kształcenia ducha;

Motycz parsknął śmiechem.

- Nie wygłupiaj się, Anka. Powiedz, co nowego ze sprawą. Anna w kilku zdaniach streściła przesłuchanie Stasiewicza.

Motycz aż gwizdnął.

- Fiuuu... To rzeczywiście mocna rzecz. Mamy teraz drugiego bardzo poważnego kandydata na mordercę. A co na to pułkownik?

- Nie bardzo wierzy, żeby Stasiewicz otrul tę babkę.

- A ty? Jak się tobie zdaje?

Wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem? Zaczynam się już gubić w tym wszystkim. Powiedz mi, Władziu, czy ja mogłabym zobaczyć tę pielęgniarkę?

- Którą? Siostrę Eugenię?

- Tak.

- Chyba da się zrobić. Zaraz spróbujemy. - Nacisnął dzwonek.

Po chwili weszła do pokoju fertyczna blondyneczka z zadar-

tym noskiem i dużymi, niebieskimi oczami.

- Coś panu potrzeba?

- Najmilsza siostrzyczko - uśmiechnął się czarująco Motycz - czy mogłaby pani poprosić siostrę Eugenię, żeby mnie odwiedziła?

- Dzisiaj nie ma siostry Eugenii. Będzie dopiero jutro.

- A jak się nazywa siostra Eugenia? - spytała Anna.

- Kolińska. Aja panu nie mogę być w czymś pomocna?

Motycz potrząsnął głową.

- Dziękuję, siostrzyczko. Na razie nic mi nie trzeba.

Blondynka wyszła, kołysząc się leciutko w biodrach.

- Nie wiedziałam, Władziu, żeś ty taki czaruś - uśmiechnęła się Anna. - Zdaje się, że pogrzyłeś tu wszystkie pielegniarki.

Motycz był zadowolony z siebie. Zaczął podśpiewywać „Szła dziewczeczka do laseczka”.

- To wszystko z nudów. Czas się brać do jakiejś roboty.

- Chcesz wrócić do sprawy Elżbiety Burns?

- Oczywiście. Jak tylko stąd wyjdę, natychmiast melduję się w komendzie. Kulawy, nie kulawy w śledztwie mogę się przydać. Jakie masz plany na najbliższą przyszłość?

- Czekam niecierpliwie na powrót Adama.

- Któż to taki?

- Były mąż Krystyny, a obecnie kochanek Barańskiej. Przy najmniej wszystko na to wskazuje.

- Czekaj... czekaj... - Motycz postukał się palcem w czoło. - Krystyna? To jakaś twoja przyjaciółka.

- Tak. Dziennikarka. Musiałeś ją u nas kiedyś spotkać.

- Ach tak, tak. Przypominam sobie. Ładna dziewczyna. Podobiała mi się.

- Tobie, zdaje się, wszystkie się podobają.

Motycz westchnął.

- Cóż robić. Takie już mam powodzenie. No, nie przesadzajmy. Prawie wszystkie. I cóż ty chcesz od byłego męża twojej przyjaciółki?



- Ponieważ jest blisko związany z Barańską, trzeba go przesłuchać.

- Niewątpliwie. Skąd ma wrócić?

- Ze słonecznej Italii.

- Pisał?

- A w jaki sposób mogłabym zdobyć te wszystkie wiadomości?

- Trochę ci będzie niezręcznie go przesłuchiwać.

- To prawda. Ale liczę, że ty się włączysz.

- Możesz liczyć na mnie jak na Zawiszę. Rwę się do czynu.

Lekarze jednak postanowili jeszcze przez parę dni przetrzymać Motycza w szpitalu. Tymczasem wrócił z Rzymu Adam Sowiński. Anna postanowiła przesłuchać go bez zwłoki i wysłała mu wezwanie.

Wszedł do pokoju posuwistym, nieco tanecznym krokiem. Zatrzymał się przed biurkiem i otworzył ramiona.

- Anka! Kopę lat. Jakżeż się cieszę, że cię widzę w dobrym zdrowiu. Kupę czasu żeśmy się nie widzieli. No, co u ciebie? Jak Paweł? Zawsze tak zrzędzi?

Anna spojrzała na niego chłodno i powiedziała urzędowym tonem:

- Proszę, niech pan siada.

- Jaki pan? Co za pan? No coś ty, Aniu...? Przecież... byliśmy zawsze po imieniu... Zapomniałaś? Piliśmy bruderszaft.

- Bywają bruderszafty, których się po pewnym czasie żałuje. Muszę panu zakomunikować, że nasza rozmowa ma oficjalny, ściśle służbowy charakter. Może pan sobie oszczędzić tych wspomnień z przeszłości.

Sowiński zrobił obrażoną minę.

- No cóż... Jak pani sobie życzy, pani porucznik. Słucham? O cóż to chodzi? W jakim celu zostałem wezwany do komendy?

Anna przez chwilę przyglądała się w milczeniu siedzącemu naprzeciwko niej mężczyźnie. Jak to się stało, że Krystyna wyszła za tego miglancą? - pomyślała z niesmakiem. - Przecież to

głupi mydłek.

Sowiński ubrany był z przesadną elegancją, co stanowiło dla niego najwidoczniej powód do dumy, bo co chwila poprawiał sobie bajecznie kolorowy krawat i wysoko podciągał spodnie, odsłaniając równie ekscentryczne, barwne skarpetki. Ciemne włosy miał starannie wypomadowane, a nad górną wargą rysował się wąski, podgolony wąsik. Pachniał brylantyną i mocną wodą kolońską, użytą w nadmiarze. Robił wrażenie włoskiego, prowincjonalnego fryzjera, wybierającego się na wesele któregoś z przyjaciół.

- Pan jest zaprzyjaźniony z Dorotą Barańską - powiedziała bez żadnych wstępów Anna.

Uśmiechnął się.

- Chyba moje znajomości i przyjaźnie nie są jeszcze normowane specjalnymi przepisami milicyjnymi?

Anna nie zareagowała na tę drwinę. Facet nadrabia miną - pomyślała. - Jest mniej pewny siebie, niżby chciał to okazać.

- Czy pan wie, że Dorota Barańska została aresztowana?

- Słyszałem, że ma tam jakieś kłopoty - odparł wygładzając kanty swych idealnie odprasowanych spodni.

- Od kogo pan to słyszał?

- Od dozorca.

- Widzę, że się pan niezbyt przejął tą sprawą.

- Ja się w ogóle nie lubię zbytnio przejmować, proszę obywatelki porucznika. To bardzo źle działa na system trawienny.

Anna otworzyła teczkę z aktami i wyjęła z niej list Sowińskiego pisany do Barańskiej.

- Mamy list, który pan wysłał z Rzymu do Doroty Barańskiej

- O, to bardzo nieładnie czytać cudzą korespondencję. Jestem niemile zaskoczony.

- Pański żartobliwy ton wydaje mi się niezbyt stosowny - powiedziała Anna. - Chciałabym przypomnieć, że Dorota Barańska została zatrzymana w związku z zamordowaniem

niejakiej Elżbiety Burns.

- To zupełny nonsens. Dorota nikogo nie zamordowała. Mi-  
licja jest na fałszywym tropie.

- A może pan nas naprowadzi na właściwy trop? - zaproponowała Anna. - Bardzo chętnie skorzystamy z pańskich sugestii.

Wzruszył ramionami.

- Nie czuję powołania do roli detektywa. Nie bawi mnie to.

- W takim razie może pan zechce wyjaśnić mi treść niektórych zdań zawartych w pańskim liście.

- Nie rozumiem.

- Poza zdawkowymi czułościami - mówiła dalej Anna - znajduje się na przykład w tym liście następujące zdanie: „Rozmawiałem z Edwardem. Jak najbardziej popiera nasze plany”. Kto to jest Edward i o jakich planach pan wspomniał?

Sowiński poruszył się niecierpliwie.

- Właściwie jakim prawem zadaje mi pani tego rodzaju pytania? To są moje osobiste sprawy i nie mam zamiaru nikogo w nie wtajemniczać.

Anna potrząsnęła głową.

- Jest pan w błędzie. Nie muszę chyba przekonywać pana o tym, że morderstwo to poważna sprawa. Wnioskując z tego listu, pan jest dla podejrzanej kimś bardzo bliskim i dlatego ja mam prawo zadawać panu wszystkie możliwe pytania zmierzające do wyjaśnienia okoliczności zbrodni.

- A ja ze swej strony mam prawo nie odpowiadać na te pytania.

- Tak. Tylko że w ten sposób może pan poważnie skomplikować swoją sytuację.

- Jaką sytuację? Co za sytuację?! - wybuchnął Sowiński. - Ja nie znajduję się absolutnie w żadnej sytuacji, która mogłaby się skomplikować.

Anna zapaliła papierosa i przez chwilę przyglądała się w milczeniu zdenerwowanemu elegantowi.

Najwyraźniej chce zyskać na czasie - myślała. - Nie wiedział, że jesteśmy w posiadaniu jego listu.

- W dalszym ciągu pisze pan tak do Barańskiej: „Liczę na to, że do mojego powrotu już coś zdołasz konkretnie załatwić. Pamiętaj, że to jedyna okazja, która się może już nigdy nie powtórzyć. Bądź dzielna i twarda”. Bardzo bym się chciała dowiedzieć, co znaczą te zdania. Co Barańska miała konkretnie załatwić? Co to za okazja, która się może już nigdy nie powtórzyć? W związku z czym sugeruje pan, żeby Barańska była dzielna i twarda?

- To są nasze prywatne sprawy i nie widzę powodu, żeby panią w nie wtajemniczać.

- Więc odmawia pan wyjaśnień?

- Odmawiam. Czy mógłbym otrzymać pozwolenie na widzenie się z Dorotą?

- Nie mógłby pan.

- A jeżeli zwrócę się do prokuratora?

- To bezcelowe.

- Zobaczymy, czy bezcelowe. Spróbuję.

- To panu wolno.

## **Rozdział X**

Przesłuchanie Sowińskiego było niewypałem i właściwie nie wniosło niczego nowego do sprawy. Pozwalało jedynie utwierdzić się w przekonaniu, że Dorotę Barańską łączyło z byłym mężem Krystyny coś więcej aniżeli zwykły romans. Mieli niewątpliwie jakieś wspólne interesy, o których Sowiński nie chciał mówić. Wyraźnie pragnął zyskać na czasie, skontaktować się oficjalnie albo nieoficjalnie ze swoją kochanką i wspólnie uzgodnić linię postępowania.

Anna liczyła na pomoc Motycza, który lada dzień miał pojawić się w komendzie. Zdawała sobie sprawę z tego, że Włodek łatwiej poradzi sobie z bufonowatym i pewnym siebie facetem.

Tymczasem powstały pewne komplikacje, które w innym kierunku zwróciły jej uwagę.

Na drugi dzień po nieudanym przesłuchaniu pułkownik wezwał ją do siebie. Od razu zorientowała się, że coś się stało. Nigdy jeszcze nie widziała tak posępnego wyrazu twarzy szefa.

- Źle jest - powiedział pułkownik. - Bardzo źle. Stasiewicz odebrał sobie życie.

- Odebrał sobie życie?! - wykrzyknęła.

- Tak. Wczoraj wieczorem. Przysłał do mnie list przez jakiegoś chłopaka.

Anna przeciągnęła dłonią po czole.

- Nieprawdopodobne. Może trzeba go było zatrzymać?

- Trzeba go było zatrzymać - powtórzył pułkownik. - Ale kto mógł przewidzieć?

- Chciałabym zobaczyć ten list.

- Proszę, niech pani czyta.

Anna wzięła z biurka arkusz papieru podaniowego. Pismo było pedantycznie równe, wyraźne i nie zdradzało zdenerwowania.

*Szanowny Panie Pułkowniku*

*Sądzę, że pana nie zdziwi moje samobójstwo. Jestem człowiekiem skończonym nie tylko na terenie Polski, ale także na terenie Europy, a może nawet i całego świata. Tak, ukradłem znakomitą pracę profesora Webstera, który mi zaufał jako swojemu najbliższemu współpracownikowi i przyjacielowi. Uważał mnie za przyjaciela, chociaż byłem od niego o wiele młodszy. Żądza sławy popchnęła mnie do tego przestępczego czynu. Nie sądziłem, że zachowały się jeszcze jakieś fotokopie i rękopisy, które zdobyła Elżbieta Burns. Piszę do pana ten list, panie pułkowniku, żeby powiedzieć, że ja jej nie zamordowałem. Przyznaję, że miałem taki zamiar, ale ktoś inny mnie ubiegł. Może mi pan wierzyć, bo przecież już nic mi nie jest w stanie pomóc ani zaszkodzić. Nie chciałbym, żeby do mojej osoby przyłgnęło miano mordercy.*

*Wystarczy, że odchodzę jako złodziej cudzej pracy. Postawiłem wszystko na jedną kartę i przegrałem. W takich sytuacjach należy ponieść absolutnie wszystkie konsekwencje. Zawsze byłem człowiekiem, który umie ponosić konsekwencje swych czynów. Żegnaj, panie pułkowniku, i łączę wyrazy szacunku*

*Bogdan Stasiewicz*

Anna skończyła czytać i położyła list na biurku.

- Makabryczna historia.

- Tak. - Pułkownik zapalił papierosa i tak długo trzymał zapalniczkę, aż mu sparzyła palce. - Paskudnie to wszystko wyszło. No cóż... Chyba jednak nie on otrul tę kobietę. Nie miałby powodu kłamać.

- Oczywiście, że nie - przytaknęła Anna. - W tej sytuacji znowu Barańska wysuwa się na pierwszy plan jako podejrzana.

- Jak postępuje śledztwo? - spytał pułkownik, który już otrząsnął się z przykrego wrażenia.

- Przesłuchiwałam wczoraj kochankę Barańskiej.

- I co?

- Nic nie chce mówić. Ale nie ulega wątpliwości, że oprócz spraw miłosnych łączy ją z Barańską jakieś interesy. Trochę niezręcznie było mi go przesłuchiwać, bo to były mąż mojej serdecznej przyjaciółki. Byliśmy nawet kiedyś po imieniu.

Pułkownik pokiwał głową.

- Rozumiem. Motycz go przesłucha. Już jutro będzie w komendzie. Chciałem mu dać urlop zdrowotny, ale się uparł, że przyjdzie. Rwie się do pracy jak mało kto. Co to za człowiek, ten kochanek Barańskiej ?

- Mętny typ. Kawał drania.

- Czym się zajmuje?

- Skończył medycynę. Jest lekarzem ginekologiem. Wydaje mi się jednak, że przestał pracować w swoim zawodzie.

- Trzeba go jeszcze raz przesłuchać. Zrobi to Motycz. A potem niech pani przesłucha jeszcze Barańską.

- Oczywiście. Czy pan pułkownik nie ma jakichś poleceń w związku ze Stasiewiczem? Jego żona...

- Tak, tak, wiem. Był żonaty. Osobiście przesłucham jego żonę. I trzeba będzie sprawdzić autentyczność tego listu.

- Przypuszcza pan, że... ?

Pułkownik potrząsnął głową.

- Nie. Nic nie przypuszczam. Nie wyczuwam niczego podejrzanego w tej sprawie. Po prostu dla porządku trzeba sprawdzić, czy ten list został rzeczywiście napisany jego ręką. Aha... Zapomniałem pani powiedzieć. Wczoraj miałem wiadomość z komendy krakowskiej. Sprawdzili. Stasiewicz bardzo dobrze znał hrabinę Dobieszyczką.

- Tak przypuszczałam - powiedziała Anna. - Ale z tego wynika, że Stasiewicz dosyć perwersyjnie planował zamordowanie Elżbiety Burns. Postanowił rzucić podejrzenie na Barańską. Musiał wiedzieć o tych wszystkich kombinacjach spadkowych.

- W liście przyznaje się do tego, że chciał popełnić to morderstwo, tylko nie zdążył. Ciekawe, kto go ubiegł.

Po niespodziewanym wyeliminowaniu profesora Stasiewicza śledztwo znowu skoncentrowało się wokół osoby Barańskiej.

Anna postanowiła jeszcze raz ją przesłuchać.

- Czy pani zna Adama Sowińskiego?

- Oczywiście. Nawet bardzo dobrze. To mój kochanek. - Powiedziane to zostało tonem nieco wyzywającym.

Anna wyjęła z teczki kopertę lotniczą.

- Pan Sowiński napisał do pani z Rzymu ten list. Proszę, może pani przeczyta.

Barańska przeczytała.

- No i co?

- Chciałabym, żeby mi pani wyjaśniła pewne rzeczy zawarte w tym liście - powiedziała Anna.

- Co mianowicie?

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, kto to jest Edward i jakie

wasze plany popiera?

- Edward to przyjaciel Adama, Edward Wichniewicz. Mieszka stale w Bolonii. Jest lekarzem. Zaprasza nas oboje do siebie. Chcieliśmy się wybrać do Włoch w przyszłym roku. To wszystko.

- W dalszym ciągu tego listu są takie zdania - mówiła dalej Anna: - „Liczę na to, że do mojego powrotu już coś zdołasz konkretnie załatwić. Pamiętaj, że to jedyna okazja, która się może już nigdy nie powtórzyć. Bądź dzielna i twarda”. Chciałabym wiedzieć, co znaczą te zdania.

Barańska wzruszyła ramionami.

- Bo ja wiem?... Przyznam się pani, że sama nie bardzo się orientuję, o co mu chodziło. Sądzę, że miał na myśli moje plany, dotyczące wznowienia studiów. Adam bardzo nastawał na to, żebym zdała maturę i próbowała dostać się na medycynę albo przynajmniej, żebym ukończyła szkołę pielęgniarstwa.

- A o jakiej to Jedynej okazji” mowa?

- Chyba chodziło mu o to, że w tej chwili ma na Wydziale Medycznym znajomych, którzy mogliby ewentualnie coś mi dopomóc. Ale na to wszystko już za późno. Jestem za stara, żeby teraz zabierać się do nauki. Zresztą w mojej obecnej sytuacji...

- Pani sama bardzo pogarsza swoją sytuację - powiedziała Anna.

- Ja? Dlaczego?

- Bo poczęstowała mnie pani nową porcją kłamstw, sądząc, że w nie uwierzę. No cóż... trudno. Tym gorzej dla pani.

Anna nie miała już teraz wątpliwości, że Barańska i Adam coś razem kombinowali. Ale co? Musiała to być jakaś poważniejsza sprawa, jeżeli oboje nie chcieli powiedzieć na ten temat ani słowa. Niecierpliwie czekała na powrót Władka Motycza, którego ciągle jeszcze lekarze nie mieli ochoty wypuścić ze szpitala. Z różnych względów wołała, żeby on przesłuchał Sowińskiego.



Tymczasem wróciła do zeszytu z numerami telefonów, znalezionej w mieszkaniu Barańskiej. Spostrzegła w nim nazwiska Wandy Stachurskiej oraz Eugenii Kolińskiej. To ją bardzo zastanowiło. Zadzwoiła do pielęgniarki i umówiła się z nią.

- Najlepiej niech pani do mnie przyjedzie - powiedziała Kolińska. - Będziemy mogły swobodniej porozmawiać aniżeli w kawiarni.

Robiła wrażenie kobiety czterdziestokilkuletniej. Wysoka, dobrze zbudowana, trzymała się prosto, a nawet trochę sztywno. W podłużnej, śniadej twarzy dominowały duże, ciemne oczy, mające w swym wyrazie coś ze średniowiecznego fanatyzmu. Właściwie nie była brzydka, ale nie miała w sobie nic z tak zwanego seksu.

Na pewno nie podoba się mężczyznom - pomyślała Anna.

Weszły do dość dużego, bardzo oszczędnie umeblowanego pokoju, którego ściany pokryte były półkami pełnymi książek.

- Zaraz zrobię herbatę - powiedziała Kolińska.

- Ależ, niech się pani nie fatyguje.

- To żadna fatyga. Już mam zagotowaną wodę.

Wyszła do kuchni. Anna, korzystając z chwili samotności, zaczęła przyglądać się książkom. Zauważyła wiele prac na temat okultyzmu, chiromancji, telepatii, hipnozy, spirytyzmu itp. Stare wydania, niektóre zeszlowieczne. Sporo też było opracionych maszynopisów, a nawet rękopisów w języku polskim, francuskim i angielskim.

Kolińska wróciła z kuchni, niosąc na tacy dwie szklanki mocnej herbaty oraz drobne, kruche ciasteczka.

- Ogląda pani moją skromną bibliotekę - powiedziała z uśmiechem, który miał być uprzejmy, ale nie był.

Anna skinęła głową.

- Ma pani dużo ciekawych książek.

Usiadły i posłodziły herbatę. Przez chwilę panowało milczenie, które zaczynało stawać się kłopotliwe.

- Zapewne panią zdziwił mój telefon - powiedziała wreszcie Anna. - Ale odwiedziłam w szpitalu mojego dobrego znajomego, pana Motycza, i właśnie on mi opowiadał o pani.

- Czy pani także pracuje w milicji? - spytała Kolińska.

- Tak. Ale to zupełnie chwilowe. Ukończyłam prawo i na razie zaczęłam się w komendzie. Mam jednak inne plany. Pozwoliłam sobie zadzwonić do pani, ponieważ ja również interesuję się zagadnieniami dotyczącymi nauk Wschodu. To niezmiernie ciekawe. Szczególnie pasjonują mnie wszystkie sprawy związane z ćwiczeniem woli oraz z przekazywaniem fluidów na odległość.

Kolińska przyjrzała się uważnie swojemu gościowi.

- To dziwne, że coraz więcej milicjantów interesuje się tymi zagadnieniami - powiedziała.

Anna uśmiechnęła się.

- Nie ma w tym niczego dziwnego. Po prostu świat tak się już krańcowo zmaterializował, cywilizacja osiągnęła takie szczyty techniczne, że ludzie zaczynają szukać innych wartości i powoli kierują swoją uwagę ku zaniedbanym obecnie dziedzinom życia duchowego.

- Tak - pokiwała głową Kolińska. - Ma pani rację. Rozwój techniki doprowadził nas do absurdu. W pierwszych stadiach tego rozwoju technika pomagała człowiekowi, dziś staje się jego wrogiem. Powodujemy zachwianie równowagi w przyrodzie. To się musi tragicznie skończyć, jeżeli ludzkość się nie opamięta.

Anna dostrzegła fanatyczne blaski w oczach siostry Eugenii.

- Zdecydowałam się panią odwiedzić - powiedziała łagodnym, cichym głosem - ponieważ ja stawiam pierwsze kroki w tej dziedzinie, a pani posiada zapewne duże doświadczenie.

Kolińska energicznie potrząsnęła głową.

- Daleko mi jeszcze do „dużego doświadczenia”. Nie zdołałam nawet osiągnąć pierwszego stopnia wtajemniczenia. Czy pani wie, co to znaczy pierwszy stopień wtajemniczenia?

- Prawdę mówiąc, nie wiem - przyznała szczerze Anna.

- No więc widzi pani. Trudno nam nawet rozmawiać na te tematy. Zresztą nie czuję się upoważniona, kompetentna. Najlepiej, żeby pani mogła się dostać pod opiekę mistrza.

- Ba, ale gdzie go szukać? Nie pojedę przecież ani do Tybetu, ani do Indii.

- Nie potrzeba jeździć aż tak daleko. Wystarczy poszukać w Warszawie.

- W Warszawie? - zdziwiła się Anna.

- Tak. Gdyby panią chciał przyjąć profesor...

- Jaki profesor?

- Profesor Mortinber. To niezwykle człowiek. Wiele lat spędził na Dalekim Wschodzie, w Indiach, Tybecie... Całe życie poświęcił studiowaniu tajemnej wiedzy Wschodu. Już sama rozmowa z nim daje tyle jakiejś przedziwnej siły...

- Czy mogłaby pani mnie z nim skontaktować? - spytała Anna.

Oczy siostry Eugenii błyszczały ekstazą.

- Nie wiem. Nie umiem pani na to odpowiedzieć. Musiałabym się z nim porozumieć. Ale obecnie nie ma go w kraju. Wyjechał na kongres do Palermo.

- A kiedy wróci?

- Nie wiem. Miał również odbyć podróż po Afryce. Czarny Łąd także jest bardzo ciekawym, niezbadanym jeszcze miejscem. Prócz prymitywnych plemiennych czarowników żyją tam ludzie posiadający ogromną wiedzę, dotyczącą tych spraw.

- Ale po przyjeździe profesora mogę na panią liczyć? Pomocze mi pani?

- Zobaczę. Spróbuję. Możliwe, że mi się uda. Czy pani rzeczywiście szczerze interesuje się tymi zagadnieniami?

- Zupełnie szczerze. Są fascynujące.

- Może profesor zechce panią przyjąć do grona swych uczniów.

- Czy pobiera jakieś opłaty za naukę?

- Ależ skądże znowu - zachnęła się siostra Eugenia. - Ani

złotówki. Nie ma o tym mowy. Obraziłby się śmiertelnie, gdyby pani wspomniała...

- To dobrze, że mnie pani ostrzegła - uśmiechnęła się z wdzięcznością Anna - bo rzeczywiście mogłabym popełnić jakiś nietakt.

- Herbata wystygła - powiedziała nagle Kolińska, dotykając szklanki. - Zaraz zrobię drugą.

- Nie trzeba - zaprotestowała Anna. - Prawdę mówiąc, wcale nie mam ochoty na herbatę. Tak się z panią interesująco rozmawia...

Spotkały się w kawiarni, w „Grand Hotelu”. Anna jako znak rozpoznawczy trzymała czerwony goździk.

Pani Wanda Stachurska przyszła z parominutowym opóźnieniem, również uzbrojona w czerwony goździk.

Roześmiały się.

- Wygląda na to, że zakładamy bractwo „czerwonego goździka” - powiedziała wesoło Stachurska. Była drobna, smągła, miała ciemne, błyszczące oczy i mocno zarysowane, zmysłowe usta. Typ dorodnej Cyganki.

Po kilku wstępnych, uprzejmościowych zdaniach i po zamówieniu kawy, Anna powiedziała:

- Zapewne zdziwił panią mój telefon.

- Przyznaję, że mnie pani trochę zaintrygowała - kiwnęła głową Stachurska. - Ale bardzo się cieszę z naszego spotkania. - Wyjęła z torby papierosy i poczęstowała Annę. - O ile się zdążyłam zorientować, pani pracuje w milicji.

- Tak. Ale to etap przejściowy mojej kariery zawodowej. Myślę o adwokaturze.

- Nie pasjonują pani zagadki kryminalne?

Anna skrzywiła się.

- Doszłam do wniosku, że o wiele ciekawiej jest czytać o tych wszystkich „zagadkach kryminalnych” w powieściach, aniżeli pracować zawodowo w tej branży. Swego czasu patrzyłam na siebie samą jak na Sherlocka Holmesa w spódnicy. Już mi

to przeszło.

Stachurska zapaliła papierosa i „fachowo” wydmuchała parę kółek dymu.

- Myślę, że każdy zawód wykonywany na co dzień po pewnym czasie staje się czymś nudnym. Nie sądzi pani?

- Chyba że ktoś naprawdę kocha swoją pracę - powiedziała Anna - ale takich ludzi jest bardzo niewiele na świecie. Zdaje się jednak, że odbiegłyśmy trochę od tematu.

- Nie bardzo wiem, co jest tematem naszego spotkania - uśmiechnęła się Stachurska.

Anna zastanawiała się przez chwilę, w jaki sposób zręcznie naprowadzić rozmowę na właściwe tory.

- Boję się, że pani będzie się ze mnie śmiała.

- A dlaczego miałabym się z pani śmiać? - zdumiała się Stachurska.

- No bo... widzi pani... to tak trochę dziwnie wygląda... - ciągnęła dalej z pewnym zażenowaniem Anna. - Jako funkcjonariuszka milicji powinnam mieć raczej stuprocentowo materialistyczny światopogląd, a tymczasem... Niech pani sobie wyobrazi, że zaczęłam się interesować takimi rzeczami jak hipnoza, telepatia, tak zwana „tajemna wiedza” jogów itd. itd.

- To są bardzo interesujące zagadnienia - wtrąciła Stachurska.

- Właśnie. Pasjonujące zagadnienia. I dlatego... Nawiązuję kontakty z ludźmi, którzy mają z tymi sprawami coś wspólnego. Zupełnie przypadkowo dowiedziałam się od przyjaciółki, że pani zna niejakiego profesora Mortinbera.

- Niezwykły człowiek.

- Pani jest rzeczywiście o tym przekonana?

- Najzupełniej. Przecież to on uratował życie mojemu synowi.

- Był operowany?

- Tak. Karol miał wrodzoną bardzo poważną wadę serca.

Lekarze zwątpili w powodzenie operacji. Zdawało się, że nic nie zdoła ocalić mojego dziecka. Byłam w rozpacz. I wtedy... wtedy zwróciłam się do profesora Mortinbera. To była ostatnia deska ratunku, ostatnia szansa. Cóż za niezwykle człowiek! Nadzwyczajny!

- Ale to przecież nie on operował - powiedziała Anna, udając, że się niezbyt orientuje.

- Ależ skąd. On nie miał nic wspólnego z, operacją.

- Więc jak właściwie pomógł?

- Przekazując fluidy swej skoncentrowanej woli. W ten sposób potrafi dokazywać cudów.

Anna z dużym zainteresowaniem przyglądała się Stachurskiej. I w jej oczach, tak samo jak w oczach siostry Eugenii, zobaczyła ten blask fanatycznej wiary.

W tego rodzaju stan ekstazy musieli wprowadzać się pierwsi chrześcijanie - pomyślała.

- I pani rzeczywiście w to wierzy? - spytała nieśmiało.

Stachurska spojrzała na nią tak, jakby ją dopiero teraz zobaczyła. Przygasła nagle, oczy straciły swój niedawny blask, uśmiechnęła się z wysiłkiem, jakby przepraszała.

- Niech się pani nie dziwi - powiedziała bardzo cicho. - Mój syn żyje, mój jedyny syn żyje i żyć będzie. Jestem taka szczęśliwa. Nie wyobraża sobie pani, co ja przeżyłam. Wierzę, wierzę... Wierzyłam i wierzę w tego człowieka. Muszę wierzyć. Muszę. - Rozejrzała się wokoło, jakby w obawie, że ją ktoś podsłuchuje, chociaż w kawiarni o tej porze było dosyć pusto. - Ja się go boję... - szepnęła.

- Boi się go pani?

- Tak. Bo to jest człowiek, który zarówno może pomóc, jak i zaszkodzić. Rozumie pani? Może zaszkodzić. I dlatego... dlatego trzeba wierzyć, trzeba z nim utrzymywać pozytywny kontakt duchowy.

- W jaki sposób trafiła pani do profesora Mortinbera? - spytała Anna.

- Zupełnie przypadkowo. W szpitalu, w którym leżał Karol, była salowa, taka trochę dziwna salowa. Inteligentniejsza od wszystkich pielęgniarek, czytana, wykształcona, posiadająca bardzo wiele wiadomości z różnych dziedzin. Zupełnie nie robiła wrażenia salowej.

- Czy pani pamięta może jej nazwisko?

- Oczywiście. Barańska. Pamiętam nawet jej imię: Dorota Barańska.

- I to ona skontaktowała panią z profesorem Mortinberem?

- Tak.

- Czy dawała jej pani numer swojego telefonu?

- Oczywiście. - Dzwoniła do mnie parę razy. Musiała uzgodnić termin mojej wizyty z profesorem.

- Czy profesor Mortinber zainkasował jakieś honorarium za ten seans, związany z operacją pani syna?

- Wpłaciłam tysiąc dolarów. Ale niech pani nie sądzi, że to dla niego. Wpłaciłam na konto stowarzyszenia czy też bractwa, którego jest członkiem. On sam nie bierze ani grosza.

Anna w zamyśleniu obracała w palcach łyżeczkę.

- Hm... To wszystko jest bardzo interesujące. Chętnie skontaktowałabym się z profesorem Mortinberem.

- Słyszałam, że w tej chwili przebywa za granicą - powiedziała Stachurska. - Jak wróci, spróbuję panią z nim umówić, ale nie jestem pewna, czy mi się to uda.

- W każdym razie jestem pani niesłychanie wdzięczna za tę rozmowę - uśmiechnęła się uprzejmie Anna.

Od czasu spotkania z panią Wandą Stachurską upłynęło parę dni. Cały ten czas Anna spędziła przy telefonie. Wytrwale nakręcała numery zanotowane w zeszycie Barańskiej. Z niektórymi z tych kobiet, których głos odzywał się w słuchawce, spotykała się albo w kawiarni, albo w ich prywatnych mieszkaniach. Rozmowy były bardzo podobne do rozmów, przeprowadzonych z siostrą Eugenią i z panią Stachurską. Ten sam entuzjizm, ta sama fanatyczna wiara w niezwykłego

„Mędrca Wschodu”. Tylko w dwóch czy w trzech przypadkach seans nie przyniósł pożądaných rezultatów i nastąpił zgon na stole operacyjnym. Wtedy profesor Mortinber zwracał tysiąc dolarów.

## Rozdział XI

Wreszcie Motycz zdołał się wyrwać ze szpitala. Wymizowany, kulejący, podpierał się laską, zakończoną asekuracyjną gumą, ale minę miał dziarską i nie chciał słyszeć o zdrowotnym urlopie.

- Dosyć się wyleniuchowałem u tych łapiduchów - mówił z wesołym uśmiechem. - Nie chcieli mnie, dranie, wypuścić, ale jakby mnie jeszcze dłużej trzymali, tobym zwał przez okno, choćby i w kazionnej pidżamie. Powyżej uszu miałem i tych lekarstw, i tej szpitalnej zupki.

- Powinieneś być im wdzięczny - zauważyła Anna. - Trzeba przyznać, że sprawnie i szybko złożyli cię do kupy.

- To fakt - zgodził się Motycz. - Fachowo mnie posklejali. Jeszcze tylko parę tygodni ten gips na nodze i mogę zasuwac na olimpiadę w charakterze szybkobiegacza. A ty, Aniu, jak się czujesz?

- Zupełnie możliwe. Trochę może jestem zmęczona, a raczej skołowana tą cholerną sprawą. Bo właściwie drepczemy w miejscu. Ciągle nic konkretnego.

- Profesor Stasiewicz był konkretny - powiedział Motycz.

- Cóż z tego, kiedy się otruł. - Nietaktowny facet.

- Znowu się zaczynasz wygłupiac, Władziu.

- A co mam lepszego do roboty? Muszę się trochę odprężyć po tej szpitalnej atmosferze. Nie sądzisz? A jak tam twój szanowny małżonek?

- Bardzo wygrzeczniał - uśmiechnęła się Anna. - Choć do rany przyłoż.

- Miękki facet, mimo że chirurg. Mnie by tam nikt nie miał



ochoty do rany przykładać.

- Toteż dlatego żadna cię panna nie chce.

- Nie wiadomo, kto kogo nie chce. A może to ja nie chcę żadnej panny? Mam na myśli oczywiście małżeńskie więzy.

- Taki z ciebie wróg małżeństwa?

- Po co sobie pętlę na szyję dobrowolnie zakładać?

- Przyjdzie i na ciebie krytyczny moment. Przekonasz się.

- Wpierw muszę zdjąć gips z nogi i rzucić w czorty tę łaskę

- roześmiał się Motycz. - Na kulawego na pewno żadna nie spojrzy.

- Widziałam, jak tam te wszystkie pielęgniarki na ciebie spoglądały... Kulawy, nie kulawy.

- To tak profe sjonalnie.

Przez jakiś czas jeszcze żartowali, wreszcie Anna powiedziała:

- A może cię interesuje sprawa niejakej Barańskiej?

- Interesuje. Masz mi coś ciekawego do powiedzenia na ten temat?

Anna w krótkich słowach streściła swoją dotychczasową działalność, nie pomijając oczywiście rozmowy z siostrą Eugenią oraz z panią Stachurską.

Motycz słuchał dość uważnie, robiąc długopisem notatki na kartce papieru. Kiedy Anna skończyła, pokiwał z uznaniem głową.

- Muszę przyznać bezstronnie, że pracujesz na medal. Bardzo to wszystko zgrabnie prowadzisz.

- Z tym Sowińskim nie najlepiej mi wyszło. Właściwie czekałam na ciebie, żebyś się do niego zabrał. Instynktownie wy czuwam, że to jest dosyć ważna pozycja w śledztwie.

- Ciekawe są też te adoratorki profesora Mortinbera - powiedział Motycz. - Mówisz, że w tej chwili nic ma go w Warszawie?

- Podobno wyjechał na jakiś kongres za granicę. Naradza się ze swoimi „wtajemniczonymi” kumplami. Wydaje mi się, że

trzeba będzie w jakimś momencie pogawędzić z nim.

Motycz zamyślił się i wyjął z kieszeni paczkę „Sportów”

- Musimy się nad tym bardzo poważnie zastanowić. Taką rozmowę trzeba dokładnie wyreżyserować. Nie ulega wątpliwości, że to trudny facet do rozgryzienia. Tutaj niezbędna będzie jakaś zręczna taktyka. Nie można tak na łap-cap, bo wszystko byśmy popsuli.

- Oczywiście - przytaknęła Anna. - Na pewno do tej rozmowy należy się odpowiednio przygotować. Przede wszystkim musimy zdecydować, na jakiej płaszczyźnie nawiążemy z nim kontakt.

- Obawiam się, że nie da się nabrać na to, że my się tak szalenie interesujemy „wiedzą tajemną” - skrzywił się Motycz. - To byłby chyba zbyt prymitywny chwyt. Ale jakieś dojście do niego musimy wykombinować.

- A może by przez szpital? - zasugerowała Anna.

Motycz wyraźnie się ożywił.

- Z ust mi to wyjęłaś, Aniu... jesteś genialna. Oczywiście, że przez szpital. Ja „zaprzyjaźniłem” się z siostrą Eugenią, a ty masz swojego najdroższego Pawełka.

- Właśnie. Z Pawłem także mogę pomówić na ten temat, nie wtajemniczając go oczywiście we wszystko. Czy uważasz, że to ja powinnam rozmawiać z profesorem Mortinberem?

- Zobaczymy - odparł Motycz. - Pomyślimy, zastanowimy się. Mamy czas. Na razie ja sobie pogawędzę z tym facecikiem, z którym tobie tak szło opornie.

Tym razem Sowiński zrezygnował z lekkiego, zartobliwego tonu. Najwidoczniej doszedł do przekonania, że to nie jest właściwa taktyka, mimo iż siedzący za biurkiem mężczyzna w milicyjnym mundurze uśmiechał się do niego promiennie.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego ciągle jestem wzywany do komendy milicji - powiedział z wyrzutem. - Byłem już tutaj nie tak dawno, przesłuchiwała mnie jedna pani, powiedziałem wszystko, co wiedziałem w tej sprawie, i doprawdy nie wiem, o

co jeszcze chodzi.

Motycz nie przestawał się uśmiechać uprzejmie i przepraszająco zarazem.

- Przykro mi, że musiałem znów pana niepokoić, ale pani, o której pan przed chwilą wspomniał, nie bardzo była zadowolona z tamtej rozmowy i dlatego poprosiliśmy pana powtórnie. Zresztą wydaje mi się, że między mężczyznami zawsze łatwiej dojść do porozumienia. Wprawdzie w dzisiejszych czasach kobiety zajmują wszystkie możliwe stanowiska, ale...

- Ja tam zawsze wolę mieć do czynienia z mężczyzną - mruknął Sowiński. - Kobiety są dobre do flirtów, do miłości, ale jeśli chodzi o jakieś poważniejsze sprawy...

- O, właśnie - podchwycił z entuzjazmem Motycz. - Całkowicie się z panem zgadzam. A ponieważ w danym wypadku chodzi o bardzo poważną sprawę...

Sowiński uniósł brwi do góry.

Motycz ciągle jeszcze nie rezygnował z przyjacielskiego uśmiechu.

- Nie może pan zaprzeczyć, że morderstwo jest sprawą poważną.

- No tak, oczywiście, ale co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

- Jest pan przyjacielem Doroty Barańskiej, która została zatrzymana jako podejrzana o otrucie swojej kuzynki.

- No i co z tego, panie kapitanie? I co z tego?

- Czy pan znał kuzynkę Barańskiej, niejaką Elżbietę Burns? Sowiński energicznie potrząsnął głową.

- Nie znałem, nigdy jej nie widziałem i kiedy się to wszystko stało, byłem poza krajem, we Włoszech.

- Kiedy to się wszystko stało, był pan poza krajem, we Włoszech - powtórzył wolno Motycz, jakby chciał dobrze zapamiętać te słowa. - Hm... no cóż... Genialne alibi, po prostu genialne.

Sowiński podskoczył na krześle.

- Co to znaczy? Co pan chce mi wmówić?

- Nic. Tak sobie powiedziałem. Bo widzi pan, panie Sowiński, to wszystko nie takie proste... Czasem się zdarza, że ktoś nie jest sam mordercą, ale współnikiem mordercy albo morderczyni. Można także kogoś namawiać do popełnienia zbrodni. Taka ewentualność również jest przewidziana w kodeksie karnym.

- Proszę mi nie sugerować żadnych takich głupstw - zachnął się Sowiński. - To są zupełnie bezpodstawne i idiotyczne podejrzenia. Dlaczegoż ja miałbym być współnikiem Barańskiej?

Motycz przestał się uśmiechać.

- O, na ten temat można by stworzyć bardzo przekonującą hipotezę. Mówię teraz oczywiście zupełnie przykładowo: Dorota Barańska ma bardzo bogatą ciotkę, która zapisuje prawie cały swój majątek swojej siostrzenicy, Elżbiecie Burns. Oboje chcecie zawładnąć tym majątkiem, a jedyną drogę do tego widzicie w pozbyciu się niewygodnej kuzynki. Uzgadnicie między sobą plan działania, który dajmy na to pan mógł obmyślić, i Barańska realizuje ten plan. Pan zaś asekuje się zrećźnie, wyjeżdżając do słonecznej Italii.

Sowiński zerwał się z miejsca.

- To są bezpodstawne kłamstwa! - krzyknął. - Pan nie ma prawa! Pan przekracza swoje kompetencje...

- Proponuję, żeby się pan uspokoił - powiedział bezbarwnym głosem Motycz. - Tego rodzaju występy ożywiają wprawdzie naszą konwersację, ale zupełnie niepotrzebnie szarpią nerwy. Niech pan siada.

Sowiński usiadł. Oddychał ciężko. Na czoło wystąpiły mu kropelki potu.

- Pragnę wyjaśnić - mówił dalej Motycz tym samym beznamiętnym głosem - że wszystko to zostało powiedziane przykładowo. Przecież o nic pana nie podejrzewam ani nie oskarżam, przynajmniej na razie. Przedstawiłem teoretyczną

hipotezę, która niewątpliwie nosi cechy pewnego prawdopodobieństwa, ale nie musi być zgodna z rzeczywistym stanem rzeczy.

- To w ogóle nie ma nic wspólnego z rzeczywistym stanem rzeczy - oznajmił energicznie Sowiński. Wyjął z kieszeni chusteczkę i otarł pot z czoła. - To wszystko jest bez sensu. Pan mnie chce nastraszyć.

Motycz powrócił do swojego dobrodusznego uśmiechu.

- Zapewniam pana, że nie miałem najmniejszego zamiaru pana straszyć. Nie przypuszczałem nawet, że pan jest człowiekiem aż tak bojaźliwym. Przykro mi, że pana zdenerwowałem. Nie będę pana chyba już dłużej zatrzymywał. Jeszcze tylko jedna maleńka formalność. Z Rzymu napisał pan list do Doroty Barańskiej. Ponieważ już wtedy wynikła sprawa tego morderstwa, list ten dostał się w nasze ręce.

Sowiński skinął głową.

- Wiem.

- Otóż... - podjął po chwili przerwy Motycz. - W tym liście są pewne, niezbyt jasne sformułowania. Czy mógłby mi pan na przykład powiedzieć, kto to jest Edward, o którym pan pisze?

- Mój przyjaciel. Mieszka stale we Włoszech. Właśnie na jego zaproszenie pojechałem..

- Czym się zajmuje pański przyjaciel?

- Jest lekarzem ginekologiem.

- Pan, zdaje się, także jest lekarzem.

- Tak, ukończyłem medycynę.

- Jaką specjalność?

- Ginekologia.

- To jesteście panowie kolegami po fachu.

- Mniej więcej.

- Czy pan gdzieś pracuje, panie doktorze?

- Tak. W klinice położniczej.

- Od jak dawna?

- Od wczoraj.

- O, to dosyć krótki staż w tej klinice. A przedtem gdzie pan pracował?

- Miałem kilka lat przerwy - odparł niechętnie Sowiński. - Tak się złożyło...

Motycz nie wypytywał, co się złożyło...

- Wróćmy do pańskiego listu - powiedział. - Znajduje się tam takie sformułowanie: „Liczę na to, że do mojego powrotu już coś zdołasz konkretnie załatwić”. Co pani Barańska miała konkretnie załatwić?

- Właśnie tę moją pracę w klinice.

- Uhm - Motycz pokiwał głową. - Jedźmy dalej: „Pamiętaj, że to jedyna okazja, która się może już nigdy nie powtórzyć. Bądź dzielna i twarda”. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, o jakiej to „okazji” pisał pan do swojej przyjaciółki?

- No, przecież mówię, że chodziło mi o tę pracę w klinice. To była okazja, bo akurat jeden z kolegów wyjechał z Warszawy i wakował etat lekarza.

Motycz z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Trochę dziwne. Dobry lekarz, specjalista, zawsze chyba potrafi znaleźć pracę. Nie trzeba czekać aż na Jedyną okazję, która się może już nigdy nie powtórzyć”. No i to końcowe sformułowanie: „Bądź dzielna i twarda”. Także nieco zaskakujące. Nie sądzi pan?

Sowiński usiłował się uśmiechnąć, ale mu to nie bardzo wyszło.

- Tak sobie napisałem. Może po prostu, żeby zdopingować Dorotę. Przyznaję, że to brzmi trochę nazbyt patetycznie.

Motycz lekceważąco machnął ręką.

- Mniejsza z tym. No cóż... nie będę już chyba pana dłużej zatrzymywał, panie doktorze. Niech pan sobie to wszystko dobrze przemyśli w domu. Przypuszczam, że niebawem znowu się spotkamy i będziemy mieli okazję pogawędzić. Do widzenia.

Po wyjściu Sowińskiego Motycz zadzwonił do Anny i zaprosił ją do swojego pokoju.

- No i cóż tam, Władziu? - spytała wesoło. - Jak ci poszło z tym elegantem? Niezbyt długo z nim rozmawiałeś.

- O czym tu gadać z takim facetem? - skrzywił się Motycz. - Nie lubię tracić czasu na podobne pogawędki. Dowiedziałem się paru istotnych rzeczy i na razie dosyć.

- Czego się dowiedziałeś? - zainteresowała się Anna.

- Po pierwsze, że ten przyjaciel Sowińskiego, który mieszka stale we Włoszech, jest ginekologiem, a ponieważ Sowiński także jest ginekologiem...

Anna potrząsnęła głową.

- Nie bardzo chwytam.

- Pomyśl chwilę - zachęcił ją Motycz. - Spiknęło się dwóch ginekologów i razem coś kombinują. A może mają zamiar założyć wspólnie jakiś ginekologiczny interes? Brak im gotówki. Kto wie, czy Barańska nie miała wy dębić trochę forsy od ciotki. Prawdopodobne ?

- Prawdopodobne - zgodziła się Anna. - Nawet bardzo prawdopodobne.

- No, widzisz. Cieszy mnie, że tak myślisz. Poza tym, sądząc z twoich protokołów, Barańska zupełnie inaczej zeznawała aniżeli Sowiński. Barańska twierdziła, że Sowiński, pisząc do niej ten list, miał na myśli jej plany dotyczące wznowienia studiów, natomiast Sowiński zeznał, że chodziło o jego pracę w klinice położniczej. Z tej rozbieżności nasuwa się logiczny wniosek,

że oboje lżą i że chodzi zupełnie o coś innego.

- Jak rozstałeś się z Sowińskim?

- Jak najłepiej. Początkowo napędziłem mu trochę strachu mówiąc, że może być uważany za współnika Barańskiej w związku z tym otruciem, ale następnie trochę go uspokoiłem. Na pożegnanie dałem do zrozumienia, że zapewne niebawem znowu się zobaczymy. Chodzi mi o to oczywiście, żeby skruszał. Trzeba mu dać trochę czasu.

- Co proponujesz na najbliższą przyszłość? - spytała Anna.

Motycz zamyślił się.

- Miałbym wielką ochotę zapoznać się ze środowiskiem profesora Mortinbera - powiedział po chwili. - Ten człowiek zaczyna mnie coraz bardziej interesować.

- Jego samego nie ma w Warszawie.

- Wiem. To jednak nie przeszkadza nawiązać kontakt z osobami, które mają z nim coś wspólnego. I jeszcze jedna sprawa nie daje mi spokoju. Czy po śmierci Stasiewicza próbowałaś się skontaktować z jego żoną?

Anna potrząsnęła głową.

- Nie. Nie wydawało mi się to potrzebne. Pułkownik także tego nie sugerował.

- W tym wypadku nie bardzo zgadzam się z szefem - uśmiechnął się Motycz. - Sprawa Stasiewicza wiązała się przecież bardzo ściśle z Elżbietą Burns, a co za tym idzie z Barańską. Ja bym tego tak zupełnie na boku nie zostawił.

- Bo ja wiem - Anna wzruszyła lekko ramionami. - Jego samobójstwo właściwie zamknęło sprawę definitywnie i nie bardzo widzę potrzebę wracania do całej historii.

- Czym otrul się Stasiewicz? - spytał Motycz.

- Cyjankiem potasu. To dla niego było najprostsze.

- Znowu cyj anek potasu.

## **Rozdział XII**

Motycz miał o czym myśleć. Sprawa zabójstwa Elżbiety Burns nie tylko nie zmierzała do całkowitego wyjaśnienia, ale wprost przeciwnie, coraz bardziej się komplikowała. Zasadniczo ciągle na pierwszy plan, jako podejrzana, wysuwała się Barańska, która tylko na pewien czas została usunięta w cień przez Stasiewicza. Obecnie znowu wszystko przemawiało przeciwko niej, a pojawienie się na horyzoncie Adama Sowińskiego jeszcze bardziej ją obciążało. Z przejętego listu wynikało niezbiecnie, że mieli jakieś wspólne interesy, o których ani jedno,



ani drugie nie chciało szczerze mówić.

Nowym elementem stała się tajemnicza postać profesora Mortinbera, którego, po wywiadach przeprowadzonych przez Annę, nie można było lekceważyć. Nie ulegało wątpliwości, że człowiek ten pośrednio czy też bezpośrednio miał jakieś powiązania z Barańską i można było zaryzykować hipotezę, że ta ostatnia zajmował a się dostarczaniem mu klienteli. Te kontakty ze szpitalami, z pielęgniarkami, z salowymi, wreszcie z matkami, których dzieci przeszły udane zabiegi chirurgiczne, to wszystko robiło wrażenie dobrze zorganizowanego i świetnie prosperującego businessu. Czy jednak miało coś wspólnego z tragiczną śmiercią Elżbiety Burns? Trudno było zgadnąć.

Motycz postanowił przesłuchać raz jeszcze Barańską.

Przyszła pogodna, a nawet uśmiechnięta. Pod pozorami dobrego humoru wyczuło się niepokój.

- Proszę, niech pani siada.

Usiadła i przyjrzała mu się uważnie.

- Coś pan kapitan zmizemiał od ostatniego naszego spotkania - powiedziała z troską w głosie.

- Miałem małą krakę samochodową i poleżałem sobie w szpitalu.

- O, mój Boże! - zmartwiła się, jakby chodziło o kogoś bliskiego. - Wobec tego trudno się dziwić, że pan mizernie wygląda.

- A pani jak się czuje? - spytał uprzejmie Motycz.

- Dziękuję, zupełnie nieźle, tylko trochę mi się nudzi. Dostyc monotonne życie prowadzę obecnie.

- A może pani miałyby ochotę z tym skończyć? - zaproponował Motycz.

- Nie rozumiem, panie kapitanie.

- To chyba proste. Przecież od początku twierdzi pani, że nie otruła pani swojej kuzynki, Elżbiety Burns.

- Oczywiście, że jej nie otrułam. Mogę przysięgać.

- Więc jeżeli nie popełniła pani tej zbrodni - ciągnął dalej

Motycz - to nie wiem, dlaczego pani upiera się przy najrozmaitszych kłamstwach, które pogarszają tylko jej sytuację. Czas wreszcie zrozumieć, że jest pani podejrzana o zabójstwo i że jeżeli dojdzie w końcu do procesu poszlakowego, wyrok może być wysoki. Wszelkie kłamstwa zupełnie się nie opłacają. Zapewniam panią.

- Ja nie kłamię.

Motycz machnął ręką niecierpliwie.

- Niech pani nie opowiada mi tutaj bajek. Od początku coś pani kręci, a my usiłujemy dojść prawdy. Byłoby dużo prościej, gdyby pani tę prawdę nam ujawniła.

- Ale co ja mam panu powiedzieć?

- Choćby co panią łączy z profesorem Mortinberem.

Zbladła. Widać to ją zaskoczyło.

- Jak dawno zna pani profesora Mortinbera?

- Nie pamiętam. Kiedyś go poznałam. Kilka lat temu.

- Trudno nam się dogadać - westchnął Motycz. - Znowu pani zaczyna kręcić.

- Ja nie kręcę, panie kapitanie.

- W pani mieszkaniu znaleźliśmy zeszyt, taki gruby brulion.

W tym zeszycie zapisała pani numery telefonów szpitali, pielęgniarek, salowych oraz matek, których dzieci poddawane były ciężkim operacjom.

- To są numery telefonów moich koleżanek, przyjaciółek, znajomych - wyjaśniła pośpiesznie Barańska. - Ja już to mówiłam.

- Czy pani kontaktowała matki chorych dzieci z profesorem Mortinberem?

- Czasami.

- I pani wierzy w skuteczność jego „tajemnych” praktyk?

- Oczywiście, że wierzę. To jest niezwykle człowiek.

- Czy pani czerpała z tego zyski materialne?

Zawahała się.

- Zyski materialne? Nie, raczej nie. Zdarzało się, że dosta-

łam jakiś prezent od którejś z matek za skontaktowanie jej z profesorem.

- A od profesora?

- Od profesora? Nigdy. Jak pan może w ogóle przy puszczać? - Powiedziane to zostało z zapalem, ale nie zabrzmiało zbyt przekonywająco.

Motycz udał, że bierze to wszystko za dobrą monetę.

- No dobrze. A teraz porozmawiamy o panu doktorze Adamie Sowińskim.

- Jak pan sobie życzy.

- Pan Sowiński jest przyjacielem pani.

- Tak.

- Powrócił niedawno z Włoch.

- Tak.

- W naszym posiadaniu znajduje się list, który pisał do pani z Rzymu.

- Niestety.

- Dlaczego pani powiedziała „niestety”?

- Bo bardzo nie lubię, kiedy ktoś czyta listy do mnie adresowane.

- Rzeczywiście to niezbyt miłe - przyznał Motycz. - W pewnych jednak specjalnych sytuacjach niezbędne. Otóż w tym liście znajdują się dosyć tajemnicze sformułowania. Inaczej interpretuje je pani, a inaczej pan Sowiński, co oczywiście rzuca bardzo niekorzystne światło na sprawę i nie przyczynia się do oczyszczenia pani z podejrzeń. Barańska wyglądała na zmęczoną.

- Nie bardzo wiem, o co panu chodzi - powiedziała cicho.

- Pan Sowiński napisał: „Liczę na to, że do mojego powrotu coś już zdołasz konkretnego załatwić”. O jakie to konkrety chodzi?

- Doprawdy nie wiem - uśmiechnęła się. - Nie potrafię panu w tej chwili powiedzieć, co on miał na myśli. Adam w ogóle lubi takie trochę tajemnicze sformułowania.

- Powiedzmy - Motycz nie rezygnował. - A takie zdanie: „Pamiętaj, że to jedyna okazja, która się może już nigdy nie powtórzyć. Bądź dzielna i twarda”. Co miał na myśli pani przyjaciel, pisząc te słowa?

- Także nie potrafię panu tego wyjaśnić. Może mu chodziło o kupno samochodu? Jeden z naszych wspólnych znajomych sprzedawał „Fordę” w doskonałym stanie. Adam chciał tanio kupić ten wóz. Niewykluczone, że miał na myśli tę właśnie transakcję.

Motycz posmutniał.

- No, widzi pani. Znowu rozstajemy się z niczym. Poczęstowała mnie pani kolejną porcją kłamstw i sprawa utknęła na martwym punkcie. Zupełnie bezsensowną taktykę pani stosuje. Działa pani wyraźnie na swoją niekorzyść.

Barańska milczała.

Motycz był w optymistycznym nastroju. Całe życie kierował się zasadą, że jedynie człowiek obdarzony wrodzoną pogodą ducha może do czegoś dojść, liczyć na sukces. Wszelkie stany depresyjne, zwątpienia, melancholijne rozmyślenia uważał za truciznę nie mniejszą od cyjanku potasu.

Wprawdzie śledztwo posuwało się jak po grudzie, ale pojawiły się interesujące elementy, które mogły rzucić zupełnie odmienne światło na sprawę. Przesłuchanie Barańskiej nie przyniosło specjalnie nic nowego, jednak pewne wnioski można było z niego wysnuć. Przede wszystkim nie ulegało już wątpliwości, że Sowiński, pisząc list z Rzymu, nie miał na myśli ani dalszego kształcenia swej kochanki, ani posady w klinice, ani kupna samochodu. Chodziło o zgoła coś innego. Żadne z nich nie chciało mówić prawdy, przynajmniej na razie. Motycz pocieszał się, że to się musi zmienić i że z chwilą kiedy oskarżenie Barańskiej nabierze konkretnych kształtów, będzie się można wreszcie czegoś dowiedzieć. Barańska ciągle robiła takie wrażenie, jakby nie zdawała sobie należycie sprawy ze swej sytuacji i jakby na coś liczyła. Ale na co? Poza tym osoba

profesora Mortinbera, dotychczas nieco zamglona, zaczynała się coraz mocniej zarysowywać. Jego powiązania z Barańską były niewątpliwe. Chodziło teraz o to, żeby wyraźnie sprecyzować ich wzajemne zależności, które mogłyby wnieść do śledztwa nowe aspekty.

W swych rozważaniach Motycz nie zapomniał o tragicznej śmierci profesora Stasiewicza. Nie miał zamiaru zupełnie rezygnować z tego wątku.

Niestety okazało się, że pani Stasiewiczowa po śmierci męża wyjechała z Warszawy, nie zostawiając żadnego adresu. Motycz nie zamierzał szukać jej ani na terenie kraju, ani za granicą. Postanowił poczekać spokojnie na jej powrót. Ostatecznie nie była mu w tej chwili tak niezbędnie potrzebna. Nawiązał natomiast kontakt z najbliższym współpracownikiem profesora Stasiewicza.

Docent Grabowski przyjął go w instytucie. Był to mężczyzna czterdziestokilkuletni, o twarzy łagodnej, dobroduszej. Okrągłe, niebieskie oczy patrzyły na świat z nieomal dziecięcą naiwnością, a prawie zupełnie łysa czaszka upodabniała go do nadmiernie rozwiniętego noworodka,

Usiedli w lśniącym gabinetem, zastawionym najrozmaitszą, niezwykle skomplikowaną aparaturą, i pan docent uśmiechnął się uprzejmie.

- Czym mogę panu służyć, panie kapitanie?

Motycz odwzajemnił się uśmiechem.

- Czy wolno zapalić w tym przybytku wiedzy przyrodniczej?  
- spytał.

- Ależ oczywiście. Proszę bardzo. Tutaj jest popielniczka dla palących.

- A pan nie pali?

- Nie, ale dym mi nie przeszkadza. Niech się pan nie krępuje.

Motycz przez chwilę przyglądał się zwęglonej zapalce.

- Chciałbym z panem porozmawiać o tragicznie zmarłym

profesorze Stasiewiczu, a raczej o okolicznościach towarzyszących jego śmierci.

Dziecinna twarz docenta Grabowskiego wydłużyła się. Wyglądał tak, jakby za chwilę miał się rozplakać.

- To bardzo przykra sprawa, ogromnie przykra. Tak mną to wstrząsnęło, że do tej pory nie mogę przyjść do siebie. Jak sobie pomyślę...

- Zostało stwierdzone, że profesor Stasiewicz odebrał sobie życie, zażywając znaczną dawkę cyjanku potasu - powiedział Motycz.

- Tak. Niestety.

- Czy pan przypuszcza, że ten cyjanek potasu pochodził z waszego instytutu?

- To bardzo prawdopodobne. Profesor miał przecież dostęp zarówno do tej trucizny, jak i do różnych innych silnie toksycznych substancji.

- Czy w takim instytucie jak wasz pracownicy mają stosunkowo łatwy dostęp do cyjanku potasu?

Grabowski spoważniał.

- Poruszył pan nader istotny problem, panie kapitanie. Obecnie bardzo zaostryliśmy kontrolę nad truciznami. Do tego stopnia, że jedna osoba nie może sama wyjąć z szafy na przykład cyjanku potasu. Muszą być dwie albo nawet trzy osoby. Wprowadziliśmy system paru kluczy do szaf, w których znajdują się trucizny.

- Od jak dawna zostały wprowadzone tego rodzaju środki ostrożności? - spytał Motycz.

- Stosunkowo nie tak dawno. Chyba ze dwa miesiące temu, a może nawet nie ma jeszcze dwóch miesięcy. To zarządził profesor Stasiewicz po tej historii z cyjankiem.

- Po jakiej historii z cyjankiem? - zainteresował się Motycz.

Docent Grabowski skrzywił się.

- Och, to była bardzo niemiła sprawa. Przy kontroli okazało się, że brakuje cyjanku potasu, a ponieważ tego rodzaju środki

podlegają u nas ścisłemu zarachowaniu...

- Dużo brakowało cyjanku potasu?

- Dokładnie nie pamiętam, ale zdaje się, że kilkanaście gramów.

- I co?

- Zawiadomiliśmy milicję.

- Znaleźli amatora cyjanku?

- O ile wiem, śledztwo nic nie wykryło. Sprawa została umorzona.

- Czy nie pamięta pan, kto prowadził dochodzenie?

- Nazwiska nie pamiętam. Jakiś młody człowiek. Zdaje się, że porucznik.

- A czy po śmierci profesora Stasiewicza brakowało cyjanku?

- Tak. Oczywiście. Ale profesor miał, z racji swojego stanowiska, dostęp do wszystkich preparatów i trucizn.

Motycz pokiwał głową.

- Tak. Rozumiem. No cóż... nie będę już panu dłużej zabierał czasu, panie docencie. Bardzo dziękuję za rozmowę.

Henryk Wilgosz był drobny, czarniawy, miał okrągłe, świdrujące oczy i gęstą, zawsze niezbyt starannie uczesaną czuprynę.

- Cześć, Władek! - zawołał wesoło. - Dawno cię nie widziałem. Co cię do mnie sprowadza?

- Cyjanek potasu - odparł z ponurą miną Motycz.

- Do diabła. Zbrzydło ci życie?

- Sprawa, którą obecnie prowadzę, każdemu potrafiłaby obrzydzić życie, ale mogę cię zapewnić, że na razie nie mam zamiaru się truć.

- Chwała Bogu - odetchnął z widoczną ulgą Wilgosz. - A może ty, Władeczku, masz jakieś zbrodnicze zamiary? Przyznaj się. Na co ci cyjanek?

- Podobno ty miałeś nie tak dawno do czynienia z tym smakołykiem.

- Mówisz o tej historii w Instytucie Biologii Doświadczalnej?

- Właśnie. Słyszałem, że szperałeś, węszyłeś i co?

- I nic - skrzywił się niechętnie Wilgosz. - *Ad acta*.

- Mógłbyś mi coś powiedzieć na temat tej sprawy?

- Jak się da, to się zrobi.

- Coś ty się, Heniu, zrobił taki merkantylny? Nie poznaję cię.

- Z wiekiem człowiek wyrabia się życiowo. Normalna kolej rzeczy.

- Gruziński koniak wystarczy? - spytał rzeczowo Motycz.

- Jeżeli ty będziesz skromnie konsumował, to wystarczy.

A mówiąc już bardziej urzędowo, dlaczego interesuje cię tamta sprawa?

- Ponieważ istnieje pewne prawdopodobieństwo, że wiąże się z obecną moją robotą. Jedno otrucie, jedno samobójstwo. W obydwu wypadkach cyjanek.

- No więc cóż... Właściwie niewiele mam ci do powiedzenia. Ktoś podgrandził sporą porcję cyjanku, a że akurat przeprowadzono remanent w instytucie...

- Dużo brakowało?

- Sporo. Można by załatwić kompanię wojska.

- Kogo przesłuchiwałeś?

- Wszystkich. Miałem kupę roboty, ale nic z tego nie wynikało. Musiałem zrezygnować.

- Hm... - Motycz wyjął z kieszeni papierosa. - Powiedz mi, Heniu, kogo najbardziej podejrzewałeś?

Wilgosz wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem. Chyba tę młodą dziewczynę, która miała najłatwiejszy dostęp do wszystkich trucizn.

- Jak się nazywa?

- Lucyna Gołacka. Podziwiał moją genialną pamięć.

- Znalazłeś odciski jej palców na słoiku?

- Oczywiście. Ale to niczego nie dowodziło. Słoika dotykała



służbowo. Co innego natomiast mnie zainteresowało. Na słoiku z tym nieszczęsnym cyjankiem były odciski palców, których nie zdołałem zidentyfikować. Przeprowadziłem badanie linii papilarnych całego personelu. Wyobrażasz sobie, co to za robota.

- Wyobrażam sobie - pokiwał głową Motycz. - Z tego by wynikało, że ktoś z zewnątrz.

- Właśnie. Ktoś z zewnątrz - powtórzył Wilgosz. - Ale kto? Bądź tu mądry.

- Pracowników instytutu odwiedzają znajomi, krewni...

- Tak. Od czasu do czasu, ale przecież nie mają dostępu ani do preparatów, ani do słoików z truciznami.

Motycz zapalił papierosa i przez chwilę przyglądał się w milczeniu smugom dymu.

- Masz te nie zidentyfikowane odciski palców? - spytał.

- Są w archiwum do twojej dyspozycji. Sprawa stosunkowo nie taka prosta.

- Słuchaj, Heniu, czy nie miałbyś nic przeciwko temu, że bym ja sobie pogawędził z obywatelką Lucyną Gołacką?

- Proszę cię uprzejmie. Tylko muszę cię ostrzec, że to bardzo ładna dziewczyna. Nie zakochaj się.

- Z zasady nie kocham się w dziewczynach, które mają łatwy dostęp do cyjanku potasu - uśmiechnął się Motycz.

Wilgosz nie przesadził. Dziewczyna była rzeczywiście ładna i efektowna. Wysoka, szczupła, ale nie przesadnie odchudzona. Miała doskonałą figurę, poruszała się zwinnie i sprężysto. Duże, ciemne oczy dominowały w stosunkowo drobnej twarzy o łagodnie zarysowanym owalu. Cera niezwykle delikatna, porcelanowa. Włosy bardzo gęste, koloru miedzi, choć nie farbowane.

Ulokowali się w gabinecie docenta Grabowskiego, który był chwilowo nieobecny.

Motycz robił wszystko, żeby wydać się człowiekiem łagodnym i niezwykle sympatycznym. Lucyna Gołacka natomiast wykazywała wyraźnie zniecierpliwienie jego odwiedzinami.

- Sądziłam, że dochodzenie zostało już umorzone.
  - Właściwie tak - zgodził się pośpiesznie Motycz. - Tamto śledztwo rzeczywiście umorzono. Ja chciałem z panią porozmawiać w związku z inną sprawą.
  - W związku z inną sprawą? - zdziwiła się. - Nie rozumiem.
  - Bo widzi pani... Czasami zdarza się, że jedna historia zażębia się o drugą, a że właśnie ja prowadzę obecnie taką drugą, więc pomyślałem sobie, że może...
  - Nie rozumiem - przerwała Lucyna, przyglądając się uważnie oficerowi milicji, którego wyjaśnienia wydały jej się, i słusznie, nieco mętne.
  - Więc pomyślałem sobie - brnął dalej Motycz - że kto wie, czy rozmowa z panią nie wniesie czegoś nowego do mojej sprawy. Przypadkowo udaje się czasami wysnuć pewne wnioski, które...
  - Nie rozumiem - powiedziała po raz trzeci.
  - Nic nie szkodzi - uspokoił ją Motycz. - Niech mi pani łaskawie powie, kto wtedy ukradł ze słoika ten cyjanek potasu?
  - Ależ ja nie wiem!
  - Może się pani jednak domyśla?
- Wydało mu się, że nieco straciła swą pewność siebie.
- Czy panią ktoś odwiedzał w tym czasie?
  - Chyba nie podejrzewa pan mojej cioci?
  - A ciocia panią odwiedza tutaj, w instytucie?
  - Czasami.

### **Rozdział XIII**

Podczas gdy Motycz zajmował się cyjankiem potasu oraz ładnymi dziewczętami, Anna z podziwu godną cierpliwością obserwowała kobiety wychodzące z więzienia. Była głęboko przekonana, że prędzej czy później Barańska zdecyduje się na gryps. Wiedziała przecież, że jej ukochany wrócił już z Rzymu.

Dłuższy czas działalność ta nie dawała pożądanego

rezultatu, aż wreszcie...

Kobieta, która teraz siedziała po drugiej stronie służbowego biurka, wydawała się dziwnie wypłowiała. Skromna, nijaka su-kienka, szarawa twarz, bezbarwne wargi, jasne, jakby sprane oczy, niewyraźnego koloru włosy.

- Więc pani podjęła się dostarczyć ten gryps.

- Tak mnie prosiła, tak mnie błagała! Nie mogłam odmówić. To przecież drobnostka...

- Czy pani wie, że nie wolno robić takich rzeczy?

- Ależ wiem. Ma się rozumieć, że nie wolno, ale nie zawsze człowiek może robić to, co wolno. Czasem tak wypadnie, że się robi i to, czego nie wolno. Nie mogłam odmówić. Ja nic złego nie zrobiłam. Nie mogłam odmówić. Trzeba człowiekowi pomóc. Jakież by było życie, żeby jeden drugiemu nie pomógł? Trzeba pomóc. Niech się pani nie gniewa.

Anna nie mogła oprzeć się pewnemu współczuciu. Ta kobieta na pewno nie miała łatwego życia. Zniszczona, przedwcześnie postarzała, wypłowiała.

- Jestem zmuszona zatrzymać panią.

- O Jezu! Znowu do pudła?

- Proszę się nie przejmować. Tylko na czterdzieści osiem godzin.

- Ale za co? Za co? - jęknęła. - Ja nic takiego nie zrobiłam. Chciałam jej pomóc. Ja dopiero wyszłam. Boże, mój Boże...

- Nic na to nie poradzę - powiedziała urzędowym głosem Anna, żeby nie ulegać nastrojowi litości. - Jest pani zatrzymana na czterdzieści osiem godzin.

Po wyjściu przygnębionej kobiety, połączyła się z Motyczem. Przybiegł natychmiast.

- Słuchaj, Władziu, nareszcie Barańska zdecydowała się na gryps.

- Co ty powiesz? Do Sowińskiego?

- Tak. Masz, czytaj. - Wyjęła z szuflady brudną, zmiętą kartkę papieru, wyrwaną ze szkolnego zeszytu.

*Kochany Adasiu. Bardzo się za tobą stęskniłam. Mam jednak nadzieję, że się niedługo zobaczymy. Właściwie nie mają przeciwko mnie żadnych materiałów obciążających, żadnych dowodów winy. Jeżeli nawet dojdzie do sprawy, będzie to typowy proces poszlakowy. Nie sądzę, żebym została skazana. Na wszelki wypadek zlikwiduj ze swojego mieszkania to, co trzeba. Nie możemy wykluczyć, że zrobią u ciebie rewizję. Znajdź jakieś bezpieczne miejsce. Może załóż sobie skrytkę na poczcie. W każdym razie wykombinuj coś mądrego. Babce, która ci doręczy tę kartkę, daj paręset złotych. Obiecałam jej. Całuję cię bardzo, bardzo mocno - Twoja Dorota.*

Motycz skończył czytać i spojrzał na Annę.

- Bomba. Trzeba natychmiast się za to zabrać. Co zrobiłaś z tą kobietą?

- Bardzo była wystraszona. Łatwo wydobyłam z niej nazwisko i adres nadawcy tej karteczki. Zatrzymałam ją pod pretekstem, że usiłowała przemyścić gryps. Bałam się, że z miejsca polecą do Sowińskiego. Na zamożną nie wygląda.

- Bardzo słusznie. Jak jeszcze jeden dzień posiedzi, nic się nie stanie, a mogłaby nam pokrzyżować plany. Jedziemy do Sowińskiego.

Zabrali ze sobą sierżanta Tomczyka i pojechali. Sowińskiego nie było jednak w domu. Nie zastali go ani za dwie godziny, ani za trzy. Dopiero późnym wieczorem zobaczyli światło w jego mieszkaniu.

Przygotowywał się już do spania. Był w eleganckim granatowym szlafroku. Białą koszula, rozpięta pod szyją, odsłaniała gęste rudawe włosy.

Na widok milicyjnych mundurów bardzo się speszył.

- O co chodzi? Co się stało? Czego panowie sobie życzą?

- Chcieliśmy z panem porozmawiać - powiedział Motycz i, nie czekając na zaproszenie, wszedł do mieszkania, a za nim Anna i sierżant Tomczyk, chłop duży, barczysty, budzący

szacunek rozmiarami pleców i ramion. Robił wrażenie boksera ciężkiej wagi.

- O tej porze? Porozmawiać? - niemile zdziwił się Sowiński.

- Już późno. Może odłożylibyśmy to do jutra? Jestem śpiący. Właśnie miałem zamiar się położyć.

Motycz energicznie potrząsnął głową.

- Bardzo żałuję, ale nie odłożymy tej rozmowy do jutra. To, co mamy panu do powiedzenia, jest tak interesujące, że chyba się pan rozbudzi.

- Nie rozumiem. Nie macie prawa nachodzić mnie w mieszkaniu.

Motycz delikatnie pchnął go w kierunku fotela.

- Niech pan siada, panie Sowiński. Przyszliśmy tutaj, żeby przeszukać pańskie mieszkanie.

- A to dlaczego? Macie nakaz rewizji?

- A jak się panu zdaje? - uśmiechnął się Motycz, który oczywiście nie miał nakazu, bo jeszcze nie zdążył tego załatwić.

- Myślę jednak, że obejdzie się bez rewizji. Po jaką cholere mieelibyśmy rozbebeszać panu całe to tak przyjemnie urządzone mieszkanko? Sądzę, że dojdziemy jakoś do porozumienia. Usiądźmy i spokojnie porozmawiajmy.

Usiedli. Pod sierżantem Tomczykiem niepokojąco zaskrzyphiało wyściełane krzeselko.

Sowiński wodził spłoszonym spojrzeniem od jednej twarzy do drugiej.

- Doprawdy, panie kapitanie, nic z tego nie rozumiem. Przecież nie tak dawno mnie pan przesłuchiwał. Powiedziałem absolutnie wszystko, co mi jest wiadome w tej przykrej sprawie.

- Eee... - skrzywił się niedowierzająco Motycz. - Chyba nie tak absolutnie wszystko pan mi powiedział. Nie przesadzajmy.

- Ale o co właściwie chodzi? - dopytywał się Sowiński. Motycz powolnym ruchem wyjął z kieszeni pomiętą kartkę papieru, odchrząknął i głośno, wyraźnie przeczytał list Barań-

skiej .

Sowiński zbladł gwałtownie. Poruszył wargami, ale nie wy dobył z siebie głosu. Był oszołomiony.

- No więc...? - uśmiechnął się Motycz. - Co pan o tym myśli, panie Sowiński?

Tamten milczał. Utkwił wzrok w podłodze i robił wrażenie człowieka, który zrezygnował ze wszystkiego.

- Nie chciałbym panu tutaj robić nieporządku - powiedział Motycz z troską w głosie. - Później bardzo trudno to posprzątać. Dlatego proponuję, żeby pan dobrowolnie udostępnił nam te papiery, o których pisze pani Barańska. Jeżeli uznamy to za wystarczające, nie będziemy przeszukiwali pańskiego mieszkania.

Sowiński wahał się jeszcze.

- Wydaje mi się, że bez sensu pan się upiera - westchnął Motycz. - Przecież my i tak je znajdziemy. Choćbyśmy tu mieli wszystko przewracać przez dwa dni, znajdziemy. Szkoda tylko naszej roboty i szkoda mieszkania. Nie sądzi pan, panie dokto-rze?

Sowiński ciężko dźwignął się z fotela,

- Ma pan rację - powiedział z rezygnacją. Podeszedł do szafy z książkami i wyjął z niej plastikową teczkę.

- To jest to, o czym pisała Dorota.

Motycz skwapliwie wyciągnął rękę, rozwiązał teczkę i wyjął z niej stary, zniszczony dowód osobisty, wystawiony na nazwisko Wilhelma Gołackiego. Nie zdradził się, jakie to na nim zrobiło wrażenie. Oprócz tego w plastikowej teczce były listy goń-cze i wycinki z gazet: „Komenda MO we Wrocławiu poszukuje Wilhelma Gołackiego, podejrzanego o popełnienie szeregu przestępstw gospodarczych”. I jeszcze inny anons: „Oszust i aferzysta, Wilhelm Gołacki, poszukiwany jest przez prokuraturę wojewódzką we Wrocławiu. Każdy, kto udzieli pomocy wyżej wymienionemu, będzie pociągnięty do odpowiedzialności karnej”.

Do tych komunikatów prasowych zostały dołączone zdjęcia Wilhelma Gołackiego.

Motycz uważnie przeczytał wycinki z gazet sprzed dwudziestu pięciu lat i podał je Annie. Następnie spojrzął na Sowińskiego, który siedział na brzeжку fotela i ocierał pot z czoła.

- Właśnie o tym pisała Barańska?

- Tak.

- Dlaczego przywiązuje do tych dokumentów aż taką wagę? Sowiński wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Jej sprawy.

Motycz uśmiechnął się.

- Mam wrażenie, że to są wasze wspólne sprawy. A zatem pytam raz jeszcze: dlaczego przechowujecie ten dowód osobisty?

- Nie wiem. Ja się do tego nie wtrącam.

- Panie Sowiński. - Motycz po raz pierwszy podniósł głos. - Niech pan nie robi ze mnie wariata! Dobrze? Proszę odpowiadać na pytania!

- Słucham?

- Czy te materiały służyły do szantażowania kogoś?

Sowiński zawahał się.

- No więc...? - przynaglił Motycz.

- Być może, że Barańska...

- Jak obecnie nazywa się Wilhelm Gołacki?

- Aleksander Mortinber.

- Dlaczego nie odezwałaś się ani słowem?

Anna wzruszyła ramionami.

- A po cóż miałam ci przeszkadzać? Powiedziałeś chyba wszystko, co trzeba. Nie widziałam potrzeby, żeby się wtrącać do tej interesującej rozmowy.

- Co o tym sądzisz? - spytał Motycz.

- Sprawa chyba zupełnie wyraźna. Szantaż.

- Tak. Szantaż. Barańska szantażowała „Mędrca Wschodu”.

To zupełnie zmienia całą sprawę.

- Zatrzymałeś Sowińskiego - powiedziała Anna. - Czy masz zamiar wystąpić do prokuratora o nakaz aresztowania?

- Oczywiście. Przecież w obecnej sytuacji nie ulega wątpliwości, że Barańska i Sowiński są współnikami.

Anna pokiwała głową.

- Mieli ochotę na dolary profesora Mortinbera.

- Czy pamiętasz, że dziewczyna, z którą rozmawiałem w Instytucie Biologii Doświadczalnej, nazywa się Lucyna Gołacka? - przypomniał Motycz.

Anna ożywiła się.

- Cyjanek potasu...

- Właśnie. Trzeba będzie gruntownie zbadać na słoiku te nie zidentyfikowane odciski palców.

- Ten Mortinber wrócił już ze swego kongresu? - spytała Anna.

- Wrócił. Podobno jest w znakomitym nastroju.

- To mu chyba przejdzie. Czy zaraz go zatrzymamy?

- Mamy czas - uśmiechnął się Motycz. - Nie ucieknie nam. Zresztą nie ma najmniejszego pojęcia, że się nim interesujemy. Musimy dokładnie przygotować grunt.

To „przygotowywanie gruntu” rozpoczął od obserwacji siostry profesora, Konstancji Mortinber, a właściwie Konstancji Gołackiej.

Nie było to łatwe przedsięwzięcie. Starsza pani rzadko wychodziła z domu, nie interesowała się kawiarniami, nie miała psa, nie zatrzymywała się na skwerku, nie chodziła do kina. Jednym słowem nie stwarzała żadnej okazji do nawiązania z nią pozornie przygodnej rozmowy. Poza tym sam jej wygląd nie był zachęcający. Bardzo wysoka, chuda, o ascetycznej, podłużnej twarzy, w której dominowały ciemne oczy, ożywione jakimś niesamowitym, fanatycznym blaskiem. Poruszała się szybko, zdecydowanie, nigdy nie wykazując najmniejszego wahania. Widać było, że jest to osoba, która dobrze wie, dokąd



idzie i czego chce. Nie, stanowczo to nie był ktoś, z kim można by było zawrzeć przypadkową znajomość na ulicy.

Po pewnym czasie Motycz zrezygnował z koncepcji „przypadkowej znajomości” i rozmyślał tylko nad tym, w jaki sposób dyskretnie zdobyć odciski palców chudej damy. Ciągłe jeszcze nie chciał wystąpić urzędowo.

Ale jak zdobyć odciski palców kogoś, kto zawsze chodzi w rękawiczkach, nie bywa w kawiarniach, nie pije kawy, herbaty, nie je lodów?... Motycz nie tracił jednak nadziei i wreszcie jego cierpliwość została nagrodzona.

Któregoś dnia zauważył, że pani Konstancja wyszła z domu z siatką.

Idzie po zakupy - pomyślał. - Widocznie gosposia nawaliła.

I nie omylił się. Jego „podopieczna” ruszyła sprężystym krokiem wprost do pobliskiego samu. Zgrabnie wśliznął się za nią, utrzymując jednak przyzwoity dystans. Wziął oczywiście koszyk i zaczął z ogromnym zainteresowaniem studiować napisy na pudełkach z płatkami owsianymi.

Siostra profesora włożyła do koszyka parę puszek konserw, cukier i butelkę oleju sojowego, ciągle nie zdejmując rękawiczek. Motycz ograniczył się do jednego pudełka herbaty „Madras”, dropsów miętowych i słonych paluszków.

Jeżeli ta cholera nie zdejmie rękawiczek - myślał z rozpaczą - jeżeli nie zdejmie rękawiczek...

Wreszcie zdjęła i to w bardzo odpowiednim miejscu, bo przy półkach z dżemami. Najwidoczniej bała się, żeby nie upuścić na ziemię słoika. Wybrała dżem pomarańczowy, ale przed tą decyzją dotknęła dżemu z czerwonej porzeczeki i „powideł specjalnych”.

Motycz odczekał chwilę i dopadł „powideł specjalnych”. Nie wiedział wprawdzie, na czym polega owa „specjalność”, ale nie to go w danej chwili interesowało.

Podszedł do kasy. Kasjerka wyciągnęła rękę.

- Niech pani nie dotyka tego słoika! - krzyknął rozkazująco.

- Ja znam cenę powideł. Osiem trzydzieści. Nie musi pani sprawdzać.

Spojrzała na niego jak na wariata i wzruszyła ramionami.

Motycz z zadowoleniem zacierał ręce.

- Grunt to cierpliwość - powtarzał.

Anna roześmiała się.

- Taki jesteś z siebie dumny, jakbyś co najmniej odkrył Amerykę.

- Kobieto, czy wiesz, co to znaczy? Czy ty to rozumiesz? Stara zostawiła odciski palców na słoiku z cyjankiem potasu. Teraz wszystko się zaczyna klarować. Zdobyła cyjanek dla braciszka, żeby miał czym wykończyć Barańską. A my, idioci, cały czas podejrzewaliśmy, że Barańska załatwiła kuzynkę.

- Z tego by wynikało, że kuzynka padła ofiarą przypadku - powiedziała Anna.

- Jasne. „Mędrzec Wschodu” prawdopodobnie w ogóle nie wiedział, że taka babka przyjechała z Londynu.

- Ale dlaczego zależało mu na tym, żeby Barańską uśmiercić z opóźnieniem? - spytała Anna. - Ten pomysł z pastą do zębów...

- To proste. Wkrótce miał wyjeżdżać za granicę. Chciał, żeby tamto stało się pod jego nieobecność. Na wszelki wypadek wolał się zaasekurować.

- Zaraz go ściągniesz na przesłuchanie?

Motycz potrząsnął głową.

- Na to zawsze będzie czas. Przedtem chciałbym jeszcze pogawędzić z panem doktorem Sowińskim.

Nie pozostało nic z „włoskiej” elegancji ani z pewności siebie. Nie ogolony, rozczochrany, w pomiętym ubraniu, robił żalotne wrażenie. W rozbieganych, zaczerwienionych oczach wyraźnie malował się strach.

- Niech pan siada - powiedział Motycz, wskazując krzesło.

Sowiński usiadł i patrzył na swoje nie oczyszczone buty. Nie odzywał się. Nie próbował ani atakować, ani się bronić. Był zre-

zygnowany.

- No i cóż, panie Sowiński - zaczął Motycz po chwili milczenia. - Dobrze nie jest. Powiedziałbym nawet, że raczej dosyć kiepsko.

Sowiński nie zareagował. Zdawać by się mogło, że nie usłyszał.

- Pańska sytuacja jest nie do pozazdroszczenia - mówił dalej Motycz. - Można by co prawda to i owo trochę zmienić, poprawić, ale... No cóż... W tej chwili wszystko zależy od pana. My tutaj mamy jak najlepsze chęci.

- Czego chcecie ode mnie? - Słowa te zostały wypowiedziane z dużym wysiłkiem.

- Prawdy, tylko prawdy - uśmiechnął się Motycz, zdobywając się na wyraz pewnej życzliwości. W gruncie rzeczy ten człowiek z gatunku alfonsowatych mierzył go. Najchętniej dałby mu w pysk i wyrzucił za drzwi. Z dwojga złego wolał mieć do czynienia ze zwyczajnym bandziorem. Postanowił jednak odegrać rolę dobrotliwego, życzliwie usposobionego przedstawiciela prawa.

- Czego chcecie ode mnie? - powtórzył Sowiński schrypniętym głosem.

Motycz napełnił szklanę wodą mineralną i posunął ją po blacie biurka.

- Niech się pan napije - zaproponował troskliwie. - To pana troszkę odświeży. Może dałoby się jakoś panu pomóc, panie doktorze, w tej niezmiernie przykrew sytuacji. Zupełnie szczere wyjaśnienie przez pana pewnych spraw niewątpliwie wpłynęłoby na znaczną poprawę sytuacji, o której wspomniałem.

Sowiński jednym haustem połknął musujący płyn i odetchnął głęboko. Spojrzenie miał teraz przytomniejsze, nie takie rozbiegane.

- Co pan chce wiedzieć? - spytał już spokojniej.

- Zaczniemy od początku - powiedział wolno Motycz. -

Niech mi pan opowie o pani Dorocie Barańskiej. Dawno pan ją zna?

- Poznaliśmy się chyba dwa lata temu.

- A od kiedy datują się te bliższe, przyjacielskie stosunki?

- Od kilku miesięcy, może od roku...

- Przedtem pani Barańska była przyjaciółką profesora Mortinbera czyli, wyrażając się ściślej, Wilhelma Gołackiego.

- Tak.

- Kiedy się oni poznali?

- Dawno. W pięćdziesiątym roku. W Wałbrzychu.

- Barańska była wtedy bardzo młoda.

- Tak. Miała siedemnaście czy osiemnaście lat.

- I była przyjaciółką Gołackiego vei Mortinbera do czasu poznania pana.

- Tak. To znaczy... Gołacki uciekł. Parę lat go nie było. Siedział za granicą, przeważnie zdaje się w Wiedniu. Mówi dobrze po niemiecku. Mieszkał chyba także w Szwajcarii. Wrócił jako profesor Mortinber. Odnalazł Dorotę i.,.

- Po Dalekim Wschodzie chyba nie podróżował?

- Ale skąd... To wszystko sobie wydumał. Sprytny facet.

Motycz pokiwał głową.

- Tak. Niewątpliwie. Bardzo sprytny. Oczywiście za jego namową Barańska została salową w szpitalu, żeby naganiać mu klientów.

- Tak. Dorota była całkowicie pod jego wpływem. Ten człowiek ma jakiś dar... jakąś siłę... To nie jest zwykły oszust.

- W pewnym momencie coś się zaczęło między nimi psuć - mówił dalej Motycz. - Barańska związała się uczuciowo z panem, no i... profesor nie tylko został pozbawiony swej cennej współpracownicy, ale nawet poczuł się poważnie zagrożony. Barańska dużo o nim wiedziała, o wiele za dużo.

- Bał się j ej... Zaczął j ą nienawidzić - wtrącił Sowiński.

- I trudno mu się dziwić - uśmiechnął się Motycz. - W tej sytuacji większość ludzi miałaby podobne reakcje. Był całkowi-

cie pewny swej przyjaciółki, swojej współpracownicy, aż tu nagle... Niech mi pan powie, panie doktorze, ale tak zupełnie szczerze, jak to wyglądały te wasze włoskie plany? Chciał pan ze swoim kumplem założyć zapewne jakąś klinikę?

- Tak.

- I potrzebowaliście sporo dolarów.

- To zrozumiałe.

- Postanowiliście pieniądze zdobyć od profesora, który miał konta zagraniczne.

Sowiński poruszył się niespokojnie.

- Dorocie należało się przecież coś za współpracę. Otrzymywała od tego człowieka nędzne grosze w porównaniu z tym, co on zarabiał.

- Jednym słowem maleńki szantażyk - uśmiechnął się Motycz.

- Trochę zbyt drastyczne określenie, panie kapitanie. Dorota pragnęła tylko wyegzekwować to, co jej się słusznie należało. Ten szarlatan wyzyskiwał ją w sposób haniebny.

- Czy Mortinber był skłonny zapłacić?

- Raczej tak. Dobrze się w tych sprawach nie orientuję. To załatwiała Dorota. Nie wtrącałem się do jej interesów...

- Czyżby? - zdziwił się wesoło Motycz. - A ja sądziłem, że wspólnie obmyśliliście ten „genialny” plan. Mniejsza z tym zresztą. W tej chwili to nieistotne. Niech mi pan jeszcze powie, czy profesor miał klucze od mieszkania Barańskiej?

- Myślę, że tak. Nigdy o to nie pytałem.

- Ale z chwilą kiedy między nimi popsuły się stosunki, przestał odwiedzać swoją byłą przyjaciółkę.

- Przestał... Oczywiście - przytaknął Sowiński. - Ale interesy nadal jeszcze kręcili. Wiem, że Dorota była mu klientką.

- Przeważnie kobiety - zauważył Motycz.

- Tak. Raczej tak. Kobiety są podatniejsze... Bardziej uczuciowe. Chyba łatwiej poddają się mistycznym nastrojom.

Motycz pokiwał głową.

- Sądzę, że ma pan rację. W większości wypadków mężczyźni jednak trzeźwiej patrzą na takie sprawy. Chociaż i wśród mężczyzn zdarzają się entuzjaści „wiedzy tajemnej”. I jeszcze jedno pytanie. Dlaczego pan wrócił z Włoch do Warszawy? Przecież miał pan zamiar tam się urządzić.

- To był mój błąd - przyznał szczerze Sowiński. - Powinieniem był tam zostać. Ale tutaj miałem u ludzi trochę pieniędzy. Chciałem odebrać. To dosyć pokaźna suma. Nie chciałem z tego zrezygnować i zrobiłem głupstwo.

- To rzeczywiście nie było najszcześniejsze posunięcie - powiedział z melancholią w głosie Motycz, zupełnie tak, jakby to on popełnił tę nieostrożność.

Na drugi dzień oboje z Anną przesłuchali Barańską. Z drobnymi zmianami potwierdziła zeznania Sowińskiego.

- Czy profesor Mortinber miał klucze od pani mieszkania? - spytał Motycz.

- Miał.

- Ale nie odwiedzał pani.

- Nie. Od dłuższego czasu u mnie nie był.

- Od chwili kiedy się zorientował, że pani i Sowiński...

- Właśnie. Zresztą nie potrzebował się orientować, bo ja tę sprawę postawiłam zupełnie jasno. Nie lubię żadnych niedomówień.

- To niesłychanie cenna cecha charakteru u kobiety - stwierdził Motycz. - Ale wobec tego dlaczego profesor nie zwrócił pani kluczy?

- Prosiłam go o to, ale zawsze jakoś zapominał. Potem i ja także właściwie o tym zapomniałam.

- A ile kompletów kluczy miała pani do swojego mieszkania?

- Trzy. Jeden komplet miałam ja, drugi on, a trzeci...

- A trzeci...? - podchwycił prędko Motycz.

- Trzeci...? Zaraz... zaraz... Trzeci dałam Elżbiecie, kiedy przyjechała z Londynu. Zamieszkała u mnie i żeby jej nie krę-

pować, dałam jej klucze.

- Zgadza się. Znaleźliśmy te klucze w pani mieszkaniu. Proszę nam powiedzieć, czy profesor Mortinber wiedział o przyjeździe kuzynki pani?

- Nie. Nie wiedział. Nie przypominam sobie nawet, czy mu w ogóle kiedykolwiek mówiłam o istnieniu Elżbiety.

- Pani miała zamiar wyjechać z Sowińskim do Włoch.

- Tak.

- A przecież spodziewała się pani ogromnego spadku po swojej ciotce.

Barańska uśmiechnęła się.

- Po pierwsze moja ciotka cieszy się tak znakomitym zdrowiem, że może jeszcze żyć i dwadzieścia lat, a po drugie przypuszczałam, że uda mi się przeprowadzić te sumy spadkowe przez Banco d'Italia, albo przez Banco di Santo Spirito, tym bardziej że wszystkie należności miały wpłynąć z przedsiębiorstw znajdujących się za granicą.

- Czy Wilhelm Gołacki i Aleksander Mortinber był skłonny dać pani czek na większą sumę dolarów w zamian za milczenie, w zamian za to, że pani nie poda do publicznej wiadomości szczegółów dotyczących jego kryminalnej przeszłości?

Barańska skinęła głową.

- Tak. To znaczy targował się. Nie chciał dać tyle, ile zażądałam. Poza tym... - Zawahała się.

- Poza tym nie miał gwarancji, że po jakimś czasie pani znowu nie zażąda od niego dolarów.

- Właśnie.

- Pani była dla niego bardzo poważnym zagrożeniem.

Wzruszyła ramionami.

- Być może, że tak mu się wydawało. Ja bym nigdy nie zrobiła takiej rzeczy, żeby drugi raz żądać pieniędzy. Każdą transakcję załatwiałam uczciwie.

Motycz uśmiechnął się radośnie.

- Jakże miło mi to słyszeć. Ale ta „uczciwa” transakcja,

oparta na szantażu, nie została jeszcze dokładnie sprecyzowana.

Barańska zrobiła obrażoną minę.

- Pan sobie kpi ze mnie, panie kapitanie - powiedziała, wydymając wargi.

Motycz ciągle był w wesołym nastroju.

- Skądże znowu. Wydaje się pani. Chciałem się tylko dowiedzieć, czy suma, ta z konta w banku szwajcarskim, została dokładnie określona.

- Jeszcze nie. Właśnie pertraktowaliśmy z Aleksandrem...

- Czy pani zdaniem jest to człowiek zdolny do otrucia kogoś, na przykład do otrucia pani?

- Aleksander lubi radykalne posunięcia.

- Czyli nie możemy wykluczyć, że nafaszerował pastę do zębów cyjankiem potasu, chcąc pozbyć się niewygodnej współniczki, która wymykała się spod jego kontroli, a co gorsza żądała dużych sum w dolarach za milczenie.

- Mógł to zrobić - powiedziała po chwili wahania Barańska.

- Tylko on miał dostęp do mojego mieszkania.

- I zrobił to w czasie, kiedy pani kuzynka pojechała do ciotki do Krakowa.

- Prawdopodobnie wtedy.

Motycz spojrział na Annę.

- Masz jakieś pytania?

Skinęła głową.

- Tak. Chciałabym, żeby pani Barańska coś nam powiedziała na temat siostry profesora Mortinbera.

Barańska skrzywiła się z obrzydzeniem.

- A cóż ja mogę powiedzieć o tej zgadze? Wiedźma, czarownica.

- To bardzo dosadna, ale trochę nazbyt oszczędna charakterystyka - uśmiechnęła się Anna. - Może pani zechciałaby nam szerzej opowiedzieć o pani Konstancji.

- No cóż... - Barańska wzruszyła ramionami. - Bo ja wiem...



Co tu można o niej powiedzieć? No... cholera.

- Jaki jest jej stosunek do brata? - pomógł Motycz.

- Uwielbia go. Świata poza nim nie widzi. Wierzy w niego jak w jakiegoś boga. Moim zdaniem to w ogóle nienormalna baba. Ma tęgiego fioła na punkcie tego całego znachorstwa.

- A jaki jest jej stosunek do pani? - spytała Anna.

- Zawsze mnie nienawidziła. Uważała, że jestem przekleństwem Aleksandra. Ale byłam im potrzebna.

- Potrzebna do naganiania klienteli.

- Oczywiście. Dlatego przecież podjęłam się tej parszywej pracy w szpitalu. Musiałam mieć kontakty, musiałam się orientować w terenie. Potem, jak się to wszystko rozkręciło, coraz mniej mnie potrzebowali. Te głupie baby jedna drugiej opowiadały niestworzone rzeczy o „cudotwórcy”, o „wielkim wtajemniczonym”, o „tajemniczym magu”. A to wszystko przecież lipa, cholerna lipa. Ludzie są tacy głupi, że wszystko im można wmówić. Leżą jak barany i każdą forszę zapłacą. Nieraz aż się nadziwić nie mogłam, że to tak łatwo...

- Więc pani nie wierzy w ową siłę profesora? - spytała Anna.

Barańska roześmiała się.

- Czy ja na taką głupią wyglądam? Teraz już mogę wszystko mówić. Obojętne mi. Jaka tam siła? Granda, nie siła. Ale jak się ludzie dają nabierać, to właściwie... Nikt przecież nikogo nie zmuszał. Mogli do niego nie iść. Mogli mu nie nabijać forszą kieszeni.

- Czy pani zna siostrzenicę profesora, Lucynę Gołacką? - wtrącił się Motycz.

- Ludkę? Jasne, że znam. Bardzo fajna dziewczyna. Ale ona nie jest siostrzenicą, tylko bratanicą Aleksandra.

- Słusznie. Przecież to samo nazwisko. Czy orientuje się w tych wszystkich kombinacjach rodzinnych?

Barańska energicznie potrząsnęła głową.

- Nic nie wie. To bardzo porządna dziewczyna, solidna, uczciwa.

- A nie zastanowiło jej, że stryjek zmienił nazwisko?  
- Była wtedy maleńkim dzieckiem. Ojciec jej zginął w wypadku samochodowym. Aleksander i ta zgaga wzięli ją do siebie na wychowanie. Powiedzieli, że są wujkiem i cicią i na tym koniec. Wierzyła święcie, że ma wujka i cicię.  
- Więc jednak wujek - uśmiechnął się Motycz.  
- Taki trochę lipny. Zresztą wujek, stryjek... co za różnica? Wzięli dziecko do siebie i wychowali, dali jej wykształcenie.  
- Czy Lucyna wierzy, że wujek jest „tybetańskim magiem”?  
- Oczywiście. Wierzy tak samo jak dziesiątki innych osób.  
Motycz zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.  
- No, cóż... Na razie chyba skończymy naszą rozmowę. Szkoda, że pani nam wcześniej o tym wszystkim nie powiedziała.

Barańska była jakby trochę zażenowana.

- Wie pan... Jak by tu powiedzieć...? Nie chciałam sypać Aleksandra, a poza tym... Poza tym jakoś nie miałam ochoty przyznać się do tej spółki.  
- Wołała pani stanąć przed sądem pod zarzutem otrucia swojej kuzynki?  
- Nie wierzyłam, żeby mnie skazali. Nie było dowodów.  
- A może słyszała pani o tak zwanych procesach poszlakowych? Zresztą ciągle jeszcze sprawa tego morderstwa jest otwarta.

## **Rozdział XIV**

Motycz postanowił sam przeprowadzić tę rozmowę. Doszedł do wniosku, że obecność osoby trzeciej może wpłynąć niekorzystnie na nastrój pewnej intymności, który chciał stworzyć. Inaczej rozmawia się we dwoje, a inaczej we troje. Poza tym ewentualna trzecia osoba to byłaby Anna, a w danej sytuacji towarzystwo kobiety uważał za niewskazane. Zbyt wiele kobiet ulegało sugestywnemu urokowi tego mężczyzny.

- Czy nie weźmiesz mi za złe, Aniu, że cię nie zaproszę na dzisiejszą pogawędkę?

Uśmiechnęła się.

- Widzę, że masz ochotę na wybitnie męski dialog.

- Jakbyś zgadła.

- W porządku. Ale jeżeli nie dasz sobie rady, to mnie zawiadom. Pomogę ci. Tak jak to już parę razy zrobiłam w toku tej sprawy... Życzę powodzenia, Władeczku. A nie zapomnij o koniaku i dobrej kawie, świeżo parzonej.

Człowiek, który siedział teraz po drugiej stronie biurka, nie robił wrażenia ani speszzonego, ani zdenerwowanego. Był całkowicie spokojny, opanowany, obojętny. Zachowywał się jak profesor, który za chwilę ma egzaminować studenta. Wyczuwało się w nim pewien protekcyjnie pobłażliwy stosunek do swojego rozmówcy.

- Może pan zechce poinformować mnie, panie kapitanie, w jakim celu zaprosił mnie pan do komendy? Dotychczas bowiem nie wiem, o co chodzi, a że nie dysponuję czasem...

- Pan nazywa się Aleksander Mortinber - powiedział wolno Motycz.

Przedstawiciel „nauk tajemnych” uważnie obejrzał swoje starannie wypielegnowane paznokcie.

- Jeżeli pan sądzi, że mnie pan zaskoczy stwierdzeniem, że kiedyś nosiłem inne nazwisko, to jest pan w błędzie, panie kapitanie. Istotnie kiedyś, w odległej przeszłości, nazywałem się Wilhelm Gołacki.

- I jako Wilhelm Gołacki był pan poszukiwany przez organa ścigania za przestępstwa kryminalne, a nawet był pan podejrzany o dokonanie morderstwa.

- Przedawnienie, panie kapitanie. To były lata tysiąc dziewięćset czterdzieści siedem, czterdzieści osiem. Jeżeli nawet popełniłem te przestępstwa, które mi wówczas niesłusznie zresztą imputowano, to nastąpiło już przedawnienie i nasza rozmowa jest zupełnie bezprzedmiotowa. Chyba szkoda czasu

na to, żeby pan mnie oskarżał, a ja żebym się bronił. Tamte sprawy są już historią, której się dzieci uczą w szkołach.

- Od szeregu lat wyłudza pan od ludzi pieniądze, żerując na ludzkim nieszczęściu - powiedział Motycz.

Mortinber zmarszczył brwi.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego pan mnie obraża, panie kapitanie. Nigdy od nikogo żadnych pieniędzy nie wyłudzałem i wypraszam sobie podobne oszczerstwa. Jeżeli pan ma jakieś konkretne zarzuty przeciwko mnie, proszę powiedzieć jasno i wyraźnie, ale tego rodzaju prowokacyjne stwierdzenia są absolutnie niedopuszczalne. I niech pan nie próbuje wykorzystywać w stosunku do mnie swojego stanowiska.

Motycz uśmiechnął się łagodnie. Od samego początku był przygotowany na atak.

- Nie może pan chyba zaprzeczyć, że przychodziły do pana matki chorych dzieci, prosząc o pomoc i że pan obiecywał im tę pomoc.

Mortinber nieznacznie wzruszył ramionami.

- To nie jest żadną tajemnicą. Nie ma też w tym absolutnie niczego takiego, co by kolidowało z kodeksem karnym. Mam prawo korzystać ze swej wiedzy i pomagać ludziom. To nie jest karalne, panie kapitanie.

- Brał pan za to pieniądze.

- Myli się pan. Nie brałem od nikogo żadnych pieniędzy. To byłoby sprzeczne z podstawowymi zasadami postępowania ludzi mojego pokroju.

- Podobno inkasował pan dolary - zauważył uprzejmie Motycz.

- To kłamstwo. Żadnych dolarów nie inkasowałem. Nie ma pan żadnych dowodów na potwierdzenie tych oszczerstw.

- Prawda - zgodził się Motycz. - Nie mam dowodów. Mógłbym natomiast przesłuchać świadków.

- Nikt nie zezna, że brałem pieniądze, dolary czy złotówki. Nikt tego nie stwierdzi. Chyba, że ktoś zechce mnie oczernić

celowo.

Motycz w duchu musiał przyznać rację profesorowi „nauk tajemnych”. Nie miał wątpliwości co do tego, że żadna z klientek tych szarlatańskich praktyk nie przyzna się do płacenia, a tym bardziej do przelewania dolarów na zagraniczne konta.

- Dorota Barańska była pańską współpracownicą, prawda?

Mortinber utkwiał spojrzenie w oczach swego rozmówcy. Pochylił się leciutko do przodu i patrzył w milczeniu, nie wykonując najmniejszego nawet ruchu.

I nagle Motycz poczuł, że dzieje się z nim coś dziwnego. Zaczął tracić jasność myśli, tak jak po wypiciu większej ilości alkoholu. Zakręciło mu się w głowie.

Hipnotyzuje mnie, skurwysyn - pomyślał.

Wstał, przeszedł się po pokoju, napił się wody, a następnie zapalił papierosa. Przykre wrażenie powoli mijało. Pozostało jednak przekonanie, że należy zachować większą ostrożność w kontakcie z tym człowiekiem.

- Czy skończyliśmy naszą rozmowę? - spytał Mortinber.

Motycz zupełnie już przyszedł do siebie.

- Nie. Jeszcze nie skończyliśmy. Ostatnio mówiliśmy o Dorocie Barańskiej. Współpracowała z panem, prawda?

- Nie rozumiem - padła krótka odpowiedź.

- Miałem na myśli werbowanie klientów na terenie szpitali - wyjaśnił Motycz.

- W dalszym ciągu nie orientuję się, o czym pan mówi.

- Dorota Barańska była pańską przyściółką.

- Sądzę, że życie erotyczne obywateli nie jest jeszcze regulowane przepisami prawnymi w Polsce Ludowej - uśmiechnął się Mortinber i znowu uważnie spojrział w oczy swemu rozmówcy.

Tym razem Motycz był jednak ostrożny. Uciekł spojrzeniem w bok.

- Niech mnie pan nie próbuje hipnotyzować - powiedział

wprost. - To się na nic nie zda.

Profesor „nauk tajemnych” udał zdziwienie.

- Pan się myli, panie kapitanie. Ja wcale nie próbuję pana hipnotyzować. Zapewniam, że gdybym chciał, to z własnej, nie-przymuszonej woli przyznałby się pan do każdego morderstwa popełnionego w ostatnich czasach.

- Na razie to ja bym chciał, żeby pan się przyznał... do jednego morderstwa - oznajmił sucho Motycz.

Mortinber wydawał się jeszcze bardziej zdziwiony.

- Pan żartuje, panie kapitanie. Powiedziałbym nawet, że pańskie żarty są niezbyt smaczne.

Motycz poruszył się niecierpliwie.

- Panie Gołacki... Myślę, że dosyć już tej towarzyskiej pogawędki! Przejdźmy do konkretnych spraw. Otóż... sprowadziłem pana tutaj, do komendy, ażeby pana przesłuchać. Jest pan podejrzany o usiłowanie otrucia Doroty Barańskiej. Zupełnie przypadkowo zamiast niej została otruta niejaka Elżbieta Burns.

Na przedstawicielu „wiedzy tajemnej” oświadczenie kapitana nie wywarło większego wrażenia. Przynajmniej nie dał tego po sobie poznać.

- To bardzo interesujące, co pan mówi - powiedział spokojnie. - Ale równie dobrze mógłby pan stwierdzić, że miałem zamiar otruć królową angielską. Jako oficer milicji powinien pan się chyba orientować, że trzeba mieć niepodważalne dowody, aby kogoś oskarżać o takie przestępstwo. To są bezpodstawne przypuszczenia, panie kapitanie, zupełnie bezpodstawne przypuszczenia. Chciałbym panu zwrócić uprzejmie uwagę, że nie ma pan prawa oskarżać kogokolwiek, nie dysponując: odpowiednim materiałem dowodowym. Sądzę, że dosyć wyraźnie sprecyzowałem mój pogląd na tę sprawę.

- Dorota Barańska, znając pańską kryminalną przeszłość, szantażowała pana - powiedział Motycz. - Znalazłby się więc ewentualny motyw zbrodni.

Mortinber uśmiechnął się.

- To są czysto teoretyczne rozważania, panie kapitanie. Jeżeli chcielibyście oskarżyć wszystkich ludzi, którzy mają jakieś powody, aby popełnić zbrodnię, to najmniej połowa obywateli naszego kraju znalazłaby się w więzieniu. Właściwie prawie każdy w jakimś momencie swojego życia może mieć motyw do popełnienia morderstwa, co nie znaczy, że je popełnia. Nie wiem, czy pan mnie rozumie, panie kapitanie? Może niezbyt jasno to tłumaczę.

Motycz zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. Unikał wzroku swojego rozmówcy. Spojrzenie tych ciemnych, nieco skośnych oczu ciągle działało na niego niepokojąco. Nie chciał ryzykować po raz drugi.

- To wszystko, co pan mówi, jest najzupełniej jasne. Precyzuje pan swoje myśli prawidłowo. Szkoda tylko, że nie daje mi pan dokończyć mojego wywodu. Powiedziałem, że w pańskim przypadku istnieje zupełnie wyraźny motyw zbrodni: szantaż, grożący bardzo poważnymi konsekwencjami. Mimo bowiem, że tamte kryminalne przestępstwa uległy przedawnieniu, jak to pan słusznie zauważył, to ujawnienie ich na łamach jakiegoś czasopisma oznaczałoby pańską kompromitację i całkowity koniec kariery na polu „nauk tajemnych”, A przecież nie mógł pan mieć pewności, że gdy wpłaci pan żadaną sumę, szantażyści nie ponowią żądań po upływie pewnego czasu. Trudno żyć w ciągłym zagrożeniu. Trzeba było jakoś ten problem rozwiązać.

- Ciągle hipotezy, panie kapitanie, tylko hipotezy. Może przeszedłby pan do jakichś konkretnych dowodów, jeżeli pan takowe posiada.

- A pan może przestałby mi przerywać! - powiedział ze zniecierpliwieniem Motycz. - Właśnie mam zamiar przedstawić pewne konkrety. Otóż w instytucie, w którym pracuje pańska bratanica, Lucyna Gołacka, skradziono znaczną ilość cyjanku potasu, a że tak silnie działające trucizny podlegają ścisłemu

zarachowaniu, przeto zostało podjęte dochodzenie w tej sprawie.

I niech pan sobie wyobrazi, że na słoiku z cyjankiem potasu znaleźliśmy odciski palców pańskiej siostry, Konstancji Gołackiej.

Beztroski, a nawet pogodny nastrój Mortinbera zniknął. Widać było, że ciągle zaskoczony, zbiera rozproszone myśli.

- Pańska siostra, korzystając z chwilowej nieobecności siostrzenicy, skradła cyjanek potasu - mówił dalej Motycz. - Ale przesadziła. Wzięła go o wiele za dużo. Widocznie chciała się zabezpieczyć.

- Może zupełnie przypadkowo dotknęła tego słoika? - próbował ratować sytuację Mortinber. - Może...

- Przecież sam pan nie wierzy w to, co pan mówi - uśmiechnął się Motycz. - Słoik z cyjankiem stał w oszklonej szafce, którą trzeba było otworzyć. O żadnym przypadku nie ma mowy.

Zadzwonił telefon. W słuchawce zabrzmiał głos oficera dyżurnego.

- Zgłosiła się obywatelka Konstancja Mortinber. Mówi, że w pilnej sprawie.

- Przeprowadźcie ją do mnie za pięć minut - polecił Motycz. - Dokładnie za pięć minut. Nie, nie, nie trzeba przepustki. - Następnie połączył się z pokojem, w którym urzędowała Anna. - Pozwól tu do mnie na chwilę. Zabierz ze sobą, kogo tam masz pod ręką...

- Akurat jest u mnie Tomczyk.

- To świetnie - ucieszył się Motycz na wspomnienie potężnych barów sierżanta. - Przychodźcie, ale już...

Po chwili weszła Anna w towarzystwie przedstawiciela wagi ciężkiej. Motycz zwrócił się do Mortinbera.

- Bardzo przepraszam, panie profesorze, teraz chciałbym, żeby pan chwilę pogawędził z moją koleżanką.

- Czy i z tym gorylem także mam gawędzić?



- Jak pan sobie życzy. To nasz kolega. Dobrze zna się na sporcie.

Wyszli.

Zaledwie Motycz zdążył wsunąć akta sprawy do szuflady, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i zaraz potem wtargnęła do pokoju Konstancja Mortinber.

Niczym nie przypominała dystygowanej starszej pani o bardzo powściągliwym sposobie bycia. Siwe włosy rozczochrane, suknia w nieładzie, twarz rozpalona, a źrenice ciemnych oczu nienaturalnie rozszerzone. Wpadła z takim impetem, że Motycz mimo woli przyjął postawę obronną.

- Wypuście go! Natychmiast go wypuście! Nie macie prawa go aresztować! Nie macie prawa! Puście go! Puście go!

- Niech pani siada - powiedział rozkazującym tonem Motycz. - Niech pani siada i proszę się nie awanturować.

Spojrzała na niego tak, jakby dopiero teraz go zobaczyła.

- Niech go pan wypuści. Proszę. Niech pan wypuści mojego brata. - Głos jej zabrzmiał trochę spokojniej.

- Proszę siadać - powtórzył Motycz.

Usiadła. Gwałtownym ruchem odgarnęła włosy spadające jej na czoło. Oddychała z wysiłkiem.

Motycz sięgnął po karafkę i nalał wody do szklanki.

- Proszę.

Wypiła. Zaczynała spokojniej oddychać, ale ciągle policzki jej zabarwione były ceglastymi wypiekami.

- Wilhelm jest niewinny. To ja włożyłam cyjanek do pasty do zębów - powiedziała.

- Pani? - spytał niedowierzająco Motycz.

- Tak. I niech pan nie myśli, że mówię to dlatego, że chcę ratować brata. To prawda. Ja... ja chciałam otruć tę żmiję...

- Kogo pani ma na myśli?

- Jak to kogo? Mówię przecież wyraźnie. Chciałam otruć Barańską. Tamta kobieta to przypadek. Nie wiedziałam nawet, że ona przyjechała. To pomyłka. Trucizna była przeznaczona

dla Barańskiej. Dlatego ukradłam cyjanek z instytutu. Pragnęłam ją zniszczyć, zetrzeć z powierzchni ziemi, zniweczyć!

- Dlaczego? - spytał ostrożnie Motycz. Dostrzegł obłęd w oczach starej kobiety.

- Dlaczego? Pan się pyta, dlaczego? Przecież ta swołocz, ta kurwa, ta szmata porzuciła Wilhelma, odeszła. I dla kogo? Dla kogo porzuciła takiego wspaniałego człowieka? Dla łobuza, drania, sutenera! Nie mogłam znieść myśli, że jakaś baba mogła wzgardzić moim bratem, mogła wzgardzić niezwykłym człowiekiem, który jest nam dany, aby ocalić świat od ostatecznej zagłady. Taka kobieta nie powinna żyć! Nie ma prawa do życia! Musiałam ją zabić i zabiję. Teraz już nie będzie żadnej pomyłki. Zabiję! I nikt mi w tym nie przeszkodzi! Ani milicja, ani sądy, ani prokuratorzy, nikt, absolutnie nikt. Ta kobieta musi zginąć dla dobra ludzkości. Rozumie pan? Dla dobra nas wszystkich. Dopuściła się strasznej, niebywałej profanacji. Wzgardziła miłością człowieka, który się narodził po to, żeby stać się nowym Chrystusem, żeby zbawić ludzkość! Czy pan to rozumie?!

- Więc pani przyznaje się do tego, że skradła pani w instytucie cyjanek potasu, który następnie włożyła pani do pasty do zębów?

- Przecież powiedziałam. Mogę przysięgać, jeżeli pan chce.

- I nie wiedziała pani, że u Barańskiej mieszka jej kuzynka?

- Nie. Nie miałam o tym pojęcia. Nie zrobiłabym tego. Żał mi tamtej biednej kobiety. Ale na to nie ma już rady. Wielkie sprawy wymagają, niestety, ofiar.

W jaki sposób dostała się pani do mieszkania Barańskiej?

- To proste. Wykradłam klucze Wilhelmowi. On miał klucze od mieszkania tej łajdaczki.

- Czy pani wiedziała, że Barańska szantażowała profesora Mortinbera?

Konstancja znowu odgarnęła siwe włosy.

- Wiedziałam... Ale nie traktowałam tego zbyt poważnie. Nie uważałam tego za jakieś zagrożenie dla Wilhelma. On jest wyższy ponad takie sprawy. Zresztą co mogliby mu zarzucić? Nic, absolutnie nic. Że tam ktoś kiedyś oczerniał go przed laty, to przecież nie ma żadnego znaczenia. Nonsens! Nie to chodzi. Chodzi o to, że ona popełniła świętokradztwo, największą zbrodnię przeciwko całej ludzkości - wzgardziła Wilhelmem. I dlatego nie może żyć. Teraz mam tylko jeden cel w życiu: muszę ją zgładzić, a potem... potem mogę spokojnie iść na spotkanie ze śmiercią. Pan mnie tu nie zatrzyma, prawda? Pan mi pozwoli odejść, żebym mogła spełnić swoje posłannictwo. Ja potem wrócę. Wrócę i będzie pan mógł ze mną zrobić, co tylko pan zechce. Ale ja muszę... muszę tego dokonać. Niech się spełni wola przeznaczenia. Pan mnie nie zatrzyma, prawda?

- Porozmawiajmy jeszcze na ten temat - odparł wymijająco Motycz. - Najważniejsze, żeby się pani uspokoiła. Proszę się nie denerwować. Wszystko to jakoś się ułoży.

## **Rozdział XV**

Paweł chciał iść do „Grand Hotelu”, ale Anna sprzeciwiła się temu stanowczo.

- Majątek wydamy - powiedziała - i nie zjemy niczego przyzwoitego. Teraz tam takie porcyjki jak dla krasnoludków, a ja mam wilczy apetyt. Zrobimy sobie coś w domu. Pomożesz mi. Będzie taniej, smaczniej i o wiele przyjemniej.

- No, dobrze - zgodził się Paweł - ale ja stawiam wszystko. Dzisiaj mam ochotę się szarpnąć.

Domowa kolacja była rzeczywiście bardzo udana. Najrozmaitsze przystawki, sardynki, łosoś, ryba w galarecie, pasztet z drobiu, potem pieczone i wędzone kurczęta z sałatą, na deser ciasta, kompoty, owoce. No i oczywiście trunki: śliwowica, dwa gatunki białego wina, a do kawy koniak. Nastawili adapter i słuchali sonaty Chopina na wiolonczelę.

- Miałas rację, że lepiej zostać w domu - powiedział Paweł.  
Anna dopiła koniak i odetchnęła głęboko.

- Jak to dobrze, że skończyliśmy już ze sprawą tej Barańskiej. Trochę mnie to nerwów kosztowało.

Sięgnęła po papierosa. Paweł dotknął jej ręki.

- Pamiętasz? Przyrzekliśmy sobie, że rzucimy palenie, jak zakończy się to cholerne śledztwo.

- Prawda - roześmiała się. - Zupełnie zapomniałam.

- No więc jak? Dotrzymujemy umowy?

Otworzyła okno i wyrzuciła na ulicę nowiutką paczkę „Winstonów.”



- Więc postanowiłeś ją zabić?  
W jej głosie nie było cienia zdenerwowania  
czy niepokoju. Powiedziała to tak, jakby  
chodziło o usmażenie jeszcze kilku placków  
kartoflanych.

Nie patrzył na nią. Mogło się zdawać, że  
zapomniał o jej obecności. Jego twarz nie  
wrażała żadnych uczuć.

Zapalił papierosa.

- Dobrze wiesz, że nie mam innego  
wyjścia. Przecież nigdy nie zdobędę  
dziesięciu tysięcy dolarów. A gdybym  
nawet ukraść te pieniądze, to jakąż mam  
gwarancję, że ta kobieta po jakimś czasie  
nie zażąda nowych dziesięciu tysięcy  
dolarów? A może funtów? Nie możemy  
żyć w ciągłym zagrożeniu.

- Nie możemy... - powtórzyła

Cena zł 26,-

ISBN: 83-207-0015-9

*Ali-Baba*

ISKRY